

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



**DOMINIKA
KULCZYK:**
Buduję Dom
Siostrzeństwa

**KLASA
ŚREDNIA**
Mam 40 lat
i straciłem
marzenia



WYSOKIE OBCASY
Nastolatek
woła o pomoc
Polki zrywają
zaręczyny



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Mariusz
Błaszczak

**Wskakuje
w buty po
Kaczyńskim**

Mariusz Błaszczak

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Polak Niemiec
dwa bratanki**
50 lat pojednania

Andrzej Friszke
Kawa, papierosy
i historia najlepiej
smakują nocą

**Zapomnijcie
o Pileckim**
PSL to prawdziwi
„wyklęci”

Agnieszka
KublikCo z tą Polską?
Polską 2050

Jedna, dwie, trzy, cztery? To nie żadna tam dziecięca wyliczanka. To coś, co ma realne znaczenie dla przyszłości 38 mln Polaków. Również dla tych, którzy jeszcze są za młodzi, by głosować. I dla tych, którzy głosować nie zamierzają. Już wiedzą Państwo, o co chodzi. O listy. Szymon Hołownia nie chce iść z nikim z opozycji do wyborów na wspólnej liście. Wykalkulował, że jego Polsce 2050 bardziej się opłaca iść osobno i zgarnąć więcej mandatów dla siebie, niż żeby cała opozycja zgarnęła ich więcej niż PiS z przystawkami.

Z wielu solidnych badań wynika, że osobne listy opozycji to gwarantowana katastrofa, że dogadanie się wszystkich liderów demobilizuje wyborców PiS, a lista trójpartyjna (Lewicy, Koalicji Obywatelskiej i Polski 2050) najbardziej mobilizuje anty-PiS. A za wielką koalicją czteropartyjną opowiada się aż 83 proc. wyborców Hołowni.

Tymczasem koło parlamentarne Polski 2050 wydało oświadczenie: „Partia Polska 2050 przygotowuje się do samodzielnego startu w wyborach parlamentarnych w 2023 r.”.

Jednocześnie posłowie Hołowni utrzymują, że „są zwolennikami dwóch bloków po stronie demokratycznej opozycji, ale nie zamykamy się na inne możliwości”.

Czyli idą sami? Ale jednak w bloku? Trudno o mniej klarowne stanowisko. I silniej utrudniające zjednoczeniowe rozmowy. Bo konia z rzędem temu, kto wie, czego chce Hołownia.

Co gorsza, posługuje się fałszywymi argumentami. – Brutalna

prawda jest taka, że w ostatnich latach próbowano już wszystkiego: jednego bloku w przegranych wyborach europejskich, kilku list w tak samo przegranych wyborach w 2015 i 2019. Moje zdanie w tej sprawie dobrze znacie: szaleństwem jest robić wciąż to samo i oczekiwać różnych rezultatów.

No to zaczniemy od początku. W 2015 r. opozycja nie wyciągnęła wniosków z porażki Komorowskiego w wyborach prezydenckich i poszła podzielną, były osobne listy PO, Nowoczesnej, PSL, Zjednoczonej Lewicy i Razem. Lewica i Razem znalazły się pod progiem. Gdyby się partie dogadały, pokonałyby PiS. Jak inna byłaby dziś Polska...

W 2019 r. w wyborach europejskich opozycja nie utworzyła jednego bloku, były osobne listy Koalicji Europejskiej (PO, PSL, SLD, Nowoczesna, Zieloni), Wiosny i Lewicy Razem. Gdyby się opozycja wtedy zjednoczyła, mogłaby pokonać PiS. Jak inna byłaby dziś Polska...

W tym samym roku do Sejmu opozycja nie szła razem. Były listy KO (PO, Nowoczesna, Inicjatywa Polska, Zieloni), SLD oraz PSL. Gdyby się połączyli, mogliby PiS pokonać. Jak inna byłaby dziś Polska...

Szaleństwem jest wyciągać nieprawdziwe wnioski z fałszywych faktów. Szaleństwem jest chcieć odsunąć PiS od władzy i oczekiwać, że to wydarzy się samo z siebie.

Czyżby Hołownia bardziej pilnował interesu Polski 2050 niż Polski? ●

Andrzej rysuje

Teksas
40 stopni w cieniu

FOT: BRETT COOMER/AP

Zoo w Houston, opiekunki słoni Kristin Windle i Caiti Amox urządziły starej słonicy Methai prysznic. Chłodna kąpiel – oprócz zabaw w basenie i mrożonych smakołyków – pomaga wielu ssakom przetrwać nową falę upałów. Zwierzęta same decydują, gdzie chcą przebywać – na zewnątrz czy w klimatyzowanych pomieszczeniach. **Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu
do Wyborcza.plNajważniejszy wyścig na planecie
A na końcu wygrywają Słoweńcy

Słowenia ma tylu mieszkańców jak województwo dolnośląskie. I dwóch najlepszych kolarzy na świecie, którzy właśnie rozpoczęli walkę o zwycięstwo w Tour de France.

Stoczą ją po raz trzeci, z czego najbardziej spektakularne było starcie pierwsze. Dwa lata temu przez prawie cały wyścig z niewielką przewagą prowadził starszy, 31-letni wówczas Primož Roglič (**na zdjęciu po lewej**). Przed przedostatnim etapem, piekielnie trudną czasówką z trasą pod górę, miał prawie minutę przewagi nad 22-letnim wtedy Tadejem Pogąćarem. Roglič męczył się ze stromą górą, Pogąćar kolejne metry pokonywał leciutko, jakby w ogóle jej nie zauważał. I wygrał z potężną przewagą etap, a dzień później cały wyścig. Rok później miało dojść do rewanżu, ale kontuzjowany Roglič musiał zejść z trasy. Pochodzą z kraju zakręcone go nie tylko na punkcie rowerów,



FOT: CHRISTOPHE ENA/AP

ale sportu w ogóle – 64 proc. Słowenów deklaruje, że regularnie ćwiczy. Obaj w młodości trenowali skoki narciarskie, Roglič całkiem poważnie – startował w Pucharze Kontynentalnym, jest medalistą mistrzostw świata juniorów. Na rowerze prezentują nie tylko końską wydolność, ale i zmysł taktyczny potrzebny do wygrywania wielkich tourów.

Jeśli za trzy tygodnie nie wygra któryś z nich, będzie można mówić o dużej niespodziance. ●

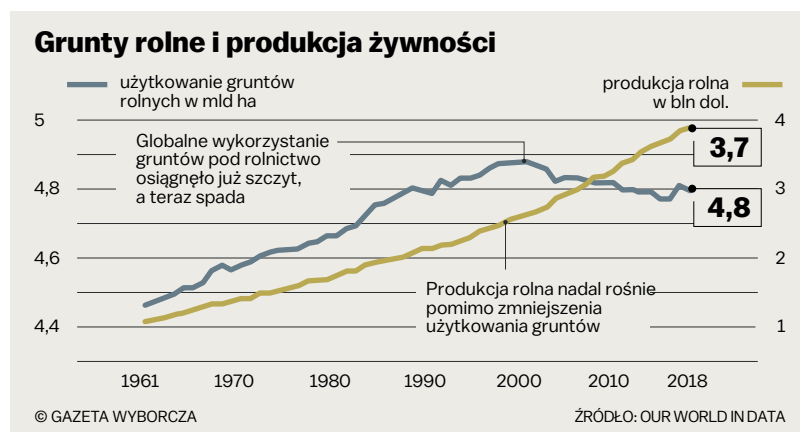
Marcin Wesolek

● **O TdF czytaj na Wyborcza.pl**

Paryż walczy
z ociepleniem

101

nowych drzew wyrośnie wokół Notre Dame. Władze Paryża chcą zazielenić okolice katedry. Tereny zielone zwiększą się o 36 proc.

News tysiąclecia
Zaczęliśmy oddawać ziemię przyrodzie

Po raz pierwszy areal pod hodowlę zwierząt i uprawę zbóż z roku na rok spada, choć żywności produkujemy coraz więcej. Polska jest w ścisłej światowej czołówce – w latach 2001-19 obszary rolne skurczyły się o 18 proc. ► **Bigdata.wyborcza.pl**

Top 5 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Tusk wyjeżdża z miasta

1 – Wszystko ma być nowe i inne. Pokażemy, że Polska to nie tylko duże miasta. Będzie element zaskoczenia – tak Małgorzata Kidawa-Błońska zapowiedziała w Radiu ZET konwencję PO. Głównym wydarzeniem ma być mocne wystąpienie Tuska o sytuacji socjalnej Polaków. Ubożenie pracowników budżetówki, drożyzna, rosnące raty kredytów i alienacja władzy mają być głównymi tematami nadchodzącej kampanii wyborczej.



FOT. BAYERISCHE STAATSOOPER, SANDRINE MARTY/AFP/EAST NEWS, GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, M.WOOLLARD/ EUROFUSION

Wtorek

Gramy u siebie

2 Ostatni turniej eliminacyjny siatkarskiej Ligi Narodów Polacy rozegrają w Gdańsku. We wtorek zmierzą się z Iranem, dwa dni później – z Chinami, w weekend – z Holandią i ze Słowenią. Transmisja w TVP i Polsacie Sport. W ośmiu meczach przegrali tylko raz i właściwie są pewni awansu do finałowego turnieju (20–24 lipca w Bolonii). A pod koniec sierpnia w Polsce i Słowenii rozpoczną się mistrzostwa świata zabrane Rosji po ataku na Ukrainę.



Wtorek-niedziela

Brytyjska stal, ukraińska elektronika

3 7 lipca zaczynają się Inne Brzmienia – festiwal łączący najciekawsze zjawiska muzyczne Wschodu i Zachodu. W Lublinie wystąpią m.in. brytyjscy industrialni metalowcy z Godflesh, ukraiński elektroniczny duet Dmytro Fedorenko i Kateryna Zavoloka, punkowe Girls Against Boys, francuska kapela rockowa Bandit Bandit czy gruzińska gwiazda elektroniki Anushka Chkheidze. Z Polski – Pablopavo i Ludziki.



Wtorek

Atom daje nadzieję

4 Europejskie konsorcjum EUROfusion rozpocznie projektowanie pierwszej demonstracyjnej elektrowni termojądrowej DEMO, której uruchomienie planowane jest na połowę wieku. Jeśli się to uda, ludzkość zyska praktycznie nieograniczone źródło czystej i bezpiecznej energii. DEMO będzie odtwarzał reakcje syntezy jądrowej, jakie zachodzą w Słońcu. Ich produktami ubocznymi są ciepło i szlachetny hel.



Cytat dnia

W tych ciemnych czasach wyrzycie w marmurze konstytucji tego fundamentalnego prawa nigdy nie było tak nagłące jak teraz



ÉRIC DUPOND-MORETTI

francuski minister sprawiedliwości o wniosku posłanek Renesansu, partii Emmanuel Macrona, by prawo do aborcji wpisać do konstytucji

Więcej ► Wyborcza.pl/swiat

Upał wykańcza? To twoja wina

Precz z klimatyzacją

Świat się przegrzewa, a ty włączasz urządzenia, które globalną temperaturę jeszcze podkręcają

Cieśliński



Jesteś rozdrażniony, zły i zmęczony od samego rana po nieprzespanej nocy. Ciało spływa potem, koszula przykleja się do pleców, trudno złapać oddech. Co robisz? Marzysz o klimie w domu, samochodzie, sklepie, biurze, wszędzie.

Świat się przegrzewa, a ty włączasz urządzenia, które globalną temperaturę jeszcze podkręcają. Dorzucamy do kotła, spalamy ropę i węgiel już nie tylko zimą, ale i latem, choć elektrownie w tym upale także ledwie dają radę.

Sami sobie zgotowaliśmy ten los. Żyjemy w zgodzie z naturą, ale nie tą zieloną, tylko tą mroczną, która w nas głęboko siedzi co najmniej od czasów ostatniego zlodowacenia. To natura drapieżnika, zwycięzcy, pogromcy. Porąb i spal, złap i ujęzdmij, zabij i zjedz. To te cechy – a nie duży mózg – dały nam przewagę nad innymi gatunkami.

Nie tłumacz się, że to przemysł, korporacje, polityka, wielkie mechanizmy dziejów, których jednostka jest tylko trybikiem bez znaczenia; że tak naprawdę niewiele zależy od naszych indywidualnych wyborów.

Oszukujesz sam siebie. Piszę to z punktu widzenia mieszczanina, który 20 lat temu wyniósł się pod Warszawę i śledzi to, co wyprawiasz.

Wyprowadzasz się poza miasto, mówisz, że na miejskiej betonowej pustyni naprawdę nie można już wytrzymać, ale pierwsze, co robisz, to wycinasz

i wypalasz roundupem wszystko, co rośnie na twoim niewielkim splachetku ziemi (kupujesz minimum, byle zmieścili się fundamenty, kogo dziś stać na hektary ziemi, a poza tym kto to potem obrobi?).

Rozwijasz trawnik z rolki (na tych kilka metrów to cię jeszcze stać), sadzisz wyłącznie smukłe tuje, żeby się ich szpalerem odciąć od sąsiadów, a potem się dziwisz, że nie masz gdzie uciec przed palącymi promieniami słońca.

Resztę działki betonujesz lub brukujesz, bo przecież musisz jakoś dojechać swoją furą pod drzwi domu i do garażu, a i jeszcze z fantazją wykreślić na obojętnym rondzie, niczym dawny szlachciura przed swoim dworem.

Potem co tydzień wytaczasz wojnę trawie i przycinasz ją zaciekle, aby nie wystawała wyżej niż 2 cm nad spalony grunt. Dobiegający zewsząd warkot dowodzi, że to wojna totalna, w której każdy sąsiad bierze udział, a jeńców się nie bierze.

Spływasz przy tym potem, bo pewnie nie słyszałeś, że niska trawa szybciej traci wodę i nie schładza gruntu. Może zresztą obilo ci się o uszy, że łąka i dzikie chaszcze to naturalna klimatyzacja i dłużej trzymają wilgoć, ale ty jesteś wrogiem wody, odkąd jednej wiosny ulewne deszcze zalały ci trawnik i zrobiły bagno na twoim podjeździe.

Meliorujesz więc, pogłębiasz i czyścisz rowy, kopiesz nowe odpływy, wstawiasz przeloty i rynny, a w bardzo mokre lata piszesz dramatyczne apele do gminy, aby coś z tą wodą zrobiła. Niech stoi, byle nie u mnie. Marzysz o tym, aby każda kropla, która spadnie z nieba, jak najszybciej spłynęła i wyniosła się z twojej działki, ulicy, wsi, zanim jeszcze zdąży wsiąknąć w glebę.

Tą dobrą wodę, do picia, masz przecież w sklepie. Czyściutką, zdrową, w plastikowych butelkach, doprawioną

magnezem i wapniem. Woda do mycia i użytkowa leci z kranu.

Albo i nie leci. Poziom wód gruntowych się obniża i gminne ujęcie latem już nie daje rady.

Dziwisz się? Częściej przeklinasz wójta, który zaniedbał inwestycje i wprowadza idiotyczne zakazy podlewania. A przecież jest upał i trzeba podlać trawnik z rolki, bo wysycha na wiór.

Drzewa? Ile to kłopotu z liśćmi, które trzeba grabić, pakować do plastikowych worków i wystawiać za bramę. Nie daj Boże, jak trzaśnie gruby konar albo wiatr powali i wyrwie z korzeniami. Tyle się mówi o zmianach klimatu, coraz potężniejszych wichurach i częstszych trąbach powietrznych.

Tyle z drzewami kłopotu i kosztów. Na szczęście można je wyciąć przy budowie nowej ścieżki rowerowej, czyli w ramach działań proekologicznych

To nie tak, że nie lubisz drzew. Masz je, ale za plotem – w bezpiecznej odległości od domu. Coraz dalej, bo sąsiedzi myślą podobnie. Gminni włodarze także, tyle z drzewami kłopotu i kosztów. Na szczęście można je wyciąć przy okazji budowy nowej ścieżki rowerowej, czyli w ramach działań proekologicznych (tak, w mojej okolicy kilka razy tak się stało). Ale co się dziwić ludziom, kiedy na potęgę tną nadleśnictwa. To się nazywa przebudowa drzewostanu.

Podmiejskie noclegownie są często biologicznie bardziej martwe niż centra miast.

Te budowane ścieżki rowerowe są zresztą wykorzystywane od święta, bo gdy trzeba coś załatwić, wsiadasz do auta. Tankujesz, płacisz i płaczesz, że tak drogo. Z pocałowaniem ręki bierzysz 45 zł rabatu od Obajtki.

To nasza, polska, odpowiedź na wzrost cen paliw na świecie. Tak, słyszałeś o tym, że Niemcy wprowadzili miesięczny bilet za 9 euro (tj. 42 złotych), na który można jeździć w całym kraju komunikacją miejską i regionalnymi pociągami. Kto bogatemu zabroni? Poza tym, panie, tam się dzieją teraz dantejskie sceny, wszyscy się pchają do pociągów, tłum dziki i chaos.

U nas to nie przejdzie, bo – po pierwsze – po co komu bilet na kolejkę, skoro w większości regionów kraju podmiejska kolej leży i kwiczy. Razem z inną komunikacją publiczną.

Z tego powodu – mądrze kiwamy głowami – auto jest w Polsce niezbędne każdemu. Daje nam wolność – krzyczą korwinowcy. Znosi nierówności – rzucą lewica. Jest niezbywalnym prawem ludzi, którzy przecież muszą jakoś dotrzeć do pracy, lekarza, szkoły, apteki, sklepu, kościoła. Trzeba więc wpuścić do Polski jeszcze więcej tanich gratów, na które stać każdego, a także poszerzać i zagęszczać sieć lokalnych dróg.

Wyprowadzasz się więc za miasto, a tam nawet już okna nie możesz otworzyć, bo hałas, smród i ruch większy niż na osiedlu w środku miasta.

O, przepraszam, z koleją ma być lepiej. Wkrótce mamy mieć całkiem nową sieć (z naciskiem na „mamy”). Dowiezie nas w try miga na nowe lotnisko, z którego wszyscy będziemy mogli polecieć tanimi liniami na wakacje do Egiptu lub Turcji. Byle dalej od tej przerażającej naszej spiekoty.

Ale może nie mam racji, to wszystko tylko urojenia, ten upał rozgotował mi mózg.

Piotr Cieśliński

JUŻ NIE PÓJDE DO FRYZJERA

Odwołaliśmy wakacje. Nie zmienimy samochodu. Koniec z pizzą na mieście. Żeby mieć coś na czarną godzinę, jak mnie znowu ten kraj wystawi

Edyta Bryła

Paweł, dyrektor w dużej korporacji IT, ma tylko 35 lat, a prawie jest już właścicielem 200-metrowego domu w podwarszawskich Michałowicach. Odbierze go na początku przyszłego roku. Nie jest pewien, za co wykończyć potem taką chałupę, chociaż on i żona mają łącznie około 25 tys. zł na rękę. Sporo zarobili na sprzedaży ich niedużego mieszkania na Pradze, mają też kawalerkę, którą kupili inwestycyjnie. Na wykończenie mieszkania mają oszczędności. Problem? Pieniądze zżera inflacja, bo wszystko drożeje. No i oczywiście raty kredytu się podwoiły. Choć przed odbiorem Paweł nie płaci rat kapitałowych, to te odsetkowe i tak wynoszą 90 proc. raty docelowej.

Nie tak to widział. Paweł jest mistrzem Excela, znał oferty klimatyzacji, okien, podłogi. I teraz na przykład klimatyzacja zdrożała o 60 proc., więc wie, że na razie musi z niej zrezygnować. Nie wiadomo, z czego jeszcze, bo oferty są ważne 72 godziny.

Paweł myśli, że koszt wykończenia domu wzrośnie co najmniej o jedną trzecią, więc albo będzie musiał dobrać kredytu, albo nie wykończy poddasza. Na razie nie kupuje wyposażenia od mniejszych firm, patrzy tylko w stronę supermarketów.

Ale kompromisy nie zawsze są rozwiązaniem, Paweł nie położył byle paneli. Marzy mu się parkiet w jodełkę albo podłoga z litego drewna. Choćby miał jeść pół roku ziemniaki z cebulą, to uzbiera. Fanaberia? No nie, przecież nie urządza się tuż po studiach za pieniądze rodziców. Pracował ciężko, więc chyba może chcieć tego, co podoba mu się najbardziej?

Ale pewne zwykłe wydatki trzeba ściąć, na przykład na podróże. Dotąd wakacje zawsze były z rozmachem, jeździli na Seszele albo do Nowe-

go Jorku. Ale że trzeba oszczędzać, to w styczniu wykupili wakacje w Turcji za 4,5 tys. zł za cztery noce.

Potem zmienili zdanie, przez wojnę i coraz wyższe koszty życia mieli zamiar poszukać tańszego noclegu. Ale jak usiedli do komputera, to okazało się, że ich turnus kosztuje już 9 tys. zł. Paweł uznał, że oferta, którą zaklepal, jest jednak całkiem atrakcyjna.

Ale cały czas trudno mu uwierzyć, że wyjazd do Turcji stał się istotną pozycją w budżecie.

Ewidencja kończą się czasy, że z nudów leciało się do Włoch za 50 zł, żeby zjeść pizzę i wrócić.

Z drugiej strony myśli, że niektórzy pocują, że przyszłość jest niepewna, nie wiadomo jak skończy się wojna. Może ludzie wydadzą nawet duże pieniądze, żeby pożyć fajnie, być może ostatnim rzutem na taśmę. I polecą na te kilka dni do Turcji za 9 tys.? Może Ukraina i inflacja skłonią nas do przemyśleń o ulotności życia?

Para ma też dwa leasingi na samochody dobrej klasy, tylko że coraz częściej nie opłaca się

już do nich wsiadać. Gdy dwa tygodnie temu jechał do Gdańska spotkać się ze znajomymi, policzył, że razem z opłatą za autostradę wyniosłoby to prawie 900 zł. Złapał się na tym, że jeszcze niedawno nawet by nie odpalał kalkulatora. Pojechali pociągiem, 200 zł w dwie strony.

Jeszcze te ceny w sklepach. Kupisz jogurcik, mleko i dwie zgrzewki wody i pęka stowa. Gdzieś podjedziesz Uberem, gdzieś pójdziesz na piwo (ostatnio za jedno na Powiślu zabulił 38 zł, fakt, że w modnym miejscu). Obiad na wynos u zwykłego Hindusa u nich w bloku kosztuje 100 zł, o 40 proc. więcej niż niedawno.

...

Świat się oczywiście nie zawala, ale ileż się zmieniło! Przecież dzisiaj Paweł już nawet nie dostałby z żoną kredytu na ten dom. Za to pewnie będą wykańczać go latami i ciągle sobie czegoś odmawiać.

To powinno być naturalną kolejną rzeczą, że się dorabiasz, awansujesz, rozwijasz i finansowo jest coraz łat-



FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Dla młodych
wchodzących
w życie
mieszkanie
jest jak jacht
na Lazurowym
Wybrzeżu.
Tak odległe,
że nawet o tym
nie myślisz

twiej. Nie trzeba oglądać każdej złotówki. A Paweł ma poczucie, że przez ostatnie lata stać go ciągle na tyle samo. Nieważne, ile zarabia, na koncie nie zostaje więcej niż wcześniej. I choćby nie wiadomo co, więcej nie dozbiera.

Tak, czasem czuje się, jakby znowu był tuż po studiach. Zwłaszcza że do odbioru wykończenia domu będzie mieszkać w 30-metrowej kawalerce. Czuje, że wrócił na początek planszy.

Jest optymistą, myśli, że lepiej mieć ten dom i kredyt, niż nie mieć. Inni mogą nie mieć już żadnego mieszkania. Para, która na rękę ma 10 tys., czyli po warszawskiej średniej na osobę, ma zdolność kredytową na poziomie 380 tys. zł. Niczego sobie za to w stolicy nie kupi.

Myśli o znajomych, którzy nie zdążyli, zdolność znikła, jednej parze bank cofnął decyzję kredytową. Są jak na krze, która oderwała się od ładu i odpływa. Kiedy znowu będą mieć szansę na mieszkanie? Kiedy będą mieć 40 lat?

W tym wieku tata Pawła dawno się doroził. Miał dwoje dzieci, dom plus domek letniskowy. Teraz dla wielu młodych pytania babci o wnuki wydają się jeszcze bardziej abstrakcyjne niż kiedyś. Przecież własne lokum to podstawowy warunek, żeby zacząć myśleć o rodzinie.

A może to jednak młodzi kredytobiorcy odpływają na tej krze? Przecież jakby nie decyzyja, żeby kupić dom, to Paweł miałby dwa mieszkania i święty spokój. Nie dostawałby drgawek na widok Głapińskiego w telewizji. Uspokaja go, że domy z kolejnego etapu u jego dewelopera już kosztują o 200 tys. zł więcej. Wie, że jego jeszcze zyska na wartości. Ale z drugiej strony jakby co, o klienta na tak drogą nieruchomość będzie trudno.

Chyba faceci zwłaszcza tak mają, że chcą widzieć progres nieustannie. Teraz jest niemożliwy i działa to demotywująco. A Paweł zaczynał karierę w duchu, że studia i języki będą gwarantem statusu, świat będzie stał otworem.

Jest taka wersja gry „Monopoly”, dla mileniśców. Bez pieniędzy i aktywów, zamiast nich nabywa się wspomnienia, doświadczenia. Nic nie kupujesz, tylko bierzesz udział w jakiejś akcji społecznej, wymiankach, jedziesz na koncert. Wygrywa gracz najbogatszy w doświadczenia.

Kiedy oryginał „Monopoly” jest, wbrew stereotypowi, satyrą na kapitalizm – nie ma tak, że możesz poprzestać na małym biznesie, bo cię zjedzą, gromadzisz aktywa, żeby wykończyć – nowa wersja ma odzwierciedlać prawdziwego ducha mileniśców. Ale też stała się parodią samej siebie, bo teraz odrzucenie wydatków i ciuchy z wymianki zamiast z Zalando dla wielu są koniecznością, a nie wyborem. Kolekcjonowanie prostych doświadczeń to wszystko, co nam zostaje.

Paweł myśli, że niektórzy młodzi pewnego progu nie przeskoczą. Jeśli nie mają poduszki finansowej i rodziców, którzy pomogą z wkładem własnym, mieszkanie jest po-

za możliwościami. Jak nie odziedziczysz, to swoją pracą do niego nie dojdiesz.

Młodzi w Warszawie stają się jak ich rówieśnicy w zachodnich stolicach. Koleżanka Pawła mieszka w Londynie i dla niej kupno mieszkania, które teraz wynajmuje, jest jak dla niego marzenie o kupnie jachtu na Lazurowym Wybrzeżu. Tak odległe finansowo i mentalnie, że nawet o tym nie myślisz.

...

– 6 tys. zł rat? Przecież ja nawet nie zarabiam, a myślałam, że zarabiam całkiem spoko – mówi 38-letnia Agata.

Z mężem kupiła 75-metrowe mieszkanie na Ursynowie, raty 2,8 tys. Mieli świadomość, że wzrosną, i kiedy sięgały 3,8 tys., to już nie było fajnie, ale nadal wydawało się to racjonalne. Ale gdy przy 5,8 tys. Agata dowiedziała się, że mają jeszcze urosnąć o 400 zł, to myślała, że to musi być pomyłka. A jeszcze wcześniej wjechał „Polski ład” i wynagrodzenie męża obniżyło się o 800 zł, więc są do tyłu o 3-4 tys. zł, nie licząc wzrostu kosztów życia przez inflację.

Oboje pracują na kierowniczych stanowiskach. Nie pułap przeciętnego Kowalskiego, ale też nie kadra menedżerska w wielkiej korporacji. Nie mają problemów ze spłacaniem kredytu, ale budżet jest na styk. Agata nie chce się użalać, sytuacja nie jest bardzo zła. Ale to frustrujące, że tyle pracujesz, a nic nie masz.



➤ Agata myśli, że w tym prorodzinnym kraju raty najbardziej uderzają w rodziny, bo to one kupują większe mieszkania i mają wyższe kredyty.

Z jednych wakacji zrezygnowali – był plan, by wysłać gdzieś dziecko z babcią. Jakby list z aktualizacją rat przyszedł dwa dni później, to nie jechaliby też do Chorwacji. Wykupili wakacje dla trojga za 9 tys., mieli nawet opcję rezygnacji, ale jakoś nie mogli się na to zdobyć. Bardzo już tego wyjazdu potrzebują.

Dziecko ma osiem lat. Pierwszy raz w życiu słyszy, że rodzice czegoś mu nie kupią, bo nie ma pieniędzy. Jak chce lody, to z Żabki, a nie z cukierni. Chodzi teraz na osiedlowy basen (okazało się, że wcale nie jest zły), a nie na Warszawiankę.

Pani sprzątająca przychodzi dwa razy w miesiącu. Niedawno Agata powiedziała jej, że chciałaby co tydzień, ale teraz musi się wycofać.

Kiedy Agata ostatnio kupiła coś dla siebie, nie pamięta. Książek i ciuchów już nie kupuje, nie zamawia pizzy, nie chodzi do kina. Myśli, ilu ludzi teraz nie zarabia przez to, że wszyscy rezygnują z konsumpcji. Jednocześnie dostrzega pewne plusy – okazuje się, że nie wszystko jest tak bardzo potrzebne.

...

Pieniądze same w sobie nie były u niej nigdy specjalnie ważne. W rodzinnym domu nie przelewało się, potem też czasem były, czasem nie. Z mężem żyli bez szaleństw, rzadko jedli na mieście, ale nie musieli na wszystkim oszczędzać.

Myślała, że na tym etapie życia będzie czas na odkładanie, a nawet że będzie się dało pracować mniej. Bo Agnieszka pracuje bardzo dużo, a chciałaby więcej czasu spędzać z rodziną.

Nie chce rezygnować z edukacji dziecka, z zajęć dodatkowych, z badań lekarskich, które trzeba robić prywatnie. Po to ciężko pracowała z mężem przez lata, by nie musieć oszczędzać na wydatkach na rodzinę. Ale się nie da.

Nigdy nie podejmowali ryzyka, a teraz czują się jak frankowicze. Agata czuje się zakładniczką banku nie dlatego, że zaszalała, tylko dlatego, że oszukało ją państwo. Bo nie może być tak, że w dwa-trzy miesiące położenie zmienia się tak diametralnie i na nic nie możesz liczyć. Najpierw stopy procentowe nie rosną wcale, a potem osiem razy.

Może to, co się dzieje, doświadczy młodych jako pokolenie na dłużej. Gdyby na przykład teraz Agata straciła pracę, miałoby to konsekwencje na lata. Długi, przeprowadzki, zmiana szkoły.

Agata mówi: – Nie pójść do fryzjera, oszczędzam, gdzie mogę, żeby mieć coś na czarną godzinę, jak mnie znowu ten kraj wystawi. Jak do tego doszło, że bogacą się na nas banki, gdy rządzi bankier?

Przyjaciółka mieszka za granicą, myślała o tym, by wrócić, ale Agata powiedziała jej, żeby absolutnie tego nie robiła. To było wtedy, gdy był kryzys na granicy z Białorusią.

Bo jak możesz ufać państwu, które przetrzuca dziecko przez płot? Zabiera kobietom prawo do aborcji i cywilizowanej opieki ginekologicznej? Nawet na porządną szkołę nie możesz liczyć.

Jest przeciwniczką i beneficjentką 500 plus jednocześnie. Choć zachodnie państwa też łączą na dzieci, jej zdaniem lepsza dla wszystkich byłaby realnie działająca opieka zdrowotna czy ratownictwo medyczne.

Wielu jej znajomych zaczyna myśleć o emigracji, zwłaszcza ci, którzy mają fach, jak lekarze. Niektórzy się pakują, inni już wyjechali.

...

Marek z Katowic, lat 40, nie marzył o iPhone ani o innych luksusach, tylko żeby więcej czasu spędzać z rodziną. Dlatego przy-

jął urzędniczą posadę, gorzej płatną niż korpo, ale przynajmniej nikt nie zaskakiwał go „a weź ogarnij jeszcze to” wieczorem czy w weekend.

Sprzedał mieszkanie w kamienicy (koniec ze schodami i 800 zł czynszu), kupili mały domek. Mają ogródek, wkręcił się w jego uprawę, wreszcie mógłby mieć drugiego upragnionego psa.

Plan się wywalił, bo wzrosły koszty i rachunki za gaz. Rata kredytu, który wziął dwa lata temu, skoczyła z 1,2 tys. do 2,1. Ogrzewanie? Zakładał 6 tys. zł rocznie, a będzie 10 tys.

Żona ma sklep ze specjalistycznym sprzętem. Kokosów z tego nie ma, a jeszcze „Polski ład” go dojechał. Żeby utrzymać ten sam poziom życia, musiał wziąć dodatkową pracę. 20 godzin w tygodniu. Drugie zajęcie to coś, co bardzo lubi, ale chodziło o to, żeby być w domu z dzieckiem, póki jest w wieku, kiedy ono tego jeszcze chce.

Niedawno jemu i znajomym się powodziło. Mieli na wyjazdy, zmianę samochodu, wyjście do teatru. Kupowali rękodzieło. Marek nie zafundował sobie kina domowego, ale miał taki luz, że jak spodobala mu się jakaś koszula, to ją kupował. W każdym razie stać go było nie tylko na podstawowe wydatki.

Trochę się boi. Po raz pierwszy od kilku lat zastanawia się, czy stać go na jakiś niezaplanowany zakup. Jak nie będzie musiał w wakacje wozić córki do szkoły i na zajęcia, to przesiądzie się na rower.

Od dawna nie był na wakacjach, bo był remont. Ale w tym roku uparł się, żeby jechać na dwa tygodnie, z sąsiadami za granicę.

Co gorsza, nie widzi planu, co dalej. Nikt nie mówi, jaka będzie inflacja, o ile maksymalnie wzrosną stopy procentowe. Ru-chy państwa są z gatunku „jest pandemia, to

czasem musi sam od siebie pożyczać na życie, a jeszcze inflacja. W najlepszym wypadku każdy miesiąc kończy na zerze.

Swojego mieszkania chyba nie będzie miał nigdy. Jedyna opcja to szukać daleko poza Warszawą – może nawet w rodzinnym mieście? Bo nie chce przeprowadzać się gdzieś, gdzie nie zna nikogo.

Na wakacje jeździ do rodziny lub znajomych, bo najtaniej. Mógłby też jechać na wycieczkę rowerową i spać w hamaku.

Coraz więcej znajomych chce wyjeżdżać za granicę. Też o tym myśli, nawet o tym, żeby iść do pracy fizycznej.

Tomasz Ryznarowski, wiceprezes serwisu Jakikredyt.pl, mówi, że zdolność kredytowa konsumentów spadła o 55-60 proc. od kwietnia zeszłego roku. Rodzina z jednym dzieckiem, z dochodem 7 tys. netto rok temu mogła dostać blisko 600 tys. zł, teraz za 241 tys. (według analizy ofert z ośmiu banków).

A singiel z dochodem 16 tys. netto? W zeszłym roku mógł kupić nieruchomość za 1,4 mln zł, teraz tylko 650 tys. – Tak niska dostępność mieszkań ostatni raz była notowana w III kw. 2014. Gdy pojawią się dane indeksu za drugi kwartał tego roku, może się okazać, że dostępność mieszkań jest najniższa od dekady –mówi Ryznarowski.

Wzrost wynagrodzeń nie nadąza za cenami. – Klienci dobierają do kredytów braci, siostry, żeby zwiększyć szanse na pozytywną decyzję. Czasem i to nie wystarcza, np. ze względu na wiek rodziców.

Nie jest tak, że nie kupuje nikt – niektórzy kupują domy za milion, tylko że nie są to, jak kiedyś, luksusowe wille, tylko szeregowki w stanie deweloperskim i pod miastem.

Na przykład jedna z klientek wzięła kredyt na dom, ale raty tak rosły, że odsprzedała go deweloperowi, nim go odebrała. Jeszcze zarobiła, choć została bez mieszkania.

„Sytuacja zawsze faluje. Jest spora szansa, że trudności miną i jeszcze wiele dobrego przed nami”. Psycholodzy pocieszają młodych kredytobiorców

...

Jacek, dziennikarz, 37 lat, mieszka z 40-letnim współlokatorem. Już bardzo tego nie chce, ale własne mieszkanie to cel całkowicie nierealny. Przez chwilę wydawało mu się, że robi się dobrze – kiedy trzy miesiące przed pandemią dostał pierwszą w życiu sensowną podwyżkę. Ale w pandemii zarząd obniżył wynagrodzenia i Jacek zarabiał jeszcze mniej.

Plany o mieszkaniu pojawiły się przy innej okazji, gdy dostał ponad 20 tys. spadku. Miał jakieś oszczędności, jakby pożyczyl od mamy i uskuładał 80 tys. zł, kupiłby 35 metrów za 300 tys. zł pod Warszawą. Nie ma wygórowanych aspiracji, uszczęśliwiłoby go naprawdę niewiele. Ale to cena sprzed dwóch lat. Gdy doszła do 400 tys., przestał przeglądać ogłoszenia. Stracił już wtedy zdolność kredytową.

Został z 55 tys. zł na wkład własny i nie wie, co z nimi zrobić. Poprawka, z 50 tys., bo

...

Z badań dr Mikołaja Lewickiego, socjologa z UW i Michała Kotnarowskiego z PAN wynika, że nasila się w Polsce tzw. wtórna familiaryzacja społeczeństwa. Czyli rośnie waga więzi rodzinnych dla młodych ludzi, bo liczyć mogą tylko na rodzinę. Jak nie odziedziczą mieszkania po babci albo nie wynajmą tanio od cioci, to będą musieli polegać na własnej pracy i nadziei na awans społeczny. A te stają się coraz bardziej niepewne.

– Uzależnienie pokoleniowe niekoniecznie pasuje młodym. Mówi się, że rodzina jest najważniejsza, ale normy się zmieniają. Teraz młodzi muszą czasem wchodzić w dość złożone układy i ważyć między lojalnością wobec rodziny, a odmiennymi wartościami i stylami życia –mówi Lewicki.

A miało być inaczej. Młodzi długo słyszeli, że właściwie jak tylko w siebie uwie-

rzą i w siebie zainwestują, to daleko zajdą. – Teraz się okazuje, że jak ktoś się rozwijał i awansował, to nie wystarczy, żeby osiągnąć i utrzymać status. Staje się nieuchwytny.

Z taką sytuacją wielu spotka się po raz pierwszy. Gdy był kryzys 2008 roku, niektórzy byli jeszcze na studiach. Taką inflację pamiętają rodzice i dziadkowie. W ostatnich czasach z dużymi trudnościami mierzyły się tylko niektóre grupy, jak frankowicze, teraz kryzys dotyczy prawie wszystkich. Inflacja, groźba recesji i wysokie raty są dla wielu młodych pierwszym momentem mocnego hamowania. – Obawiają się utraty uznania społecznego. Nie chodzi tylko o to, że nie mogą jechać na wakacje, tylko czy inni nie zaczną inaczej mnie traktować, jak nie będzie mnie stać –mówi Lewicki.

W Polsce kultywujemy anglosaski i niemiecki sznyt indywidualnej odpowiedzialności za swój los. Etos ciężkiej pracy jest ważniejszy nawet niż demonstracje przyjemności, które potem z tej pracy wynikają.

Uważamy do tego, że sami jesteśmy odpowiedzialni za sukcesy i porażki. Choć widzimy, że problem dotyczy wielu ludzi, to uważamy, że rozwiązania są w naszych rękach. Jeśli sobie nie radzimy, inni mogą nas uznać za nieudaczników. Polskie społeczeństwo jest pod tym względem mało elastyczne: status, jaki daje posiadanie mieszkania, praca i rodzina, trudno odzyskać, jak się je raz straci.

Nie dostrzegamy niepewności, z którymi bez pomocy innych i bez systemu bezpieczeństwa socjalnego trudno sobie poradzić: bezrobocie, niepewne zatrudnienie, skutki inflacji i recesji, rynek mieszkaniowy, na którym mieszkanie jako towar okazuje się niedostępne (za to jest atrakcyjne dla inwestorów i spekulujących nieruchomościami).

Ale w kolejnym etapie możemy już nie chcieć walczyć w pojedynkę. Może zaczniemy zadawać pytania, dostrzegać problem jako wspólny. Dziś jeszcze niektórzy dziedziczą mieszkania, niektórym młodym kupili rodzice, ale powoli się kończy dziki sen o tym, że każdy ma być właścicielem. Zwiększa się luka czynszowa, czyli rośnie populacja tych, których nie stać na kredyt, a zarabiają za dużo, by dostać mieszkanie od gminy. Zresztą mieszkań komunalnych jest jak na lekarstwo, a rynek najmu komercyjnego niestabilny i niewielki. Może potrzebne są inne reguły i inna polityka? Zmiana systemu? Może czynsze muszą być niższe?

A dlaczego depozyty są oprocentowane na 2 proc., a nasze kredyty na 10? Czy bank dobrze na pewno nalicza moje raty? Może jest jakiś problem systemowy i takich ludzi jak ja jest więcej? Kredytobiorcy zastanawiają się między sobą: dlaczego bankierzy używają wskaźnika WIBOR, który związany jest z kosztem pożyczania sobie pieniędzy przez banki, a przecież wiele wcale nie pożyczka, bo je ma?

– Coraz więcej ludzi uświadamia sobie, że wartość pieniądza jest względna, a reguły jej ustalania niejednokrotnie wykraczają poza to, co wydawało się przejrzyste w umowach kredytowych czy co obiecywali przedstawiciele sektora finansowego –mówi Lewicki.

Gdy frankowicze swój problem uwspólnili i zaczęli patrzeć przez pryzmat interesu grupowego, prawie stworzyli ruch społeczny. Przez chwilę sprawa się upolityczniła, zderzano rady Bronisława Komorowskiego, by brać kredyty, z deklaracjami Andrzeja Dudy o pomocy frankowiczom. Ale fatalnie konsumenci poszli do sądów, które wciąż rozstrzygają indywidualne albo zbiorowe pozwy. Nie doszło to systemowego rozwiązania problemu.

...

Jak będzie teraz? Jak zareagują młodzi? Dostrzegą systemowe mankamenty, obudzą polityków, doprowadzą do rozwiązań systemowych czy pójdą do sądów?

Lewicki jest ciekaw reakcji kobiet, które szybciej niż mężczyźni usamodzielniają się i awansują, są lepiej przy-

stosowane do rynku pracy. Choć duże decyzje w rodzinie podejmuje się prze-
ważnie wspólnie, częściej to one odpo-
wiadają za domowy budżet i rozwiązy-
wanie problemów z pieniędzmi. Czy bę-
dą chciały o tym opowiedzieć?

Dr Jolanta Tkaczyk, ekspertka ds. za-
chowań konsumenckich z Akademii
Kozłmińskiego, mówi, że kryzys może
być zagrożeniem, ale też szansą. – Będą
tacy, którzy się świetnie zaadaptują, obu-
dzą w sobie ukrytą przedsiębiorczość.
Tak było po 2008 roku.

Ale niektórym grożą problemy ze
zdrowiem psychicznym. Już jesteśmy
obciążeni przez pandemię i wojnę. – Nie
chodzi o to, że są słabsi, ale na przykład
nie mają wsparcia rodziny czy państwa.

Myśli, że młodzi, którzy mają niewie-
le do stracenia, będą wyjeżdżać. Mo-
żemy zaliczyć scenariusz hiszpański
sprzed dekady, gdy wyemigrowało wie-
le młodych ludzi – nazwano ich straco-
nym pokoleniem – w poszukiwaniu pra-
cy. – Wiele moich studentów i studentek,
czyli zetek, mówi, że myśli o emigracji.

Psycholodzy pocieszają, że na dłuższą
metę kłopoty nas nie unieszczęśliwią.
Sławomir Prusakowski, psycholog i tre-
ner biznesu z Uniwersytetu SWPS, mó-
wi, że według cebulowej teorii szczęścia
prof. Józefa Czaplińskiego jego poziom
jest mniej więcej cały czas taki sam, a jak
nas coś unieszczęśliwia – jak brak waka-
cji i rezygnacja z przyjemności czy nawet
śmierć w rodzinie – to nie na bardzo dłu-
go. Gdy jedna łuska odpada, to przyzwyczajamy się szybko do nowej sytuacji. Do
gorszej finansowej – też.

– To dziś mizerne pocieszenie, ale tak
to jest, że sytuacja zawsze fałuje. Jest
spora szansa, że trudności miną i jeszcze
wiele dobrego przed nami.

Nie zmienia to faktu, że dziś, bez
względu na to, ile mamy, jeśli część z te-
go tracimy, możemy czuć frustrację
i złość. Niezależnie od stanu posiada-
nia – jeśli jesteśmy zmuszani do zmian,
to pojawiają się negatywne emocje, bo
odczuwamy stratę. Jest ryzyko, że pod
wpływem takich emocji podejmimy
złe decyzje, trudne do odkręcenia, bo na
przykład zakopimy się w jeszcze więk-
sze długi. Niektórzy się pośliszną i już
nie odzyskają statusu.

Lecz dla zdecydowanej większości z nas
trudności miną i będziemy się odbudowy-
wać krok po kroku – o ile nie przyjdą nowe
kryzysy. – Ale statystycznie im więcej kry-
zysów jest za nami, tym mniej przed nami
– zauważa Prusakowski.

Podobnie uważa Agata Gąsiorowska,
psycholożka z Uniwersytetu SWPS. – Si-
nusoidalność w gospodarce jest normą.
Możemy czuć frustrację tym, że nie za-
łapaliśmy się na lepszą koniunkturę. To
wcale nie jest jednak najgorsze nieszcze-
ście. Kryzys ekologiczny i klimatyczny
będzie dużo gorszy.

Gąsiorowska martwi się raczej
o 25-latków i młodszych. Ich rodzice,
którzy wchodzili na rynek na początku
lat 90., w czasach ogromnej hossy, ma-
ją skłonność, by kompensować dzieciom
to, czego sami nie doświadczyli. Takie
dzieci wychowane były w kloszu finan-
sowym i wciąż czują, że rodzice czuwają
nad ich finansami.

Nie widzą zależności między wysił-
kiem a pieniędzmi, bo one zawsze by-
ły. Dobrze, że na przykład odpuszczają
pracę, która jest opresyjna, ale jednocze-
śnie narażają się na poważne trudności
w chwilach kryzysu, gdzie nikt pieniędzy
nie będzie im już dawał.

Według niej kryzys może niektórym
z nas wyjść na dobre, bo skłonimy się
do oszczędzania i bardziej świadome-
go wydawania. Do tego może zwrócimy
uwagę, które wydatki są ważne, a któ-
re tak naprawdę nie. Ktoś stracił szansę
na kredyt? Nie jestem pewna, czy kredyt
na 35 lat to jedyny dobry pomysł na ży-
cie. Dla niektórych może tak, dla innych
pewnie istnieją lepsze opcje. ●

Wyrok aborcyjny w USA ma więcej wspólnego
z mecenasem Giertychem, niż myślicie

Nie powinienem rozliczać PiS

Matczak



Gdy marszałek Grodzki zapowie-
dział, że przyszłym prokuratorem
generalnym, a tym samym osobą
rozliczającą PiS, może być mecenas
Giertych, najpierw zapadła niezręcz-
na cisza, a potem pojawił się niezły
hałas. I ta cisza, i ten hałas zwiastu-
ją, jak trudne będzie naprawienie te-
go, co przez ostatnie siedem lat ze-
psuto. Warto nad tym procesem się
zastanowić, nawet jeśli dziś to dziele-
nie skóry na niedźwiedziu.

Dlaczego protesty wobec propozy-
cji Grodzkiego poprzedziło krótkie za-
wahanie? Przez chwilę pomyślałam,
że może jednak powinien trafić swój
na swego: brutalności PiS trzeba prze-
ciwstawić twardego przeciwnika, ko-
sie kamień, politykom byłego polity-
ka, a nie tylko dobrego prawnika. Bo
Roman Giertych ma wiele cech, które
w czyszczeniu PiS-owskiej stajni Au-
giasza by się przydały: dużą prawni-
czą wiedzę, doświadczenie polityczne,
sprawność komunikacyjną. Jego kan-
dydatura ma jednak kluczową wadę:
nie będzie postrzegany przez Polaków
jako bezstronny, i to nawet wtedy, gdy
w rzeczywistości bezstronny będzie.

Bezstronności oczekujemy przede
wszystkim od sędziów, nie od polity-
ków. Ale jesteśmy w momencie klu-
czowym. Oto PiS od 2015 roku udo-
wadnia nam, że prawa nie ma – jest
tylko polityczna sympatia. Nie ma
zasad, które nami bezosobowo rzą-
dzą, są tylko kadry, lojalni znajo-
mi, którzy swoim przyjaciółom ro-
bią dobrze, a wrogom robią źle. Swo-
ich sędziów miała PO, teraz ma ich
PiS. Tamci orzekali dobrze dla ate-
istów, gejów, cyklistów i marynarzy,
ci orzekają dobrze dla katolików, he-
teroseksualnych, kierowców i wojsk
ochrony pogranicza. Normy prawne
są puste jak bukłaki, w które każdy,
kto rządzi, może wlać dowolną treść,
a potem zmusić innych, by ją wypili.

...

Ta wizja prawa ma nazwę: realizm
prawniczy. To cyniczne przekonanie,
że nie prawo, ale ludzie nami rządzą,
a wraz z nimi ich indywidualne pre-
ferencje. Według realizmu prawo to
tylko zasłona dymna, która – odpo-
wiednio użyta – uzasadni każdą decy-

zję. Pokazuje to amerykańska historia
orzeczeń aborcyjnych, która właśnie
rozgrywa się przed naszymi oczami,
jakby mało było przełomowych wy-
darzeń w ostatnich 36 miesiącach na-
szego życia. W 1973 r., gdy wydawano
orzeczenie Roe v. Wade, aborcja by-
ła prawem kobiety. W 2022, gdy wy-
dano orzeczenie w sprawie Dobbs, już
nie jest. Ani tekst konstytucji, ani pra-
wo do prywatności, na którym oparto
wcześniejsze rozstrzygnięcie, się nie
zmieniły. Zmienił się za to skład oso-
bowy Sądu Najwyższego: wtedy zasia-
dali w nim w większości liberałowie,
dzisiaj konserwatyści. Czy to nie naj-
lepszy dowód, że realiści prawnicy
mają rację?

Otóż nie. Wizja realizmu jest nie-
prawdziwa: prawo może cieszyć się
obiektywnym szacunkiem i dzie-
ki temu trwale rozstrzygać najbar-
dziej kontrowersyjne spory. Przykła-
dów jest wiele, choćby segregacja ra-
sowa w USA czy kompromis abor-

i przegranych, a ci ostatni prędzej
czy później bardzo chcą się odegrać.

...

Co to ma wspólnego z mecena-
sem Giertychem? Istotą rządów pra-
wa jest – jak sama nazwa wskazu-
je – to, że rządzą nami prawa, nie lu-
dzie. Największy grzech PiS to prze-
konanie Polaków, że jest odwrotnie,
że zawsze tak było i zawsze tak bę-
dzie. Trzeba zrobić wszystko, żeby
obalić to cyniczne przekonanie. Jeśli
odповідzią na Ziobrę, człowieka,
który jest symbolem frustracji i po-
trzeby wendety, odczuwanej przez
dużą część społeczeństwa, będzie
osobisty prawnik Donalda Tuska,
który sam, wraz z rodziną, został
brutalnie zaatakowany przez reżim
PiS-owski, nie da się tego zrobić.

Nie dlatego, że mecenas Giertych
nie jest w stanie być bezstronny – być
może jest, ale nie ma to znaczenia.

Istotą rządów prawa jest – jak sama
nazwa wskazuje – to, że
rządzą nami prawa, nie ludzie.

Największy grzech PiS to przekonanie
Polaków, że jest odwrotnie

cyjny w Polsce przed 2021 r. Gdy jed-
nak prawo zastąpić polityczną prze-
mocą, społeczeństwo zaczyna niszc-
zyć syndrom ABBY – zwycięzca bie-
rze wszystko oprócz brania jeńców.
Wygrane wybory pozwalają mu to-
talnie zagarnąć przestrzeń publiczną,
bo zamiast traktować ją wciąż ja-
ko wspólną, którą pozwolono mu
chwilowo zarządzać, dominuje ją
i utrwała swoje rządy tak, by nigdy
ich nie stracić. W ten sposób kończy
się demokracja, bo kończy się szacu-
nek dla przeciwnika, a dobro wspól-
ne zastępuje powszechna polary-
zacja.

To, co stało się w USA, może być
końcem autorytetu Sądu Najwyż-
szego. I to nie tylko z powodu te-
go, co zrobił obecny skład. Od wie-
lu lat, zamiast sądzić w duchu odpo-
wiedzialności za zbalansowanie in-
teresów postępców i konserwaty-
stów, przeciągano linę złożoną z pa-
ragrafów na jedną albo drugą stronę.
Najpierw długo na stronę liberalną,
a teraz w stronę przeciwną. Tak to
już jest, gdy zamiast rozstrzygać spo-
ry, uprawia się sport siłowy: społe-
czeństwo rozpada się na wygranych

Bezstronność ma dwa wymiary. We-
wnętrzny, rozumiany jako zdolność,
by oprzeć się presji, czy to wywieranej
przez kogoś innego, czy to presji swo-
ich subiektywnych preferencji. Ale
i zewnętrzny, czyli bezstronność po-
strzegana przez innych. Nawet gdyby
był całkowicie bezstronny wewnętrz-
nie, cokolwiek mecenas Giertych zro-
bi, przez wielu Polaków będzie to po-
strzegane jako walka o swoje, nie
o wspólne. A to nie jest właściwe roz-
wiązanie dla Polski, nawet jeśli wielu
z nas, sfrustrowanych bezczelnością
i prymitywizmem siepaczy PiS, dało-
by poczucie zasłużonej odpłaty.

Żeby była jasność: z tych samych
powodów inne osoby zaangażowa-
ne osobiście w spór z PiS, w tym pisa-
cy te słowa, nie powinny się zajmować
ich rozliczaniem, kiedy przyjdzie na to
czas. A rozliczyć oczywiście trzeba. Po-
winno to zrobić ciało kolegialne, naj-
lepiej złożone z naszych najbardziej do-
świadczonych sędziów, być może już
w stanie spoczynku, niezaangażowa-
nych w codzienne spory. Oczywiście
i tak szczupnia przesłodzi ich życiory-
sy do czwartego pokolenia wstecz. Ale
takie rozwiązanie, w przeciwieństwie
do tego, które zaproponował marszał-
ek Grodzki, daje jakąś szansę, by prze-
konać Polaków, że prawo to nie woj-
na wszystkich ze wszystkimi, którą wy-
grywa ten, kto lepiej dla siebie obsadzi
odpowiednie przyczółki.

W takiej wojnie nie ma zwycięz-
ców. Przeciwnie – przegrywamy ją
wszyscy, tylko niektórzy z nas prze-
konają się o tym dopiero przy kolej-
nej zmianie władzy. ●

Marcin Matczak

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo
ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych
osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra
Sobczak, Bartosz T. Wieliński

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy jest zabronione.



BLASZCZAK

OPOWIEŚĆ O PODRĘCZNYM

Dla PiS jest tym, kim dla Demokratów był Francis Underwood z „House of Cards”

Piotr Głuchowski

Dwadzieścia lat temu przegrał wybory na prezydenta Legionowa. Trzy lata później nie dostał się do Sejmu z listy PiS. Potem już zawsze wygrywał, awansował, powiększał swoje wpływy u boku prezesa. W końcu zastąpił go na stanowisku wicepremiera i przewodniczącego komitetu ds. bezpieczeństwa. Jest silny jak nigdy wcześniej. Polityczni towarzysze mówią: człowiek z marmuru.

OSOBA IDEALNIE OBLĄ

Co takiego sprawiło, że skromny i pozornie nijaki polityk z Legionowa stał się – obok premiera Mateusza Morawieckiego – głównym kandydatem na delfina w PiS?

Odpowiada poseł Zjednoczonej Prawicy i były członek komisji obrony: – Mariusz ma faktyczne, a nie tylko deklaratywne poparcie w całej partii. Przez lata zawarł setki osobistych znajomości w terenie. Do tego najlepsze notowania w oczach prezesa. Lojalny absolutnie. Dla Jarosława, co wszędzie wietrzy podstęp, ta zaleta jest ważniejsza niż inne.

Kazimierz Marcinkiewicz, były premier i szef Blaszczaka przez rok: – Posłuszny wykonawca Kaczyńskiego.

Radosław Fogiel, rzecznik PiS: – Poukładany. Nie boi się formułować własnych zdań, ale podjętą decyzję partyjną realizuje w stu procentach. Godny zaufa-

nia, pozbawiony niezdrowej ambicji. Nie w głowie mu wycinanie ludzi, podchody. Chce się pięć, ale z zachowaniem uczciwości. Rzeczywiście mógłby być nawet premierem. Ma na to kwalifikacje.

– Poza tym należy do tak zwanego zakonu Porozumienia Centrum – podpowiadam.

– Choć w „zakonie” jest bodaj najmłodszym członkiem. Nigdy nie zawiódł, nie kombinował, nie szukał szalupy. Zawsze na miejscu i wciąż taki sam.

Profesor Magdalena Środa, komentatorka polityczna: – On wypowiada się jak prezes Kaczyński, myśli jak prezes, gniewa się jak prezes, ma takich samych wrogów jak prezes, ma identyczne opinie, jest tak samo jak prezes wrażliwy i wrażliwy dosłownie na to samo.

Przewodniczący klubu Koalicji Obywatelskiej Borys Budka na sali sejmowej: – Blaszczak to skrót od słów: buta, łgarstwo, agresja, serwilizm, zarozumiałość, cynizm, zadufanie, arogancja, konfetti.

Członek komisji obrony: – Budka nie wie, co mówi. Kolega Blaszczak nigdy nie bywa agresywny, nigdy nie był butny ani arogantki, jest wręcz przesadnie skromny, co prezes ceni. A już ta zarozumiałość, konfetti... brednie. Przecież czerwony dywan i białoczerwone paprochy policjanci z Augustowa zafundowali zastępcy Mariusza, Jarosławowi Zielińskiemu, a nie jemu samemu.

W grudniu 2017 r. na sieciowej stronie MSWiA minister Blaszczak zakpił, składając świąteczne życzenia podwładnym: „śniegu jak konfetti i samych słonecznych dni”.

– No i widzi pan... jak ładnie powiedział, a ci się czepiają. I mają z tym czepianiem problem, bo Mariusz nigdy nie był sprawcą żadnej, nawet małej, afery. On jest osobą... idealnie oblą. Nie ma go za co zahaczyć. Ale niech pan próbuje...

CAŁY Z WDZIĘCZNOŚCI

Zbieram kolejne opinie. Pomorski poseł PiS Tadeusz Cymański (w Sejmie od dwóch dekad):

– To człowiek pracowity, życzliwy. Nie ściemnia. Nie krążą o nim żadne brzydkie plotki. Nie ma na prawicy wrogów – a to duża rzadkość.

Kujawski poseł PiS Tomasz Latos (w Sejmie od dwóch dekad): – Inteligentny, merytoryczny, uczciwy do bólu.

– Nikt niczego kontrowersyjnego nie opowie – mówi przywołany na wstępie polityk Zjednoczonej Prawicy. – Bo Mariusz dostarcza prezesowi informacji o działaczach partii. Nikt nie chce się narazić.

– Blaszczakowi?

– Prezesowi. Mariusz jest dla PiS tym, kim dla amerykańskich Demokratów Frank Underwood.

– Rzecznikiem dyscyplinarnym PiS pozostaje chyba wciąż Karol Karski...

– Tylko że nie ma tego dostępu do ucha prezesa, które ma Blaszczak.

Polityk ZP: – Wszystko prezesowi zawdzięcza i dobrze o tym wie. Składa się cały z wdzięczności.

CZŁOWIEK Z „ŻYLETY”

Ogólnopolska publiczność miała po raz pierwszy okazję usłyszeć nazwisko Blaszczaka w roku 2004. Prezydentem Warszawy był od dwóch lat Lech Kaczyński. Wybory na burmistrza i wiceburmistrza prestiżowej dzielnicy Śródmieście wygrali Jacek Sasin oraz Blaszczak – z wykształcenia historyk po Uniwersytecie Warszawskim, rocznik 1969. Ten syn inżyniera z fabryki na Żeraniu zaczął jako szeregowy referent legionowskiego urzędu miejskiego.

– Chciał się z miasteczka wyrwać – wspomina znajomy z dzieciństwa. – Wychowany między blokami, jak większość kolegów, po podstawówce nie poszedł do szkoły średniej tutaj, tylko do Warszawy, do Lelewe-la. Codziennie dojeżdżał kolejką. Ale po studiach wrócił. Koniec lat 90. to były takie czasy, że absolwent historii szedł do McDonald’s i jeszcze się cieszył, jak znalazł robotę. Mariusz był jednak w partii – i to go dźwignęło.

Należał do Forum Młodych Porozumienia Centrum, potem do PC, do Niezależnego Zrzeszenia Studentów, do Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej. Nośił wąsy i garnitur z sieciówek, słynął z dobrych manier, nie palił papierosów, nie nadużywał alkoholu, nie pchał się przed szereg. Szybko ożenił się z Grażyną, której prywatności strzeże jak żrenicy oka. Żaden z moich rozmówców nie widział go z żoną. Wiedząc, że Blaszczakowie mają trzech synów i solidny dom (wedle oświadczenia majątkowego wart pół miliona). Wszyscy w rodzinie kibicują Legii. Mariusz wykupił karnet w sektorze rodzinnym, bo – jak zdradził serwisowi Wirtualna Polska – trybuny VIP-owskiej „chronicznie nie znosi”. Brak na niej prawdziwych kibiców, a on takim jest. Za młodu wybierał „żyłetę”.

STARAŁ SIĘ NIE PRZESZKADZAĆ

Skończył podyplomowo Krajową Szkołę Administracji Publicznej i jako urzędnik legionowskiego magistratu wszedł do rady nadzorczej lokalnego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej. W 2002 r. ubiegał się o fotel prezydenta miasta. Z 11 proc. głosów nie wszedł do drugiej tury. Wtedy poszukiwał szczęścia u Lecha Kaczyńskiego. Został wi-



ceburmistrzem na Woli. Zajmował się takimi sprawami jak ubezpieczenie rwącej się plandeki nad amfiteatrem w parku Sowińskiego. Kierując dzielnicą wielkości Torunia, miał ćwierćmiliardowy budżet i to od niego – pośrednio – zależało, kto będzie dzierżawił lokale w miejskich kamienicach przy Krakowskim Przedmieściu czy na Marszałkowskiej.

– Zaliczył staż urzędniczy w Irlandii, wyszlifował angielski, mógł zostać wpływowym samorządowcem, lecz ambicją pchała go do pierwszej ligi – mówi sąsiad Błaszczaka z ławy. – Interesowały go parlament, kancelaria rządu albo ministerstwo.

Wystartował do Sejmu z warszawskiej listy PiS.

W kampanii przedstawiał się jako pasjonat historii i patriota pielęgnujący pamięć o księdzu Popieluszcze. Chwalił się pracą mągisterską poświęconą polityce zagranicznej Zygmunta III Wazy. Przypominał wyborcom, że zna się na administrowaniu, bo był referentem, wiceburmistrzem, burmistrzem. Na mandat nie wystarczyło. Startując za takimi tuzami jak prezes Kaczyński, Mariusz Kamiński, Joanna Kluzik-Rostkowska czy Jan Oldakowski (dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego), nie miał większych szans, lecz partia – jako całość – wyборы w 2005 roku wygrała. Nie tylko parlamentarne, ale też prezydenckie. Lech Kaczyński przeniósł się z ratusza do pałacu przy Krakowskim Przedmieściu. W efekcie wiceprezydent miasta awansował na wiceszefa MSWiA. Szefowa biura miejskiego – na głowę Kancelarii Prezydenta RP. Komendant straży miejskiej – na szefa ABW. I tak dalej. Błaszczak został szefem kancelarii premiera Kazimierza Marcinkiewicza.

– Narzucił mi go Jarosław Kaczyński, który chciał mieć bezpośrednie informacje o pracy kancelarii i o moich sprawach – mówi Marcinkiewicz. – Ja osobiście mu do końca nie ufałem. Staralem się go nie dopuszczać do głównych decyzji.

– Jakich?
– Nie uczestniczył na przykład w naradach na Parkowej ani w spotkaniach z ministrami, na których wypracowywaliśmy kluczowe kierunki działań.

– Czym się w takim razie zajmował?
– Zarządzał kancelarią. Obieg papierów, te rzeczy. Obowiązką wypełniał sumiennie. Umiał się dostosować do tempa i stylu mojej pracy. Rozumiał swoją rolę wysłannika Jarosława i starał się nie przeszkadzać.

Jeden z posłów PiS: – To Kazik, chociaż premier, był ledwo figurantem. A Mariusz pilnował, by nie narobił głupot. Wychodził z urzędu czasem przed północą. Wystarczy wspomnieć, co się porobiło z Kazikiem, gdy przestał być pilnowany.

Po Marcinkiewiczu szefem rządu został Jarosław Kaczyński. Błaszczak nie tylko zachował posadę szefa kancelarii, lecz stał się też po raz pierwszy ministrem (na razie bez teki) i przeszedł z premierem na ty. Dołączył do wąskiego grona takich jak Ludwik Dorn, Adam Lipiński, Kamiński...

– Prezes docenił jego naturalne dary: dyskrecję, cierpliwość, konsekwencję – mówi poseł Cymański. – Dlatego go dopuszcza, dlatego go promuje. Może się na nim oprzeć.

– Potrzebuje pod ręką kogoś w typie Mariusza – dodaje poseł z komisji obrony. – Podobą się jego kindersztuba, bo chociaż młody, prezentuje starą szkołę, i to mu na Nowogrodzkiej wybitnie pomaga. On dobrze o tym wie zresztą. Barbara Skrzypek, dyrektorka sekretariatu, słynna pani Basia, zawsze go na imieniny prezesa zaprasza. Jarosław ma pewność, że Mariusz zażyłości z nim nie nadużyje.

„SWOJEGO INTELEKTU NIE PRZESKOCZY”

Podobnie jak reszta najbliższych prezesa (Lipiński, Joachim Brudziński, Sasin) mknie często do Torunia i Częstochowy – wziąć udział w „Rozmowach niedokończonych”, zjeść wojskową grochówkę na pikniku „W Rodzinie Radia Maryja”. Mediów liberalno-lewicowych unika. Dwukrotnie nie dostałem nawet odmownej odpowiedzi. Raz wypowiedział się dla „Wyborczej”: „Jarosław Kaczyński jest najwybitniejszym żyjącym politykiem w Polsce, po prostu wie, co należy zrobić”. Po czym dodał jeszcze: „Prezes nie koncentruje się na sprawach bieżących. Najbardziej cenię w nim to, że potrafi myśleć szerzej od pozostałych”.

Posel PiS: – Mariusz też chce być taki, ale niestety, nie ma tej przenikliwości. Nie jest w stanie przewidzieć dalszego rozwoju polskiej sytuacji, bo swojego intelektu przecież nie przeskoczy. Potrzebuje mentora – i szczęśliwie ma.

Lata 2007-10 to czas, kiedy Błaszczak robi to, co lubi, czyli pracuje w cieniu. Mocniej uaktywnia się po słynnej rozmowie Donalda Tuska z Władimirem Putinem na sopockim moło: „Armia Czerwona przyniosła na ziemię polskie jedynie śmierć i pożogę (...) na porządku dziennym były: ludobójstwo, gwałty, grabieże. Mieliśmy kolejno: mord oficerów w Katyniu, proces przywódców Państwa Podziemnego, inspirowane przez Sowietów akty nienawiści...”.

Do katastrofy w Smoleńsku zostało pół roku.

PEJCZ NA KOLEGÓW

W kwietniu 2010 poza upadkiem tupolewa zdarzyło się jeszcze coś: Błaszczak założył sobie konto na Twitterze i wysłał w świat pierwszy wpis. „Witam serdecznie!”. Dwa słowa i wykrzyknik udostępniło z miejsca ponad 800 osób. Jeśli rzecznik klubu PiS chciał udowodnić internautom, że chwytą nowe technologie – to mu się nie udało. Na TT od razu pojawiła się masa dowcipów: „Co mówi Błaszczak, wchodząc do toalety? Witam serdecznie”. To go zniechęciło do dalszej aktywności na TT tak bardzo, że przez kolejne pięć lat zamieścił już tylko dwa tweety, oba w trakcie kampanii prezydenckich.

A w przedterminowych wyborach prezydenckich Kaczyński przegrywa z Komorowskim. Za to Błaszczak wygrywa: obejmuje stanowisko szefa klubu parlamentarnego partii i wchodzi do 12-osobowego komitetu politycznego PiS. Od teraz będzie whipem (pejczem), czyli gościem od pilnowania klubowej dyscypliny. A ta jest zagrożona. Kluzik-Rostkowska odchodzi, aby powołać partię Polska Jest Najważniejsza, którą Błaszczak nazywa „klubem naśladowców Prawa i Sprawiedliwości”.

W sierpniu 2010 r. europoseł PiS Marek Migalski publikuje list otwarty do prezesa partii. „Nasza słabość to pańska wina”. Oskarża Kaczyńskiego o cyniczne nakręcanie wojny polsko-polskiej, które po porażce wyborów prezydenckich doprowadzi do tego samego i w samorządowych.

– Migalski nie ma racji – odpowiada Błaszczak. – Partia ma świetny program i gotowe projekty ustaw. Nasz cel to wygrać sejmiki w siedmiu województwach, gdzie w prezydenckich zwyciężył Jarosław Kaczyński. Za rok wygramy również wybory parlamentarne!

Na razie wygrywa Platforma – wszędzie poza lubelskim i podkarpackim, a i tam PiS nie dochodzi do władzy. Partia przegrywa także w Legionowie. I reaguje na klęskę zaostrzeniem kursu. Gdy prezes

stwierdza, że „tacy jak Komorowski, Tusk oraz jeszcze kilku powinni na zawsze odejść z politycznej sceny”, Mariusz rozwija myśl szefa w audycji Radia ZET: – Rząd i premier w poczuciu moralnej odpowiedzialności

ści za katastrofę smoleńską winni pójść do dymisji!

MARIUSZ, KTÓRY OBIECUJE

Zmiana tonu następuje znienacka, kiedy łódzki taksówkarz na emeryturze zabija działacza PiS i przyznaje, że „chciał zastrzelić Kaczyńskiego, lecz miał za małą broń”. Część polityków PiS mówi mediom, że boi się o swe bezpieczeństwo. Błaszczak z grupą liderów partii redagują „Deklarację przeciw przemocy i nienawiści w życiu publicznym i mediach”, ale PiS wraca do ostrego kursu. Na miesięcznicach smoleńskich Błaszczak skanduje z innymi „Rząd pod sąd!” i „Komorowski – zdrajca Polski!”. Donosi do prokuratury na posła Janusza Palikota, którego oskarża o „podle insynuacje na temat Smoleńska”, i ściera się werbalnie z posłami Platformy, którzy kpią z roli Kaczyńskiego w dawnej opozycji („trzynastego grudnia spałeś do południa”).

Organizuje konferencje prasowe, na których zarzuca Platformie przyzwolenie na handel narkotykami (dopalacze), ukrywanie dowodów wskazujących na „rosyjską winę w sprawie 10 kwietnia”, promowanie narodowości śląskiej „w celu dezintegracji państwa”. Uczestniczy w zbiorce podpisów pod apelem o stworzenie na Krakowskim Przedmieściu „pomnika światła”. Głośno domaga się od rządu PO-PSL wynegocjowania równych dopłat rolniczych dla starej i nowej Europy. Prócz tego obiecuje Polakom (w imieniu partii i po jej wygranej) 700-złotową trzynastą emeryturę oraz 600-złotowy „dodatek drożyzniany na każde dziecko” sfinansowany nowym podatkiem bankowym.

Ale w 2010 r. w badaniach CBOS rozpoznawalny jest tylko dla 30 proc. respondentów. Ufa mu co czwarty z nich (8 proc.). Dla porównania: prezesa Kaczyńskiego darzy zaufaniem co trzeci. Najgłośniejsze wydarzenie z udziałem Błaszczaka w tych latach to jego wyjście ze studia Moniki Olejnik w proteście przeciw jej „nierzetelności i niechęci do PiS”.

Gdy przychodzi do konstrukcji list wyborczych, polityk dostaje „jedynek” w okręgu podwarszawskim. Pomógł Ludwik Dorn, który publicznie przyrównał centralę PiS do „dworu sułtana otoczonego eunuchami”. W efekcie „eunuch” Mariusz ma w tzw. podstołecznym obwarzanku miejsce stuprocentowo biorące, a „trzeci bliźniak” spada na pozycję drugą i wkrótce pożegna się z wielką polityką.



PAS TRANSMISYJNY
PREZESA

W trakcie kampanii w 2011 r. Błaszczak odwiedza wyborców w Pruszkowie, Otwocku, Wołominie, Ossowie (gdzie dokłada z własnej kieszeni do budowy Panteonu Bohaterów Smoleńska), a także w rodzinnym Legionowie, gdzie sprzeciwia się prywatyzacji ciepłowni, którą przed laty nadzorował. Intensywna praca popłaca: dostaje prawie 45 tys. głosów i przedłuża poselski mandat, ale partia przegrywa.

Prezesa atakują Zbigniew Ziobro oraz Tadeusz Cymański i Jacek Kurski, który nazywa partię „skrzyżowaniem przedszkola z kolonią karną”. Błaszczak prowadzi wiernym prezesowi. W rozmowie z TVP Info opisuje niesfornych jako „pożytecznych idiotów Tuska” robiących „operę mydlaną”. Nową partię, która przyjmie nazwę Solidarna Polska, określa mianem „szkodliwej inicjatywy”.

Próba sił między wiernymi prezesowi a frakcją ziobrystów jest pierwsze posiedzenie nowego klubu parlamentarnego PiS oraz wybór szefa. Jarosław ponownie wskazuje Mariusza. W tajnym głosowaniu na 150 posłów przeciwnych Błaszczakowi jest aż 20. Po ogłoszeniu wyników Ziobro chce coś wyjaśnić, lecz prezes nie udziela mu głosu. Zamiast tego podnosi się Błaszczak, który lodowatym tonem informuje ziobrystów, że ich postawę „zbada rzecznik dyscyplinarny”.

– Na klubie po raz kolejny pokazał lojalność całkowitą – wspomina sąsiad z ławy. – W statucie partii jest zdanie „prezes kieruje pracami klubu za pośrednictwem przewodniczącego”. Tych kilka słów oddaje sedno sprawy. Mariusz to pas transmisyjny.

Ocena dyscyplinarna ziobrystów wypadła negatywnie. Na antenie TVN 24 whip porównuje Zbigniewa do piromana, który podkłada ogień...

Na kolejnych urodzinach Radia Maryja w Toruniu dotychczasowi towarzysze siadają osobno (choć wszyscy w pierwszych rzędach kościoła św. Józefa): Błaszczak z Brudzińskim, Macierewiczem i Beatą Kempą, po przeciwnej stronie nawy: Ziobro i Kurski. Ojciec dyrektor udziela głosu tylko pierwszej grupie. W imieniu koleżeństwa przemawia Mariusz, który osobiście zebrał wśród posłów z klubu PiS kilkadziesiąt tysięcy złotych na toruńską uczelnię medialną:

– Spotkałem się z określeniem, że Radio Maryja jest amboną narodu polskiego i rzeczywiście to określenie trafne – zaczyna. – Za pośrednictwem tego radia możemy przekazywać nasze opinie, oceny, możemy wypracowywać nasze stanowiska w ważnych dla Polski sprawach. Jeżeli możemy pomóc choćby drobną kwotą, jesteśmy przeszczęśliwi!

MARIUSZ NA OSTRO

Latem 2012 roku – za zgodą prezesa – tka samodzielnie konstrukcję polityczną. Jarosław Gowin, minister sprawiedliwości w drugim rządzie Tuska, przygotował projekt ustawy regulującej procedury zapłodnienia in vitro – tylko dla małżeństw i bez mrożenia nadliczbowych zarodków. „Przygotowany przez pana projekt jest w wielu punktach zgodny z propozycjami PiS” – pisze do ministra Błaszczak. I dalej: „odczytujemy, że w PO są parlamentarzyści o konserwatywnych przekonaniach, dla których kierunek etyczny (...) jest tożsamy ze społeczną nauką Kościoła. W naszej opinii pozwala to sądzić, iż rozmowa o tym trudnym problemie jest możliwa”.

Sejmowy sąsiad: – Mało kto dziś pamięta, ale właśnie od listu Błaszczaka zaczęła się droga Gowina do Zjednoczonej Prawicy. W zwycięstwach pomaga też Platforma, seria afer, którymi prawica i jej media skutecznie obciążają rządzących, jak Amber Gold.

Zaczyna się grillowanie premiera Tuska i całej PO. Nowym paliwem może być wszystko: od pomylenia ciał w trumnach ofiar Smoleńska po szkoleniowy wyjazd Państwowej Komisji Wyborczej do Moskwy. Gwoździem do trumny PO jest afera

podsluchowa. Na taśmach z restauracji Sowa & Przyjaciele szef MSW Bartłomiej Sienkiewicz pyta prezesa NBP Marka Belkę, czy bank mógłby wesprzeć rząd, aby nie dopuścić do wyborczej wygranej PiS. Dla Błaszczaka to koronny dowód na manipulowanie wyborami. Oraz na coś jeszcze.

– Byłem niedawno w Goldapi – mówi podczas sejmowej debaty nad odwołaniem Sienkiewicza. – Tam podszedł do mnie mężczyzna, który pytał, jak ma za 1,5 tys. zł miesięcznie utrzymać żonę i dzieci. A Belka i Sienkiewicz wydali taką kwotę lekką ręką na jedną kolację, planując, co zrobić, by Prawo i Sprawiedliwość nie wygrało wyborów. Sitwa rządzi Polską!

Nagłośniony przez whipa pomysł dosypiania pieniędzy rodzicom i emerytom zamienia się w concept trzynastej emerytury oraz 500 plus. W listopadzie Zjednoczona Prawica zdobywa najwięcej głosów do sejmików województw, pół roku później Andrzej Duda zostaje prezydentem, a po kolejnych czterech miesiącach Błaszczak (znów „jedynka” na liście podwarszawskiej) bierze 73 tys. głosów, wiceprezesurę PiS oraz posadę ministra spraw wewnętrznych w nowym rządzie pod wodzą Beaty Szydło. Funkcję rzecznika partii oddaje Elżbiecie Witek. Zaczyna się dekada Prawa i Sprawiedliwości.

MINISTER

Na początek Zjednoczona Prawica odmawia Europie przyjęcia już „zakontraktowanych” uchodźców z Afryki i Syrii. Gdy przewodniczący europarlamentu Martin Schulz krytykuje odmowę, wiceprezes-minister Błaszczak mówi przed kamerami, że Niemiec nie ma prawa głosu, ponieważ... jest Niemcem.

– Rozmawiamy w Warszawie – zwraca się do widzów TVN. – Warszawa została zniszczona przez Niemców. I co? Ich potomkowie będą nam stawiać warunki? Pan Schulz nie ośmieliłby się podobnie potraktować Izraela.



„Duma narodowa”, „polityka historyczna”, „wstawanie z kolan” i „normalna rodzina” – te pojęcia goszczą odąd regularnie w ustach historyka.

Publicznie ruga gdańskich mundurowych, którzy podczas tamtejszego Marszu Równości zatrzymali lżącą ich przeciwniczkę i zarazem córkę radnej PiS. Nie protestuje, gdy minister Ziobro wstrzymuje odbycie kary przez narodowca skazanego za napad na policjanta. Kiedy w Elku antyimigrancko nastawiony tłumek atakuje policję chroniącą bar Tunezyjczyka, wyraża „pełne zrozumienie” dla obaw mieszkańców przed kolorowymi. Wysyła policjantów do pacyfikacji opozycyjnych marszów i blokad miesięcznic smoleńskich, zaś strażaków – do rozstawiania barierek chroniących budynek Sejmu. Straż Graniczna pod Błaszczakiem staje się obrończynią chrześcijańskiego przedmurza. Poza tym – zgodnie z daną w Toruniu obietnicą – były burmistrz dekomunizuje podległy sobie resort.

– Dla ludzi o milicyjnej przeszłości nie ma miejsca na szczytach policji – mówi. Jednym z tych, których ma na myśli, jest wiceszef Komendy Głównej, nadinspektor Cezary Popławski.

– Tego pana zastaliśmy po poprzedniej ekipie – oświadcza nowy minister. Odchodzą też inni. Półtora roku po objęciu resortu przez Błaszczaka spośród 15 „starych” in-

spektorów generalnych zostaje ledwo jeden. Większej czystki dokonał w swoim resorcie tylko minister obrony Antoni Macierewicz (którego ludzi w MON, żeby było ciekawiej, niedługo pozwalnia Błaszczak).

Dekomunizacja MSW siega także byłych funkcjonariuszy. Emeryci, którzy skończyli służbę za komuny, tracą przywileje. Odtąd będą musieli żyć za minimalną.

Obok kija jest jednak marchewka: aktywni policjanci dostają podwyżki. Nowy minister zatrudnia także nowych – w związku z odbudową sieci posterunków.

Pod wodzą Błaszczaka MSW uruchamia internetową Mapę Zagrożeń Bezpieczeństwa – obywatele wskazują 200 tys. miejsc, na które policja ma zwrócić uwagę. Dzielnicy łączą się z mieszkańcami przez nową aplikację Moja Komenda. W ramach Programu Modernizacji Służb (i kosztem 9 mld zł) centrala doposaża prowincjonalne komisariaty: więcej komputerów, tabletów, aut i telefonów. Przestępczość spada: z ponad 600 tys. przypadków w roku 2014 do niespełna 450 tys. w 2018. Flagowym przedsięwzięciem resortu jest tropienie i rozbijanie tzw. mafii VAT-owskich. Zdaniem Błaszczaka na ich likwidacji budżet zyskuje corocznie do ćwierć biliona złotych, dzięki czemu PiS starcza na realizację wyborczych obietnic.

– Prezes chciałby mieć stu takich jak Błaszczak, żeby obsadzić nimi resorty, państwowe agendy i spółki – mówi sąsiad z ławy. – Jako minister sprawiedliwości byłby równie twardy, co Ziobro, a nie sprawiałby takich kłopotów politycznych. Jako prezes TVP serwowalby nie gorszą propagandę od Kurskiego, a nie ciągnęłyby się za nim sprawy rozwodu, leśniczówki i syna. Mógłbym tak wymieniać, niestety – Mariusz jest tylko jeden. Zdaniem opozycyjnych liderów szef MSW „stworzył z policji bijące serce partii”, do tego rekrutuje mundurowych przez urzędy pracy, ponieważ „formacja pod jego rządami sięgnęła już takiego dna, że nikt tam nie chce pracować” (wpis Pawła Kukiza na FB).

– Z kluczowych dla zapewnienia bezpieczeństwa stanowisk odwołano doświadczonych policjantów, a ich miejsca zajęli funkcjonariusze mierni, lecz wierni rządowi – odpowiada Budka, odpowiednik Błaszczaka w platformianym „gabiniecie cieni”. Jego zdaniem miernotami są m.in. komendant główny Zbigniew Maj (powołany na stanowisko mimo korupcyjnych zarzutów) i szef BOR Andrzej Pawlikowski (będzie musiał odejść po serii kraks samochodowych „borowików”). Zdaniem Budki „policja Błaszczaka i Maja” przeprowadza „pałkarskie akcje” wymierzone w ulicznych aktywistów opozycji, bezprawnie zastawia płotami Krakowskie Przedmieście, asekuruje (zamiast rozpędzać) rasistowskie marsze ONR, wreszcie – obstawia całodobowo (i za pieniądze podatnika) żoliborską willę szeregowego posła.

Stress testem ministra jest sprawa 25-letniego Igora Stachowiaka, którego policjanci pomylili z poszukiwanym dilerem narkotykowym i zamęczyli we wrocławskim komisariacie przy ulicy Trzemeskiej. Gdy sprawę opisują media (m.in. głośny reportaż „Supervizjera” TVN), Błaszczak dymisjonuje dolnośląskiego komendanta wojewódzkiego i jego zastępcę. Pięciu zamieszanych w zbrodnie policjantów zostaje wydalonych. Opozycja chce jednak głowy Mariusza. Głosowanie nad wotum nieufności odbywa się na początku lipca 2017 r. Posłowie Zjednoczonej Prawicy nie pozwalają zrobić krzywdy byłemu whipowi. Jest silny jak nigdy. Za pół roku będzie już szefem MON.

MIOTŁA W OBRONIE

– Nie tyle on się na to stanowisko nadawał, co nie nadawał się Macierewicz – mówi sąsiad z ławy. – Antoni, poza znanym konfliktem z prezydentem Dudą, skłócił się też z Morawiekiem na tle obsady stanowisk w Polskiej Grupie Zbrojeniowej. Prezes wskazał więc premierowi Mariusza.

Pierwsze zadanie nowego szefa armii – poprawienie stosunków z Pałacem Prezydenckim – udaje się łatwo wykonać dzięki wyrzuceniu z resortu kumpli Antoniego. Prezesem PGZ zostaje współpracownik Mariusza z MSW. Jego wcześniejszy szef gabinetu politycznego dostaje analogiczną funkcję w MON plus stanowiska w kilku radach nadzorczych. Dyrektor generalny MSW zostaje dyrektorem generalnym resortu obrony... i tak dalej.

– Błaszczak czyścił, jak chciał i kogo chciał, ponieważ nie ma żadnych politycznych zobowiązań ani zależności poza jednym: długiem wobec prezesa – mówi polityk ZP. – Natomiast jego mankamentem w roli szefa MON jest to, że się nie zna na wojsku.

I zalicza wpadki. Gdy chwali się w TV Trwam zakupem australijskich fregat Adelaide, w przerwie „Rozmów” dzwoni do niego słuchający audycji premier, który informuje, że nie wyda zgody (okręty są za stare). Media piszą też o wysokich premiach i ogromnych wydatkach, które urzędnicy MON pokrywali ze służbowych kart kredytowych: przeputali 15 mln – siedem razy więcej niż w innych resortach. Błaszczaka osobiście dotyczy tylko problem pierwszy (wziął premię), natomiast karty obciążają ludzi Macierewicza. Smród się jednak ciągnie. Do tego dochodzą wypadki: w Kuźni Raciborskiej eksplozja rozrywa dwóch saperów, a koło Pasłęka i pod Stoczkiem spadają dwa leciwe migi-29, jeden z pilotów ginie. Na autostradzie płoną przewożone na lawetach czołgi. Jakby problemów było mało, Amerykanie ostatecznie odmawiają budowy Fortu Trump. Przepada też flagowa, MON-owska ustawa degradacyjna.

Minister pragnął zdekomunizować armię jak wcześniej policję. Resort przygotował przepisy pozbawiające stopni oficerskich (i stosownych świadczeń) członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego oraz tych spośród dawnych wojskowych, którzy w latach 1943-89 sprzeniewierzyli się honorowi żołnierza polskiego. Degradacje mają być również pośmiertne.

– Chodzi głównie o takich, którzy występowali w imieniu Moskwy, nie Polski, sowieckich generałów przebranych w nasze mundury – wyjaśnia Błaszczak w Sejmie, dodając na koniec: – Wrona orla nie pokona!

Posłowie opozycji odpowiadają krzykiem: – Najpierw oddaj premię!

Po czym prezydent Duda – mimo całego dotychczasowego poparcia dla Mariusza – wetuje jego ustawę.

Są też inne kłopoty. Podczas występu w „Rozmowach niedokończonych” Błaszczak mówi o poznańskim Marszu Równości: „Oto kolejna parada sodomitów, którzy próbują narzucić innym swoją interpretację praw obywatelskich”. Wypowiedź odbija się szerokim echem. Dziennikarz Tomasz Lis zauważył, że „w każdym normalnym europejskim kraju po nazwaniu uczestników Parady Równości sodomitami minister wyłeciałby z rządu”. A generalicja – po pierwszym szoku wywołanym czystkami – zaczyna utyskiwać na nowego szefa. Były dowódca Rodzajów Sił Zbrojnych Mirosław Różański nazywa rządy ministra z Legionowa „totalną masakrą”. Media spekulują nawet o odejściu Błaszczaka i zastąpieniu Michałem Dworczykiem, szefem KPRM. Nic podobnego jednak nie następuje. Według „Newsweeka” prezydent Duda zgadza się z prezesem PiS, że mimo dotychczasowych potknięć Mariusz ma zostać na miejscu, „ponieważ współpracuje się z nim o niebo lepiej niż z Macierewiczem”.

– Antoniego nawet poważni generałowie bali się wręcz fizycznie – potwierdza poseł z komisji obrony. – Błaszczaka armia nie szanuje, ale toleruje. Do wojny w Ukrainie było tak, że oni chcieli mieć tylko święty spokój, a on im go dawał. Koncentrował się na rozwijaniu obrony terytorialnej i swojej Żelaznej Dywizji.

We wrześniu 2018 r. minister mówi do kadry mundurowej zgromadzonej w Siedlcach: – Kiedy w 2011 roku likwidowano w tym mieście batalion, to w bliskim mi Legionowie likwidowano dywizję, a w Lublinie

likwidowano brygadę. Otwarto wschodnią część Polski na atak, pozbawiono ją dużych jednostek wojskowych, ponieważ o bezpieczeństwo nie dbano. Zmiana nastąpiła wraz z rządem, w którym mam zaszczyt być. Ja niczego nie obiecuję [jak moi poprzednicy], ja powołuję niniejszym 18. Dywizję Zmechanizowaną!

Dla mniej zorientowanych – Polska nie miała wcześniej siedemnastu dywizji wojsk lądowych, miała trzy. „Żelazna osiemnastka” jest czwartą. Składa się z trzech brygad – zmotoryzowanej (w przygotowaniu), pancерnej i Strzelców Podhalańskich. A strzec ma flanki wschodniej.

– Występ Błaszczaka w Siedlcach był jedynie populistycznym gestem przedwyborczym – komentuje generał Róžański. – Nie zwiększa się liczba żołnierzy, nie zwiększa się bezpieczeństwo. Dywizja jest tworzona z dwóch brygad istniejących i zapowiedzianej nowej, której jeszcze nie ma. Żołnierzy nie przybywa. To twór papierowy.

Posel z komisji obrony: – Żołnierzy nie przybywa, bo na zwiększenie etatów potrzeba zgody Sejmu, jednak przybywa sprzętu. Pod Błaszczakiem armia kupuje jak nigdy. Myśliwce F-35, rakiety Patriot, wyrzutnie HIMARS, czołgi Abrams...

Zakup tych ostatnich – i to w najnowocześniejszej wersji – jest największym kontraktem zbrojeniowym w historii kraju (ponad 23 mld zł). Pierwsze abramsy zostaną przydzielone 18. Dywizji.

Posel dalej: – W rankingu Global Firepower polskie siły zbrojne są na 24. miejscu, przed Szwecją, Norwegią, Szwajcarią. Jeżeli przy okazji Mariusz robi sobie klękę i zdjęcia na tle armat, to chyba niewielka cena.

W wyborach 2019 r. Błaszczak dostaje ponad 135 tys. głosów.

KONTROFENSYWA

Na przełomie stycznia i lutego 2021 r. przeprowadzone w Akademii Sztuki Wojennej ćwiczenia symulacyjne „Zima” kończą się całkowitą klęską naszych wojsk w starciu z Rosją. Po pięciu dniach agresorzy zajmują Warszawę, a polska armia przestaje istnieć, tracąc nawet 60 proc. składów osobowych – i to pomimo uwzględnienia w symulacjach sprzętu, który dopiero ma nadejść (patrioty, HIMARS-y). Dociskany przez dziennikarzy Błaszczak próbuje tłumaczyć dziennikarzowi PAP:

– W ćwiczeniu badany był potencjał uzbrojenia, które dopiero zostało zamówione, więc ten potencjał należało zbadać. Spotkałem się z atakiem, że uzbrojenie jeszcze nie jest na wyposażeniu Wojska Polskiego. Nie jest, ale będzie. Patrioty już od przyszłego roku, a HIMARS-y – rok później. Do 2024 będziemy mieli F-35...

Dalej minister tłumaczy, że jeśli chcemy „odeprzeć w boju wschodniego sąsiada”, do roku 2026 musimy wydawać na wojsko po 185 mld zł rocznie (na razie wydajemy około 30 mld). Trzeba też dać mundurowym podwyżki, bo ferment wśród wojskowych narasta.

Już w 2019 r. w sieci pojawia się list „niezadowolonych generałów”, którzy żądają dymisji Błaszczaka. MON tłumaczy: „To fejk”, i sugeruje ruską prowokację. Oficerowie informują, że sytuacja wygląda gorzej niż za Macierewicza. Marynarka wojenna rdzewieje, floty podwodnej praktycznie nie mamy (okręty klasy Kobben przekroczyły 50 lat i są wycofywane), czołgi Leopard (duma naszych sił lądowych) w 50 proc. zepsute. A zakłady naprawcze w Poznaniu stoją z braku kasy, ponieważ została ona wydana na stare, posowieckie T-72, których zbędna z wojskowego punktu widzenia modernizacja pozwoliła utrzymać zatrudnienie w Bumarze-Łabędach. Do tego brakuje amunicji – nasi pancerniacy ćwiczą bezogniowo. W brygadach są załogi, które nigdy nie oddały ani jednego strzału. Nie ma zimowych kurtek, bo wzięli je terytorialsi, których ktoś z MON zamierzał wykorzystać do tłumienia kobiecych protestów aborcyjnych. Czy pomyśl rzucił osobiście Błaszczak – nie wiadomo.

„Gazeta Prawna”, powołując się na informatorów, wskazuje „osoby z kręgu ministra”. Wiemy tylko tyle, że szef gabinetu premiera Dworczyk skrytykował takie rozwiązanie w mailu: „Użycie wojska w aktualnej sytuacji [przeciwko kobietom] rodzi liczne ryzyka prowokacji, oskarżeń i ogromnych strat wizerunkowych rządu” – napisał do Morawieckiego.

Po wycieku maila (tego i wielu innych ze skrzynki Dworczyka) Błaszczak stanowczo odmawia komentarza.

– Wziął sprawę na przeczekanie i faktycz-



nie przyschła – mówi sąsiad z ławy. – Zaczął się jednak martwić, że po tych wszystkich grandach prezes i prezydent stracą do niego cierpliwość. Postanowił przeciwdziałać.

Po pierwsze, zaprasza prezydenta Dudę na uroczystą certyfikację Żelaznej Dywizji. Po drugie, ogłasza zakup tureckich dronów Bayraktar, które niedawno wygrały wojnę o Górski Karabach. Po trzecie, zaczyna wysyłać terytorialsów wszędzie, gdzie będą widoczni: do pilnowania kolejek przy szczepieniach na COVID, do pomocy poszkodowanym w pożarze w Nowej Białej, do zalanego po burzy szpitala w Poznaniu itd. Po czwarte, w „Wiadomościach” TVP deklaruje „dążenie do lokalnego panowania na Morzu Bałtyckim”, które ma się rozpocząć od „pozy-skania” małego lotniskowca z lądowiskiem dla helikopterów i dronów. Po piąte, na posiedzeniu komisji obrony zapewnia kolegów posłów, że do roku 2034 marynarka dostanie okręty podwodne. Po szóste, wobec kryzysu uchodźczego na granicy z Białorusią jako pierwszy ogłasza budowę dwuipółmetrowej stalowej zapory. „Coraz więcej żołnierzy będzie zaangażowanych w pomoc Straży Granicznej” – tweetuje pod koniec sierpnia 2021 r.

„BŁASZCZAKOWCY” I SPÓŁKI

Od czasu, kiedy minister środowiska Jan Szyszko – nieświadomy obecności kamer Polsatu – wręczył Błaszczakowi kopertę ze słowami „To jest taka córka leśniczego...”, Mariusz nie miał podobnej wpadki, co nie oznacza, że nie umie załatwić posady.

Wiceprezesem (a potem prezesem) PGZ zostaje jego znajomy i współpracownik jeszcze z MSW – Sebastian Chwałek. Brat Chwałka, wcześniej bezrobotny, dostaje fuchę zastępcy komendanta regionalnego Straży Ochrony Kolei w Kielcach (pensja 9 tys.). Nie byłoby w tym nic podejrzanego, gdyby nie to, że komendant główny SOK Józef Hałyk – przełożony Chwałka – zasiada w radzie nadzorczej spółki podległej PGZ.

„Błaszczakowcy” obsiadają też Pocz-tę Polską. Zaczęło się od Tomasza Zdzikota, PiS-owskiego radnego sejmiku mazowieckiego i starego znajomego Mariusza, którego ten uczynił najpierw wiceministrem w MSW, a potem – w resorcie obrony. Półtora roku później Zdzikot trafia do PP (około 45 tys. zł pensji brutto plus premie i dodatki). Do rady nadzorczej Poczty trafiła in-na współpracownica szefa MON – Agnieszka Bolesta. W maju 2021 r. objęła dodatkowo miejsce w radzie nadzorczej PGZ.

Karolina Grenda w MSW była dyrektorką departamentu spraw obywatelskich, w MON kierowała departamentem nauki i szkolnictwa wojskowego, w PP objęła stołek dyrektorki biura ładu korporacyjnego. On sam jednak (jeśli wierzyć zeznaniu majątkowemu) nie bardzo się wzboga-

cił. W 2015 r. miał ok. 150 tys. na kontach i 30 tys. w polisolokacie. Poza domem posiadali z żoną jeszcze jedno mieszkanie (49 metrów kupione na gminnym przetargu) oraz wartą ok. 150 tys. połowę drugiego domu. Do tego dwie małe działki: 640 i 576 metrów. Co do ich położenia – oświadczenie milczy.

Po siedmiu latach u władzy polisolokata jest warta 500 tys. Oszczędności wzrosły do 400 tys. Deklarowane zarobki przed objęciem teki wicepremiera to 207 tys. rocznie z ministerstwa i 37 tys. z Sejmu. Samochód – nadal fiat 500. Służy głównie rodzinie, bo szefa resortu obrony wozi żandarmeria, a czasami BOR. Właściwie jedyne symptomy dostatku to garnitury.

BĄDŹCIE WSZYSCY JAK MARIUSZ

Rok 2022 zaczyna się dla ministra źle: z Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych w Bydgoszczy wycieka ponad półtora miliona tzw. rekordów (pakietów danych) dotyczących zapotrzebowania jednostek wojskowych na sprzęt. Od koców i butów po broń ciężką, a nawet samoloty. Dane dotyczą również używanego przez armię oprogramowania. Błaszczak próbuje bagatelizować wpadkę. – Wyciek nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa – ogłasza. Opozycja po raz kolejny domaga się jego dymisji, ale tylko werbalnie – drugiego głosowania nad wotum nieufności nie będzie, bo są pilniejsze sprawy. Rosja napada na Ukrainę, parlament błyskawicznie przyjmuje ustawę o obronie ojczyzny. Od przyszłego roku mamy wydawać na armię 3 proc. PKB, czyli około 50 mld zł, dodatkowo powstanie pozabudżetowy Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych, na który złoży się m.in. dochód NBP. Dalej: wprowadzamy dobrowolną i płatną zasadniczą służbę wojskową, a zawodowi po 60. roku życia (dotychczas emeryci) mogą zostać w mundurach przez kolejne trzy lata – i zyskać za to premie.

– Dzięki nowym przepisom zwiększymy liczebność wojska z ponad 100 do około 300 tys. – mówi w Sejmie Błaszczak. Gdy prezydent podpisuje ustawę, szef MON organizuje konferencję „Nowa siła Wojska Polskiego”. Przybyli dowiadują się, że uruchomimy wreszcie zwiad satelitarny, pierwsze abramsy dotrą już za rok, a „nowa siła” będzie liczyć nawet dziewięć dywizji. Aby dopiąć szybki zakup czołgów (może także śmigłowców szturmowych), szef MON leci do USA. Stare, produkowane jeszcze w Ural-skiej Fabryce Wagonów T-72 (z polską modernizacją i bez) dajemy tymczasem Ukrainie. I przenośne zestawy przeciwlotnicze Piorun, karabinki Grot, lekkie granatniki Komar, duże ilości amunicji artyleryjskiej.

– Wzmacniając Ukrainę, oddaliśmy zagrożenie dla naszego kraju – mówi w Pol-sacie Błaszczak. W wywiadzie dla portalu wPolityce nazywa Rosję „imperium zła”, które „już raz zostało pokonane przez wolny świat” i trzeba je pokonać ponownie.

Rząd składa projekt zmiany konstytucji, który wyciągnie nakłady na obronność spod reguły wydatkowej zapisanej w ustawie zasadniczej. „Wszystko wskazuje na to, że w najbliższych latach Polskę czeka najszybszy proces zbrojenia w powojennej historii” – ocenia specjalista od wojskowości Paweł Wroński. A Błaszczak najpierw wyrusza na nowe zakupy platform czołgowych do południowej Korei, potem podpisuje zamówienie na kilkadziesiąt nowych dronów od polskiej firmy WB Electronics, dalej zamawia sterowane pociski przeciwlotnicze CAMM z Wielkiej Brytanii.

– Niecałe 20 lat temu zajmował się stre-fą parkowania na Woli, dziś bierze osobisty udział w globalnej grze – mówi sejmowy kolega. – To memento dla innych PiS-owskich 40- i 50-latków. Bądźcie posłuszni i dyspozycyjni jak Mariusz, a przy potędze jegomości prezesa i wasza polityczna fortuna wyrośnie. ●

* Na moje prośby o kontakt wysłane do MON, do Sejmu i do biura poselskiego minister Błaszczak ponownie nie odpowiedział

Śmierć po polsku

Janusz Rudnicki

Lato w Polsce grozi śmiercią. Początek lipca dopiero, a Polaków, Polek nie aż tak, widocznie Polki topić się nie lubią. Przyczyna aż tylu uto-nieć? Hm, może z nudów?

Jesteśmy mistrzami Europy w pływaniu w stylu śmiertcionośnym, gdzie indziej tylu się nie topi, widocznie inni tego też nie lubią, po prostu.

Morze, przed morzem Polak pokory ma więcej, wynika ze statystyk, tonie go mniej. Ale nadrabia w jeziorach, a najbardziej w rzekach, tu go pełno. Tu on na drugim miejscu, zaraz po rybach. Dzięki martwym jego naskórkom do czegoś jednak przydatny, ryby mają pokarm, szkoda, że ich praca idzie na marne, po jaką cholereę topielcowi fish pedicure?

Morze, wróć do niego na chwilę. Jak morze, to wydmy. I nie wiadomo, dlaczego wstęp na nie wzbroniony. Wszędzie, gdzie byłem, nie, u nas tak. Dlaczego? Bo co, Polacy wyżrą piasek? Gdyby tak, to wyżarliby plażę i Bałtyk byłby utonął. Bo co, za ciężcy? Wydmy zapadną się pod nimi jak policzki nieboszczyka?

Wróć do tonącego. Założmy, że go ratują. Co zrobi dalej nasz wywar z przeciętnego Polaka? Obrażony na wodę już do niej nie wejdzie, przyjdzie jesień i pójdzie do lasu, na grzyby. Zatruje się (na jego oko grzyb dobry był). Jakos go ratują, wyjdzie ze szpitala i obrażony na wodę i las zginie. Rozjedzie go pociąg, bo jak przewidzieć pociąg na przejeździe kolejowym. Lub spowoduje wypadek samochodu, bo przecież jesteśmy mistrzami Europy w jeździe wypadkowej na czas. Lub sam będzie miał przejechane, ulegnie wypadkowi na przejściu dla pieszych. Nigdzie indziej nie ma tylu wypadków na przejściach dla pieszych, ponieważ one przeznaczone są dla pieszych. Na miejscu sobie zginie, tak lepiej, i tak by zginiął na następnych, to co się będzie po mieście pałętał. ●

Doceniamy demokrację, kiedy zaczynamy ją tracić – mawiał Churchill. Wcześniej rzadko potrafimy się cieszyć z jej potencjału rozwojowego i emancypacyjnego. Szczególnie gdy, niepewni o byt, wybieramy bezpieczeństwo i porządek kosztem wolności i praw. Zgłaszamy popyt na wodzów, dyscyplinę i rytuały, także religijne. Akceptujemy polityczne procesy, które robią z nas skwapliwych niewolników. Efektem jest modernizacyjny i kulturowy regres.

Chcemy skłonić do dyskusji na temat przebudowy konstytucyjnej demokracji w Polsce. Choć pomysł powstrzymania politycznej i kulturowej apokalipsy może brzmieć dziś utopijnie, badania pokazują, że wszystkie wielkie zmiany społeczne i ustrojowe – od zniesienia niewolnictwa do wyzwolenia kobiet – były efektem niezmiernie małej grupy, które nie poddawały się naciskowi Realpolitik i realizowały innowacyjne pomysły, czasem nawet obok istniejących politycznych struktur. Takie grupy są w każdej kulturze, również w Polsce, trzeba je zmobilizować i połączyć inicjatywy we wspólnym projekcie (coalition of the willing).

Obecny krajobraz gospodarczo-polityczny pozornie nie sprzyja walce z kryzysami, gdyż występują lawinowo i obezwładniają siły sprzeciwu. Jeźdźcy Apokalipsy rozjeżdżają się po świecie: wojna w Europie, pandemia, inflacja, nadciągające braki żywności, paliw i wody. Czas kłamstw i manipulacji w polityce („postprawda”) oraz wirus populistycznego autokratyzmu, który w ciągu ostatnich 25 lat zainfekował 26 państw i nadal osłabia konstytucyjną demokrację w 71 krajach świata.

Populistyczny autokratyzm to dziś aż 35 proc. światowych reżimów; zarówno lewicowych (Wenezuela Cháveza i Maduro), jak i prawicowych (Rosja Putina, Węgry Orbána). To ustroje o władzy mocno scentralizowanej i skoncentrowanej w egzekutywie lub większości parlamentarnej. Kwestionują nadrzędność konstytucji, traktują prawo instrumentalnie, usuwają mechanizmy demokratycznej kontroli (niezależne sądy czy media). Ustroje te: 1) szcują obywateli na siebie; 2) polegają na czystej technologii władzy, zdobionej programami socjalnymi; 3) prowadzą do cywilizacyjnej zapaści społeczeństw (Rosja, Wenezuela). Ten marsz do społecznej katastrofy zaczęto już nazywać w literaturze naukowej „putinizacją”.

Obecne rządy w Polsce to także populistyczny autokratyzm, gdzie rzekomo „wola narodu” jest nadrzędna wobec rygorów konstytucji ograniczających nadużycia władzy. Rządy PiS-u mają w powołaniu nawet szlachetnie brzmiące idee wyrażone w „Manifestie populistycznym” napisanym w 1993 r. przez Richarda Parkera. Podkreśla on, że żadne rządy nie mają prawa uznawać siebie za jedynie słusznego reprezentanta społeczeństwa. Parker ostrzega, że większościowy despotyzm jednej partii może prowadzić do nowej mutacji faszyzmu. Demokracja po-



Polska asertywnych obywateli, nie klientów władzy

MAMY POMYSŁ NA DEMOKRACJĘ 2.0

Norwegowie, Szwedzi i Finowie od przedszkola uczą się: poszanowania ludzkiej godności, pracy dla dobra wspólnego, sprzeciwu wobec niesprawiedliwości, partnerstwa płci, humanitaryzmu i pragmatyzmu. Spróbujemy w Polsce?

Bartłomiej Nowotarski*, Nina Witoszek**

populistyczna jest możliwa, ale tylko wtedy, gdy rządzący regularnie, w referendum, pytają społeczeństwa o istotne sprawy polityczne. Ale referenda organizowane przez populistycznych autokratów dotyczyły jedynie zmian konstytucji wzmacniających ich władzę.

Słynne słowa Kaczyńskiego „popierać i nie przeszkadzać” oznaczają, że 75 proc. wyborców, którzy nie głosowali na PiS, po-

winno maszerować za wodzem. Po siedmiu latach rządów już jednak wiadomo, że nie prowadzi on do żadnego modelu rozwoju. Mamy kręcić się w kółko jak pawie wokół własnego ogona. A PiS nadal będzie wzmacniał swoją władzę, kupując wyborców rozdawaniem pieniędzy.

W 2017 r. na kongresie swojej partii premier Morawiecki rzucił hasło „modernizacyjnego kon-

serwatyzmu”, ale co miał na myśli, można się jedynie domyślać – chodzi o taki konserwatyzm, który dopuszcza modernizację tylko pod dyktando władzy. Presja modernizacyjna pochodząca od obywateli jest dlań zbędna.

Jan Paweł II w swoim dość awangardowym konserwatyzmie głosił natomiast, że to indywidualny człowiek jest „twórcą”; a zatem – dodajmy – nie da się do takiej

twórczości wynająć jakiejś partii. „Modernizacyjny konserwatyzm” PiS-u polega zaś na wtłaczaniu nam obolałych mitów, beznaczących symboli i anachronicznych obrzędów (Polska jako „przedmurre chrześcijaństwa”, „żołnierze wyklęci” itp.).

Inaczej jest w krajach skandynawskich, wszak również dbających o tradycję. Tam za tzw. zwycięską formułę uznaje się, po

FOT. ROLF_52/SHUTTERSTOCK



pierwsze, usługi publiczne na wysokim poziomie (zdrowie, edukacja, sądownictwo, administracja publiczna), po drugie, ochronę szerokiej „średniej” klasy średniej (nie tej najbogatszej), po trzecie, prężne, po partnersku traktowane społeczeństwo obywatelskie asertywnych organizacji uważnie obserwujących poczynania rządzących. Nie przypadkiem kraje Północy osiągnęły niezwykle wysokie dobrostan, mają społeczne organizacje najbardziej na świecie ufające swoim demokratom, ale też najbardziej je krytykujące, jeśli działają źle.

Najnowsze studia nad zrównoważonym rozwojem w demokracjach skandynawskich wykazują, że najważniejszą rolę w tworzeniu państw dobrostanu nie odgrywa norweska nafta ani szwedzka stal, lecz „soft values”, czyli wartości kulturowe. Norwegowie, Szwedzi i Finowie zapoznają się z nimi od przedszkola, poprzez uniwersytet, aż po szkoły biznesu. A są to: poszanowanie ludzkiej godności, umiejętność współpracy, praca dla dobra wspólnego, obywatelska odpowiedzialność, sprzeciw wobec społecznej niesprawiedliwości, partnerstwo płci, humanitaryzm, tj. pomaganie społeczeństwom biedniejszym, i pragmatyzm, czyli porzucamy rozwiązania, które się nie sprawdzają, inwestujemy w to, co działa.

Wartości te nie są narzucane, lecz wzmacniane w edukacji oraz w debatach politycznych, medialnych i obywatelskich. Poprzez różne formy deliberacji Skandyna-

wowie uczą się słuchania argumentów innych ludzi w celu osiągnięcia kompromisu. W Norwegii tzw. kultura sokratejskiego dialogu umożliwiła polityczny „mezalians” w 2013 r., czyli pozwoliła proeuropejskim liberalom rządzić wspólnie z populistyczną Partią Postępu aż do 2021 r., oraz dość szybkie opanowanie pandemii. Polityka w Norwegii czy Szwecji to nie występy i decyzje premiera i ministrów, lecz łańcuch publicznych dochodzeń i wysłuchań, sieć obywatelskich komitetów, które debatuje nad parlamentarnymi prawami, często je kwestionując.

Skandynawskie rozumienie demokracji jako niekończącej się deliberacji ma wady i zalety – niektórych doprowadza do szału, bo opóźnia decyzje, ale innych upewnia, że demokracja działa, bo obywatele mają wpływ.

Etos współpracy, dialogu i kompromisu poparty pragmatyzmem tworzy społeczeństwa, które dobrze działają w sytuacjach stresu, bowiem uruchamiają mechanizmy adaptacji i ustawicznej autokorekty funkcjonowania demokracji. Jeśli pomimo wielu „nekrologów” o końcu socjaldemokracji model skandynawski wciąż ma się dobrze, to właśnie dzięki społeczeństwu, które modyfikuje strategię przetrwania, nie odrzucając korzeni.

Nie sugerujemy, że Polacy winni kopiować jakieś polityczno-kulturowe modele. Chodzi o inspirację do nowych rozwiązań w edukacji, w kulturze debaty oraz w inicjatywach społeczeństwa obywatelskiego.

Zręby demokracji 2.0, czyli włączającej (inkluzywnej), oraz kontury transformacji, która ją może stworzyć, widzimy następująco:

Pod koniec lat 90. współautorka tego eseju przygotowała film dla norweskiej telewizji o polskich zbieraczach truskawek. Wśród nich było kilku młodych lekarzy i nauczycielka liceum, która zarabiała na mieszkanie. Zapytana, co myśli, wykonując poślednią pracę na truskawkowych polach, powiedziała z uśmiechem: – Myślę sobie: Norwegowie mają naftę. A myśmy, kurczę, mieli renesans.

Ludzie bowiem potrzebują mitów, które pozwalają im wyprostować plecy, poczuć dumę, doznać pociechy.

Żadna zmiana nie jest możliwa bez stworzenia – lub odnowienia – opowieści o tym, kim jesteśmy, dokąd idziemy oraz jak widzimy przyszłość naszych wnuków. Rządy PiS-u stają na głowie, aby utrwalić mity, które potęgują stagnację i poczucie niedowartościowania albo upokorzenia. Trzeba nam nowej, nośnej narracji. Może nawet nie aż tak nowej, jeśli przypomnimy sobie, że w dobie renesansu Polska była kolebką tolerancji, przyciągała odstępców i uciskane mniejszości z całej Europy. Trzeba też przypomnieć sobie o kraju, gdzie nastąpiła największa antyautorytarna rewolucja na świecie.

Te na pół zapomniane opowieści o dawnej i niedawnej Polsce współbrzmiały z polską tradycją, a jednocześnie podkreślały nowatorskie aspekty polsko-europejskiej tożsamości. Demokracja włączająca jest zawsze spotkaniem generacji; z jednej strony – sceną dialogu z przeszłością, z drugiej

– budowaniem wyobrażonej przyszłości.

Poważnym błędem w postsolidarnościowej Polsce był brak mechanizmów włączania szerokich grup do politycznego dialogu. Polska wpadła w pułapkę ortodoksyjnego rozumienia liberalnej demokracji przedstawicielskiej, zgodnie z którym obywatele mieli wyrażać ewentualne rozczarowanie wyłącznie przy urnach wyborczych. Ekipy rządzące oczekiwały od obywateli, przynajmniej słownie, partycypacji, ale na warunkach polityków – czyli partycypacji bezkrytycznej. Jednak badania CBOS i World Values Survey (pozarządowy projekt badawczy realizowany w stu krajach od 1981 r.) przez lata sygnalizowały istnienie w Polsce tzw. krytycznych demokratów, czyli ludzi optujących za demokratycznymi wartościami, lecz nie-

(np. homoseksualisty czy Araba). Polska ma tu poważne zaległości. Jak pokazały dane World Values Survey (2012), mniej niż 20 proc. z nas ceni rozwój wyobraźni u dzieci oraz podejmowanie ryzykownych wyzwań przez dorosłych; w Skandynawii i „azjatyckich tygrysach” – powyżej 50 proc. Za to aż 80 proc. Polaków ujawnia konformizm i ceni przede wszystkim bezpieczne życie; w Skandynawii – poniżej 50 proc.

Takie postawy tworzą grunt dla ulegania zastraszaniu oraz powierzania życia silnie zhierarchizowanej władzy. Wprost wyraża to aż 25 proc. Polaków, wykazując obojętność wobec reżimu, w którym żyją, i dopuszczając rządy silnej ręki bez parlamentu, nawet wojskowe.

Ale edukacja nie wystarczy. Nie sposób uczyć zasad konstytucyjnej demokracji jako systemu, jeśli ma być budowany na planecie

we. Więcej, mamy tradycję latających uniwersytetów i innych nieformalnych instytucji prowadzących edukację obok istniejących opresyjnych struktur. Na strychu polskiej historii leżą bezcenne doświadczenia i innowacyjne pomysły dowodzące wagi i skuteczności prospołecznych animatorów transformacji – od niezależnych związków zawodowych do Komitetu Obrony Robotników.

Krytyczna rola mas społecznych jest niezbędna do radykalnych zmian, ale one nie rozpoczynają się bez inicjatorów, którzy przygotowują transformację. Takie grupy już uczą polityki jako sztuki słuchania obywateli, jako trudnej współpracy. Potrzebują tyłko partnerskiego podejścia polityków. W Polsce politycy nigdy tak nie traktowali organizacji społeczeństwa obywatelskiego, choć to w ich interesie asertywne organizacje działają – ujawniają słabo-

Polityka w Norwegii czy Szwecji to nie występy oraz decyzje premiera, lecz łańcuch publicznych wysłuchań i sieć obywatelskich komitetów, które debatuje nad parlamentarnymi prawami, często je kwestionując

zadowolonych z funkcjonowania demokracji na co dzień. Oni często przesądzały o wyniku wyborów, głosując też na nowe partie. Można szacować, że takich obywateli w 2015 r. było ok. 25 proc.

Paradoksalnie, tradycja i Kościół, podtrzymujące walkę o narodową tożsamość i wolność w czasach sowietyzmu, zawężyły zarówno pojęcie wolności, jak i tożsamości po uzyskaniu niepodległości w 1990 r. Dogmatyczny katolicyzm ograniczył prawa i status kobiet, podsycił homofobię, utrwalił brak tolerancji dla niektórych mniejszości. Skostniała tradycja wzmocniła stosunki hierarchiczne i rozumienie polityki jako walki egoizmów.

Natomiast tzw. demokracja włączająca mobilizuje zmarginalizowanych obywateli – kobiety, mniejszości, bezrobotnych, niepełnosprawnych – do roli politycznych aktorów. Badania pokazują, że gwarancja dobrobytu i szczęśliwości w Finlandii, Danii czy Holandii jest wysoki stopień zatrudnienia kobiet i ich aktywny udział w politycznych decyzjach. W Polsce nowe generacje akceptują partnerstwo mężczyzn i kobiet, ale w wielu miejscach dominuje wciąż porządek patriarchalny. Parafrazując Boya-Zeleńskiego: polski mężczyzna to dzielny orędownik uciśnionej nacji, arcykapłan naszej „starodziadokracji”.

Odnowa demokracji nie jest możliwa bez edukacji, która polega na nauce tolerancji w dyskusjach, zasad kooperacji, samodzielnego podejmowania decyzji oraz akceptacji każdego sąsiada

zrzuconej i duszonej przez naturę. Po porozumieniu państwowym (2015) rozwinięte kraje nie mówią już tylko o ochronie środowiska naturalnego, ale tworzą wizję zielonej, „dotlenionej” i samoodnawiającej się demokracji, wykorzystującej czystą energię wiatru, słońca i wody.

W Polsce są dziesiątki ekologicznych organizacji – począwszy od Warsztatów Ekologicznych, poprzez Pracownię na rzecz Wszystkich Istot (notabene, inspirowaną norweską głęboką ekologią), aż po pionierskie wykorzystanie energii słonecznej. Inicjatywy te, prowadzone często przez młodych ludzi, powinny wyjść poza niszową działalność i włączyć się do dyskusji nad nowym kształtem demokracji i ogólnopolskim programem szkół. Można to zrobić już dziś, nawet obok istniejących skostniałych struktur.

Polska ma potencjał. Polaryzacja jest do pokonania. Na początku konieczne jest stworzenie ligi organizacji społeczeństwa obywatelskiego nowej generacji – projektu scalającego inicjatywy, które tworzyłyby „laboratorium przyszłości”. Takie laboratorium testowałoby nowe formy partnerskiego zarządzania i edukacji. Kształtowałoby Polaków jako „asertywnych obywateli”, a nie klientów władzy.

Choć dziś szanse na zinstytucjonalizowanie takiego projektu są znikome, to zebranie reprezentantów społeczeństwa obywatelskiego na serię warsztatów we współpracy ze skandynawskimi organizacjami jest absolutnie możli-

ści, postulując rozwiązania i dzięki temu wyprzedzając fale frustracji, także „krytycznych demokratów”.

Społeczeństwo obywatelskie nowej generacji będzie konstrukcją opartą na asertywnych obywatelach i asertywnych organizacjach społeczeństwa obywatelskiego (ANGO), a nie klientach polityków. Krytyczny demokrat wpływa na stosunki społeczne i polityczne nacechowane dominacją albo monopolem, wywiera nacisk na społeczną i ekologiczną odpowiedzialność biznesu, społeczną odpowiedzialność mediów (także społecznościowych), wreszcie – na polityczną odpowiedzialność rządzącej partii. Stara się wpłynąć na progresywny rozwój orzecznictwa sądowego, ponieważ bez relacji ze społeczeństwem sądy tracą słuch społeczny.

Na świecie przykładów takiej kooperacji trzeciej władzy ze społeczeństwem jest wiele, szczególnie w krajach o mało równościowych stosunkach społecznych. Nie chodzi o koturnowe sądy, których mamy się bać. Chodzi o trzecią władzę, która reprezentuje interesy społeczeństwa, nie tylko chroniąc je przed opresją („wolność od”), ale także sprzyjając „wolności do” równościowej emancypacji i rozwoju. Orzeczenia takich sądów sygnalizują problemy społeczne, skłaniając polityków do zmiany instytucji i praw. Tak buduje się też reputacja wymiaru sprawiedliwości.

To nie głównie ustawodawstwo XVII-wiecznej Anglii, lecz setki progresywnych orzeczeń sądo-

Spróbujmy zorganizować ANGO. Asertywne Organizacje Społeczeństwa Obywatelskiego

- W połowie czerwca 2022 odbyło się w Oslo spotkanie polskich niezależnych organizacji społecznych (NGO-sów) walczących o jakość demokracji i rządu prawa. Uczestniczyli/-li przedstawicielki/-le: Kongresu Kobiet, Fundacji „Stocznia”, Wolnych Sądów, Stowarzyszenia Sędziów „Iustitia”, Obywateli RP oraz European Movement International z Brukseli.
- Inicjatorami są prof. Nina Witoszek z Oslo University College i prof. Bartłomiej Nowotarski z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, autorzy eseju o Demokracji 2.0 – jej potrzebie i sposobach jej budowy.
- Uczestnicy spotkania pragną doprowadzić do powstania Ligi organizacji zajmujących się wyłącznie jakością demokracji konstytucyjnej oraz jej obroną przed autokratycznymi zagrożeniami, a także prodemokratycznym rozwojem społeczeństwa. Takich NGO-sów jest w Polsce wciąż niewiele, można

- tak zdefiniować tylko 1 proc. zarejestrowanych.
- Liga będzie dążyć do tworzenia „włączających” (inkluzywnych), emancypacyjnych instytucji służących rozwojowi społecznego kapitału Polaków oraz mobilizować społeczną presję na polityków. To praca na rzecz Demokracji 2.0, czyli odpowiedzialnej przed wyborcami na co dzień, a nie tylko w dniu głosowania.
 - Liga chce pracować na rzecz tzw. krytycznych demokratów, czyli ludzi ceniących wartości konstytucyjne i demokratyczne, ale sfrustrowanych ich codziennym funkcjonowaniem. W Polsce stanowią oni od 25 do 35 proc. wyborców; są niezadowoleni z praktyki demokracji, wciąż szukają zadowolających ugrupowań, rozczarowują się, często głosują chwiejnie, w tym na nowe partie, które okazują się efemeryczne. Liga pragnie wciągać krytycznych demokratów do współpracy, aby polityczne frustracje nie

- otwierały drogi dla populistycznego autokratyzmu lub państwowej anarchii.
- Asertywność społeczeństwa obywatelskiego polega nie tylko na edukacji demokratycznej i krytyce wad istniejących instytucji, ale przede wszystkim na dążeniu do ich naprawy oraz tworzenia nowych instytucji ekspresji i presji społecznej:
- ▶ instytucji deliberatywnych,
 - ▶ zdolnych do partnerskiego współzarządzania z organami państwa, samorządami i biznesem,
 - ▶ wspierających dobrą reputację władzy sądowniczej w społeczeństwie,
 - ▶ prowadzących szeroką międzynarodową współpracę, m.in. z krajami skandynawskimi, na rzecz rozwoju Demokracji 2.0.
- Inicjatywa Ligi Asertywnych Organizacji Społeczeństwa Obywatelskiego (ANGO) jest otwarta dla wszystkich NGO-sów, które podzielają podobne idee i zamierzenia.
- B.N.**

wych z lat 1630-60, uświadamiających kupcom i przedsiębiorcom ich prawa, przygotowały grunt pod tzw. chwalebą rewolucję i rewolucję przemysłową. A bliżej naszych czasów: w orzeczeniu z 2010 r. niemiecki sąd konstytucyjny uznał się za obrońcę konstytucyjnej „społecznej gospodarki rynkowej”. W RPA (2000-02) sąd wymusił na rządzie programy do walki z bezdomnością oraz z AIDS. W Kolumbii w 1994 r. sąd najwyższy nie tylko organizował „wysłuchania publiczne”, ale też obronił prawo obywateli do bieżącej wody. Sąd izraelski (2004) zmobilizował rząd do uruchomienia programu walki z 20-proc. ubóstwem. Sądy USA wiele razy reprezentowały demokratycznego suwerena, uchylając segregację rasową w szkołach (1954), zakaz używania środków antykoncepcyjnych (1965), zakaz zawierania małżeństw międzyrasowych (1967) czy kryminalizację homoseksualizmu (Teksas, 2003). Wszędzie padał jeden argument – godność człowieka.

Demokracja po rządach PiS-u nie może być zbudowana ani na plemiennym sarmatyzmie, ani na lekko poprawionym modelu demokracji sprzed 2015 r.

Po pierwsze, będziemy musieli spojrzeć na demokrację nie tylko jako na „ograniczony rząd” z całą maszyną konstytucyjną praworządności (Johna Locke’a „wolność od”). Musimy ująć w demokracji także projekt społeczny jako „wolność do”, bez której żadne ludzkie aspiracje nie mogą się urzeczywistnić.

Po drugie, nie będzie to demokracja rozumiana po prostu jako „rządy większości”, ponieważ takowa może zostać wykorzystana przeciwko przegrywającym wyborów i różnym mniejszościom. Demokracja 2.0 będzie rządami „tak wielu, jak to tylko możliwe” i „dla tak wielu, jak to możliwe”. Musi uzyskać walor inkluzywności opartej na tzw. instytucjach włączających – politycznych i gospodarczych zarazem. Włączanie winno dotyczyć procesów decyzyjnych państwa i redystrybucyjnych. Rządy zmuszone będą dostrzec użyteczność instytucji partycypacyjnych: wysłuchań publicznych, deliberatywnych izb obywatelskich, np. w samorządach, rad grupujących

NGO-sy czy deliberatywnych paneli w instytucjach państwowych. Będą też musiały uznać pożytek społecznie progresywnego sądownictwa.

Po trzecie, demokracja 2.0 będzie efektywna, jej wartości konstytucyjne nie pozostaną na papierze. Gwarantem tej efektywności będzie budowanie emancypacyjno-aspiracyjnej kultury wszystkich Polaków. Dlatego władza polityczna przyszłej demokracji tworzyć będzie instytucje społecznej ekspresji umożliwiające podnoszenie różnych problemów.

Aż 25 proc. Polaków dopuszcza rządy silnej ręki bez parlamentu, nawet rządy wojskowe

To, co opisaliśmy, wymaga doprecyzowania. Mamy nadzieję, że cykl obrad przedstawicieli polskich inicjatyw obywatelskich i mediów z partnerami norweskimi – którego pierwsza część odbyła się w Oslo w czerwcu 2022 – popchnie ten proces do przodu.

Po czwarte, w demokracji 2.0 suweren powinien charakteryzować ponadpokoleniowy szacunek i sojusz tych, którzy żyją, z tymi, którzy odeszli lub dopiero się narodzą. Dopiero na tych warunkach demokracja stanie się społecznie odpowiedzialna na co dzień, a nie tylko w dniu wyborów. ●

***Bartłomiej Nowotarski** – prof. Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, specjalizuje się w kryzysach demokracji oraz demokratycznych transformacjach

****Nina Witoszek** – prof. Uniwersytetu w Oslo, historyczka kultury, autorka prac o Skandynawii i ruchach antyautorytarnych

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki „Amerykańskie więzienie” Shane’a Bauera

AMERYKAŃSKIE WIĘZIENIE
SHANE BAUER | Reporter pod przykrywką w sercu więziennego biznesu

Przełożył Tomasz S. Gałązka

MARGINESY

Shane Bauer zatrudnił się na stanowisku strażnika w prywatnym więzieniu w Luizjanie. Ten dziennikarz śledczy i laureat wielu nagród zgłosił się pod własnym nazwiskiem i nikt nie sprawdził jego przeszłości. W ciągu czterech miesięcy zdołał dokładnie przyjrzeć się funkcjonowaniu zakładu, zachowaniu personelu różnego szczebla, a także samym więźniom.

Twój wyjątkowy kod dostępu
do fragmentu książki „Amerykańskie więzienie” Shane’a Bauera oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

AWSBB22

- Aby skorzystać z kodu:**
- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
 - ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
 - ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
 - ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
 - ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

CO MNIE URZEKŁO

Państwo umarłych

Mędzy różowymi kartkami szkolnego zeszytu kryje się esencja gdańskiej historii

DOROTA KARAŚ



FOT. GDAŃSKI ZARZĄD DRÓG I ZIELENI

N

Na szczycie Szubienicznej Góry zatrzymuję się przy przekrzywionym, pozbawionym ozdób nagrobku. Muszę się pochylić, żeby przeczytać zatartą inskrypcję tuż nad ziemią: „Życie jest ciężkim snem, marą jest krwawą”.

Co na przedwojennym gdańskim cmentarzu ewangelickim, pośród połamianych płyt z urywkami nazwisk pisanych szwabachą, robi grób polskiego chłopca, urodzonego w roku 1926, zmarłego miesiąc przed szóstymi urodzinami? Jaka była przyczyna śmierci dziecka? Kto wykuł fragment tekstu z zapomnianego dramatu Jana Kasprowicza? Długo wydawało mi się, że odpowiedź mogą znać jedynie drzewa samosiejki, które obrosły wzgórze.

WŁODZISŁAW

Państwo Umarłych, Reich der Toten – tak w XIX wieku nazywano cmentarze u podnóża Góry Gradowej w Gdańsku, blisko centrum miasta. Dalej, w stronę Wrzeszcza, po obu stronach Wielkiej Alei, ciągnęły się kolejne nekropolie, dziś zajęte przez parki, boisko, kino i parkingi.

Cmentarz na Szubienicznej Górze leży na uboczu. Trzeba minąć budynek cerkwi pod wezwaniem Świętego Mikołaja, dawnej kaplicy przy krematorium. Dalej ścieżka prowadzi wzdłuż muru dawnego stadionu Lechii Gdańsk („Putin chujło” – głosi najnowsze graffiti). Z ziemi wyrastają artystyczne epitafia Julity Wójcik („Obawiaj się ponadprzeciętnych zysków”). Chłód nawet w największe upały.

Dawniej szczyt był goły jak patelnia i jego widok także nie dodawał otuchy. Z traktu przez Wrzeszcz można było dostrzec murowaną miejską szubienicę: solidną, z ceglanymi filarami i osobnymi schodkami dla ofiary i dla kata. W tym miejscu kończyły też życie bezpańskie psy z całego miasta, stąd inna nazwa – Hycłowa Góra.

W pierwszej połowie XX wieku na zboczu Szubienicznej Góry gdańszczanie zaczęli chować bliskich. Po wojnie los cmentarza był podobny do innych gdańskich nekropolii: groby rozkopano w poszukiwaniu kosztowności, część płyt wykorzystano jako materiał budowlany, część pozostawiono w krzakach. Przez następne dekady wzgórze pogrzebano pod stosami śmieci, a na koniec rozjechało quadami.

Zaglądałam tu, zanim trzy lata temu powstał park Nostalgiczny. Miasto posprzątało wzgórze, wytyczyło kilka ścieżek, ale gęsta roślinność dalej tworzy posępno-melancholijny nastrój. Uschnięte pnie drzew, oplecione zachłanym bluszczem, wyglądają jak kolumny w świątyni przyrody.

W trójmiejskiej „Wyborczej” wspomniałam o grobie Włodzisława Pniewskiego. Nie liczyłam na rozwiązanie zagadki. Jeden z tysięcy śladów po zaginionym Państwie Umarłych.

Kilka dni później zadzwoniła Barbara Myślicka:

– Włodzisław to brat mojej mamy, syn doktora Władysława Pniewskiego. Nie mieliśmy pojęcia, że jego grób przetrwał wojnę.

Władysław Pniewski był działaczem polonijnym i nauczycielem. W Wikipedii nie znalazłam wzmianki, że miał syna.

Dom Barbary Myślickiej stoi na wzgórzu, pół godziny od Szubienicznej Góry. Na stole leżą przygotowane segregatory z wycinkami, przedwojenne albumy i cienki szkolny zeszyt podpisany: „Julitty życia opisanie”. Mędzy różowymi kartkami kryje się esencja gdańskiej historii.

JULITTA

Najstarsza córka Heleny i Władysława Pniewskich, zwana w domu Julią albo Litką – miała dwa lata, gdy urodził się Włodzisław. Rodzina od niedawna mieszkała w Wolnym Mieście Gdańsku, przyjechała tu z Wielkopolski. Ojciec uczył polskiego w Gimnazjum Macierzy Szkolnej, matka nosiła kapelusz z dużym rondem ozdobionym kwiatem dobranym do koloru sukni. Niewiele więcej córka potrafiła o niej napisać: „W nas, dzieciach, budziła nie tyle uczucia, ile zamęt myślowy, dlaczego doszło do rozstania”.

Z zapisków Julitty wynika, że matka lubiła towarzystwo i rozrywki, zwłaszcza grę w ruletkę. Sąd na rozprawie rozwodowej zdecydował, że dziećmi (oprócz Julitty i Włodzisława była też najmłodsza, Eugenia) zajmować się będzie Władysław.

Ojciec wzbudzał w córce inne uczucia: „postawny, przystojny, zadbany mężczyzna w okularach o wnikliwym, lecz dobrotliwym spojrzeniu ciemnych oczu, o spokojnym brzmieniu głosu, rzadko uśmiechnięty czy zagniewany, zrównoważony w gestach i słowach”.

Może do rozpadu małżeństwa doprowadziła śmierć Włodzisława, na którego bliscy mówili Włodzinek. Chorował, często pokładał się na kanapie.

„Potem zabrano go do szpitala, skąd już nie wrócił. Zmarł na chorobę gruczołów chłonnych, bez możliwości leczenia w owych czasach” – zapisała Julitta w różowym zeszycie.

Umarł 2 sierpnia 1932 roku. Cytat, który ojciec kazał umieścić na grobie, pochodzi z „Ucztę Herodyady” Jana Kasprowicza, poety Młodej Polski.

HERBERTCHEN

Julitta poszła do Gimnazjum Polskiego (do ojca zwracała się „profesorze”), zaprzyjaźniła się z Ruth i Hildą. Jej pierwszą miłością był trzy lata starszy Herbert, na którego w szkole wołali Herbertchen – Herbercik.

Gdy zobaczą się po raz ostatni, pod koniec wojny, ukochany będzie nosił mundur Wehrmachtu.

„Niezapomniane spojrzenie niebieskich oczu” – zapisze Julitta. Herbertchen zostanie zmobili-

zowany późno. W 1944 roku przyjedzie pożegnać się przed wyjazdem na front francuski. Po kapitulacji Niemiec ucieknie do Anglii. Będzie się odąd nazywał Stanisław Horeszko.

WŁADYSŁAW

Ojca Julitta i Eugenia widziały ostatni raz 26 sierpnia 1939 na dworcu w Gdańsku. Pniewski pomógł córkom zapakować walizki do przedziału i oddał pod opiekę konduktorowi. Wysłał dziewczęta do rodziny w Ostrowiu Wielkopolskim, sam został „na placówce”. Jak tłumaczył rodzinie: „nie mógł się dostać pustki nieobecnością”.

Nie wiedział, że jego nazwisko znajdowało się już na niemieckich listach proskrypcyjnych. Nie miał cały wrzesień ukrywał się na Szubienicznej Górze, koło grobu syna. Gdy skończyło się jedzenie, zamieszkał u znajomych nauczycieli we Wrzeszczu. Pewnego dnia postanowił wymknąć się do swojego mieszkania na Adolf-Hitler-Strasse po ciepłe ubrania. Sąsiad zadzwonił na Gestapo.

Pniewski został rozstrzelany w Wielki Piątek 1940 roku w lesie pod Stutthofem, razem z innymi polskimi działaczami. Egzekucją kierował SS-Obersturmführer Richard Reddig, przed wojną kontroler tramwajowy w Gdańsku.

BARBARA

Julitta i Eugenia z matką wróciły po wojnie do Gdańska – „jedyne miejsce na ziemi, które mogło przynieść ulgę w niedoli”. W mieście kamienicy we Wrzeszczu zostały stertę gruzów.

„Nie było już ojca, a teraz nie było już domu – mój świat był w ruinie” – wspominała Julitta.

Poszły na piechotę do Sopotu. Wprowadziły się do mieszkania, które właśnie opuszczali Niemcy.

Barbara Myślicka jest najmłodszą z trzech córek Julitty. Dla niej również tajemnicą jest, dlaczego matka ani ciotka nigdy nie wspomniały o grobie Włodzinka. Julitta studiowała przecież na Politechnice Gdańskiej, w pobliżu Szubienicznej Góry. Latami odwiedzała z córkami symboliczny grób ojca na cmentarzu na Zaspie, gdzie leżą ekshumowane ofiary egzekucji w Stutthofie.

Na grobie chłopca, który kilkadziesiąt lat po śmierci odnalazł swoich krewnych, w Święto Zmarłych znów pałą się znicze. Zapala je Barbara Myślicka.

Park Nostalgiczny ponownie dziczeje. Niektórych nagrobków nie widać już spod czułych objęć bluszczu. ●

W cyklu „Co mnie urzekło?”

opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub czymkolwiek...

Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

LAVOJ ŽIŽEK: Bardzo mnie martwi to, co się dzieje w Ukrainie...

MACIEJ STASIŃSKI: Chyba wszystkich przytomnych ludzi martwi... Powszechnie porównuje się najazd Rosji na Ukrainę do najazdu III Rzeszy w 1939 roku. Po ponad trzech miesiącach wojny widać też, że światowy układ sił i ład geopolityczny się radykalnie zmieniają. Jak?

– Dla mnie jest jasne, że w tej wojnie nie chodzi tylko o Ukrainę. Za napaścią kryje się zamiar Rosji i takich krajów jak Chiny zmiany porządku światowego. Widać to po furii, jaką wzbudziły kraje skandynawskie chcące przystąpić do NATO.

Oczywiście wcale nie dlatego, że to zwiększa groźbę inwazji na Rosję. Ale dlatego, że Putin nie spodziewał się takiej reakcji i zwartości Zachodu.

Brutalność Rosji kojarzy mi się z propozycją, jaką z nagłą złożył Danii kilka lat temu Trump – że odkupi Grenlandię. Dania oczywiście odpowiedziała, że nie ma mowy, ale chodzi o bezceremonialność żądań geopolitycznych mocarstw.

Chiny biorą udział w tej grze. Rosja planuje budowę nowych portów na Dalekiej Północy, a Chiny chcą w to inwestować. Kilka lat temu ogłosiły nawet, że uważają się za kraj „półarktyczny”. W perspektywie rozmarzania Syberii myślą o wytyczeniu nowej drogi północnej, szlaku od Japonii, Chin i Korei na Zachód. A także o eksploatacji ogromnych syberyjskich zasobów metali. Wygląda to na wspólny plan Chin i Rosji.

Ale reakcja Zachodu zaskoczyła Rosję...

– Jeśli Szwecja i Finlandia wejdą do NATO, to nici z rosyjskiej kontroli tego północnego szlaku.

Ale na tym plan się nie kończy. Gdyby Rosja zajęła Ukrainę, zawładnęła rolnictwem i doprowadziła do masowej produkcji żywności jeszcze na Syberii, zyskałaby ogromne możliwości szantażowania reszty świata.

Putin chciał także wysłać wiadomość Europie: nie macie co polegać na USA.

Od początku Putin stawia albo na rozbić, podzielenie, albo na zmarginalizowanie Europy. Wszystkie jego działania temu służą do lat: poparcie dla brexitu, secesji Katalonii, wspieranie Salviniiego we Włoszech, Le Pen we Francji, AfD w Niemczech... Putin nie uważa Europy za potęgę, z którą musi się liczyć. Dla niego liczy się koncert wielkich supermocarstw i bloków – jak Chiny i Rosja oraz USA.

Premier Miedwiediew mówi, że Europa się pogrąża, chyli ku dekadencji. Domaga się nowego ładu międzynarodowego opartego na „wzajemnym szacunku”. Jak to słyszę, przypomina mi się, co Chiny miały do powiedzenia na temat wzajemnego szacunku Afganistanowi talibów: – Wy róbcie sobie, co tam chcecie, a nam dajcie bić naszych muzułmanów, Ujgurów.

Ten mocarstwowy ład ponad Europą nie jest mrzonką w świetle tego, co widzieliśmy za prezydentury Trumpa. Dla mnie było szokiem usłyszeć od skrajnej amerykańskiej prawicy, i to nie tylko od takich ludzi jak Steve Bannon, że głównym przeciwnikiem i zagrożeniem dla USA jest zjednoczona Europa. Zupełnie jak dla Putina.

Dlatego Putin ogłasza, że Ukraina została skolonizowana przez Zachód, a Rosja prowadzi wojnę dekolonizacyjną. Putin maluje pulk Azow jako wielką „faszystowską” groźbę, chociaż Prawy Sektor dostał w Ukrainie 1 procent w ostatnich wyborach. Prawdziwym zagrożeniem są za to rosyjscy wagnerowcy, czyli anonimowa armia Putina. Są już wszędzie, w Serbii i w Kosowie.

Ideolodzy Putina posuwają się nawet do twierdzenia, że książki Orwella to nie ostrzeżenie przed totalitaryzmem Stalina, lecz totalitaryzmem Zachodu!

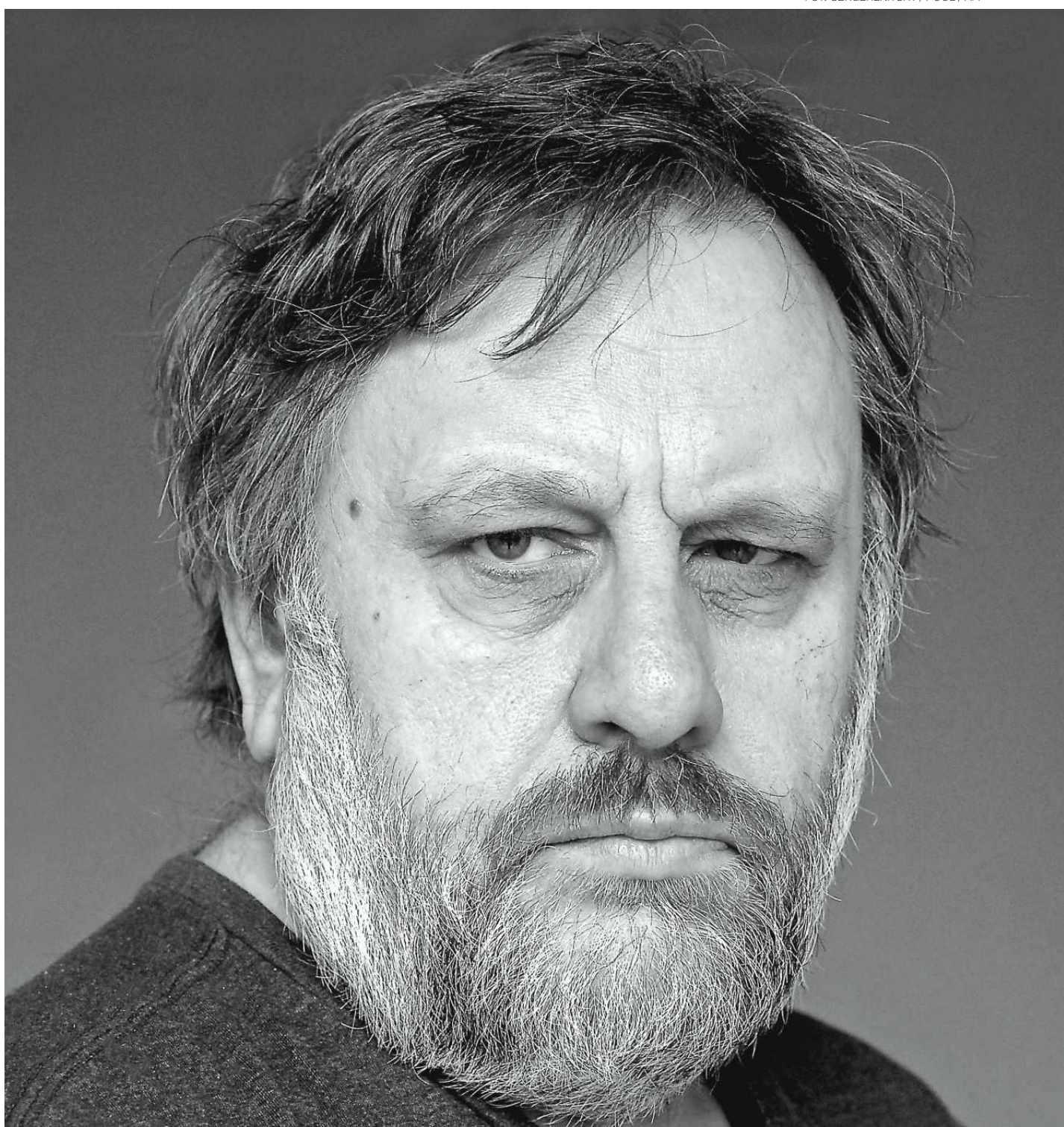
Nie jestem też pewien, czy Chiny i Rosja nie zyskają sobie sojuszników dla nowego ładu w Ameryce Łacińskiej i Afryce. Wcale też nie wiadomo, czy Rosja już przegrała.

LENIWA EUROPA, APATYCZNY PACYFIZM

Czy jednak rachuby Putina nie zawiodły? Po pierwsze, opór Ukrainy. Po drugie, jednolita reakcja Zachodu. Po trzecie, zasięg pomocy wojskowej dla Ukrainy. I po czwarte, wcale już nie tak entuzjastyczne poparcie Chin jak na początku.

– Zgoda. Ale Chiny, choć są trochę stropione przebiegiem wojny, to dalej popierają Rosję po cichu.

Ich model ustroju i ekspansji pozostaje bez zmian. Chiny są prawdziwym nowym mocarstwem kolonialnym. To, jak kupują na pniu i eksploatują surowce w Ameryce Łacińskiej, np. miedź z Peru, to brutalny kolonializm. Już były starcia miejscowej



CHCĘ WIĘCEJ LIBERALIZMU I WIĘCEJ SOCJALIZMU

Jako radykalny lewicowiec ogłaszam:
Popieram z całej siły jedność Zachodu!

ZE **SLAVOJEM ŽIŽKIEM*** ROZMAWIA **MACIEJ STASIŃSKI**

1 RP

ludności z chińskimi załogami kopalń. To synteza najgorszego kolonializmu Europy Zachodniej i dyktatorskiego, autorytarnego ustroju Chin.

Niedawno nakręcono w Chinach wielką filmową megaprodukcję o udziale Chin w wojnie w Korei. Wielki przebój. Jeśli to połączymy z propagandą reżimu, że trzeba się przygotować na cięższe czasy, skóra cierpnie.

Nie lekceważmy Chin. To jest wzór dla Rosji Putina, w myśl zasady: „Ja popełniam swoje zbrodnie, a ty swoje”.

Prawdziwy koszmar. I mówię to ja, radykalny lewicowiec. I jako radykalny lewicowiec ogłaszam: Popieram z całej siły jedność Zachodu i jedność Europy! Tylko Europa nas może ocalić. To zjednoczona Europa broni dzisiaj praw obywatelskich, praw kobiet, praw mniejszości, powszechnej edukacji, równości szans, przeciwstawia się nacjonalizmom.

Wielu jest jeszcze idiotów na lewicy, którzy za głównego wroga uważają USA i amerykański imperializm. Moja odpowiedź: to bzdura. To przecież Putin ogłosił, że Ukraina jest wymysłem Lenina. Leninowi można dużo zarzucić, ale akurat zasadę samostanowienia narodów traktował poważnie. Kultura Ukrainy rozkwitła w latach 20. XX wieku. Potem została zniszczona. A dzisiaj Ukraina wskutek najazdu Rosji stała się narodem pełną gębą.

Czy jednak Rosja nie weszła na drogę schyłku? Stała się światowym wyrzutkiem, a zapewne stanie się ubogim klientem Chin. Ma tylko broń, w tym nuklearną, i rozmiary, poza tym jest krajem biednym.

– Rosja jest uboższa od Korei Południowej. To fakt. Rosja pomyliła się w swoich kalkulacjach. To też fakt. Miała zająć Kijów w kilka dni, chciała wymazać Ukrainę jako kraj i naród. Przepisać historię na nowo. To wszystko prawda i chciałbym się z panem zgodzić. Ale częściowo rachuby Putina były trafne. Istnieje apatyczna Europa, jej lenistwo i apatyczny pacyfizm. Opór jest kosztowny. Jürgen Habermas ostrzegał przed powrotem Europy do polityki „twardej siły”.

Istnieje takie skrywane rozczarowanie, że Ukraina się Rosji nie dała. Nikt się tego właściwie nie spodziewał. Ten zawód widać wśród szerokiej opinii publicznej i na lewicy. Ci ludzie, zamiast podziwiać Ukraińców za ich bohaterstwo, mówią: – Oni nie mogą wygrać. To szaleństwo, samobójstwo. Wcześniej czy później padną. Nie prowokujemy już Putina, bo pójdzie jeszcze dalej!

Ja nienawidzę tego integralnego, idiotycznego pacyfizmu! Pacyfizm? Dla kogo i w jakim celu? Pacyfizm w imię ofiary czy napastnika? Poczęstuję ich Leninem. Lenin pytał: – Wolność? Dla kogo i w jakim celu?

Ale z drugiej strony, jak się Trump wycofywał z Syrii, to po raz pierwszy w życiu nawet sam Noam Chomsky ogłosił, że USA powinny tam pozostać!

W dłuższej perspektywie jest możliwe, że Chiny zapanują nad Rosją. Ale na razie Rosja powoli przeń przód. Nie zdołała zająć Ukrainy, więc ją niszczy totalnie. To jest jeszcze straszniejsze niż najazd na początku.

CHINY: NIECH USA SIĘ SKURCZA

Jakie miejsce w tym nowym ładzie miałyby zająć USA? Z Trumpem u władzy amerykański izolacjonizm miał się dobrze, ale czy za rządów Bidena nastąpi powrót do światowego przywództwa USA wbrew Chinom i Rosji?

– Jako lewicowiec jestem bardziej pesymistyczny niż pan. Trump nie był błaznem i idiotą. On reprezentuje republikański establishment zawsze skłonny do izolacjonizmu. A po co mamy walczyć o wolność kogoś tam na świecie?

Moi koledzy w USA i Chinach utrzymują, że istnieje cichy pakt między globalnymi korporacjami amerykańskimi i Chinami. Brzmi brutalnie po marksistowsku: – Damy wam tanią siłę roboczą, będziecie konkurencyjni, a i nam się to opłaci, bo przyciśnie naszych robotników i da nam zyski. Nawet Trump się temu nie sprzeciwiał.

Słyszałem niedawno wypowiedź Wang Huninga, jednego z siedmiu najważniejszych członków politbiura. On się określa jako „neokonserwatysta”. Mieszkiał kiedyś przez rok w USA, był pod wrażeniem potęgi Ameryki. Ale widział też potencjał buntu czarnych oraz groźbę przemocy. I uważa, że amerykańską wydajność i skuteczność trzeba połączyć z chińskim porządkiem. Chińskie media głoszą „konserwatywną solidarność” z USA.

Kiedy protesty w Hongkongu były najśliskie, chińskie media ostrzegały Zachód: – Wiemy, że wy za

tym stoicie. Ale uważajcie. I do was to dojdzie. I mieliśmy Katalonię, „żółte kamizelki” we Francji. Chińczycy podziwiają Amerykę inaczej niż Europę. Ale chcą, by się ograniczyła do roli regionalnego mocarstwa i zrezygnowała z roli światowej. Nie chcą Ameryki upokorzyć, tylko żeby skurczyła się do jej regionalnej przestrzeni. Dla nich USA i Europa razem są za silne.

CZTERECH JEŹDŹCÓW APOKALIPSY

A jaką rolę ma do odegrania Rosja, która ma tylko broń, armię i tablicę Mendelejewa pod ziemią?

– Mam nadzieję, że Rosja jest w fazie schyłkowej. Ale nowoczesna broń i wielka armia oraz ambicje, by żywnością szachować świat w dobie ocieplenia klimatu, to wciąż realna groźba. Prawdziwą katastrofą Rosji jest teraz masowa ucieczka wykwalifikowanych ludzi. Nie ludzi kultury, to Putina nic nie obchodzi, ale cyfrowych specjalistów od komputerów i programowania. Wyjeżdżają setkami tysięcy. To świetna wiadomość! Podobno reżim przeczesuje już lagry i więzienia w poszukiwaniu specjalistów. Niech siedzą dalej, ale pracują dla kraju.

Za tym kryje się doprawdy Dostojewski. Rosja ma gdzieś nędzę w swoim kraju, za to ma specjalną „duchową misję”, bo jest rzekomo „duchowo wielka”.

Istnieje cichy pakt między globalnymi korporacjami amerykańskimi i Chinami. Chińskie media głoszą „konserwatywną solidarność” z USA

Jak za Związku Sowieckiego – naukowcy w zamkniętych miasteczkach...

– Dokładnie tak, jak to opisał Solżenicyn w „Pierwszym kręgu”.

Ale mają pewne sukcesy. Ściągnęli generała, rzeźnika z Syrii, i zajmują Donbas. Uważam, że powinniśmy im narysować czerwoną linię. Ani kroku poza Donbas, bo będziemy interweniować. Jak nie odblokujecie Odessy, przez którą idzie eksport ukraińskiego zboża, to będziemy interweniować.

To wcale nie musi oznaczać nowej wojny światowej. Tylko nowy poziom konfrontacji. Moi lewicowi koledzy nie pojmują, że trzeba brutalnej siły, żeby powstrzymać brutalne reżimy. Ukraina walczy o swoją wolność, o wolność Europy i o wolność samej Rosji.

Zagraża nam nowy komunizm. Inny niż ten znany. To kombinacja Czterech Jeźdźców Apokalipsy: Pandemia, Wojna, Głód i Śmierć Człowieka, czyli kontrola nad ludzkimi umysłami. Chińczycy pracują nad cyfrową kontrolą myśli. Dzieci w szkołach w Chinach już noszą opaski na głowach, by sprawdzać pracę ich mózgów. Prawdziwy horror.

Ale Chińczycy nie są wcale pewni swego. Boją się skutków globalnego ocieplenia i wewnętrznych

buntów. Mają specjalny budżet wojska i sił specjalnych do tłumienia „nadzwyczajnych zagrożeń”.

Zachód musi sprostować nowemu komunizmowi. Będą masowe migracje ludności. To rodzi konieczność globalnej kooperacji Zachodu w dziedzinach ochrony zdrowia, edukacji, dystrybucji żywności. Żywności jest na świecie dosyć, ale nie udaje się jej rozprowadzać.

SOCJALIZM POTRZEBUJE LIBERALIZMU

Co w tej nowej panoramie ścierających się populizmów i nacjonalizmów, lewicowych, prawicowych, ale również autorytarnych, oraz powszechnego kryzysu demokracji ma do zaproponowania lewica? Czy czasem nową rewolucyjną siłą nie staje się klasyczny liberalizm?

– Jądro liberalizmu ma moc ocalenia świata. Całkowicie podzielam zasadnicze wartości liberalne. One są sednem ludzkiej wolności. Dzisiaj liberalizm potrzebuje socjalistycznych podstaw materialnego dobrobytu. Musi znaleźć receptę na prywatne monopole, które nami skrycie zarządzają za pośrednictwem internetu. Nie lubię terminu „technofeudalizm”, ale jak taki bałwan jak Elon Musk mówi, że kupuje Twitera, by ocalić ludzką wolność, to jawna kpina.

Dzisiejszy socjalizm nie ma dążyć do stworzenia nowego porządku, ale musi zapewnić materialne podstawy ludzkiej wolności. Nie odrzucać tzw. formalnych wolności w imię tzw. prawdziwej wolności, jak twierdzili komuniści. Żadnego „nowego porząd-

ku” ani, broń Boże, „nowego człowieka”. Socjalizm ma tylko zmienić materialne warunki ludzkiego życia. Socjalizm dziś potrzebuje liberalizmu, a liberalizm – socjalistycznych podstaw materialnego bytu. Więcej powiem: potrzebujemy również uczyć się od umiarkowanego, rozumnego konserwatyzmu, np. w kwestiach moralności. Gospodarka, wolność i moralność.

Mam w nosie entuzjastyczne, rewolucyjne wybuchy i przewroty w imię utopijnego porządku. Ludzie zawsze będą dążyć do władzy i bogactwa kosztem innych. Trzeba dążyć do takiego ładu, w którym wszystkim da się żyć.

Jest pan z pewnością świadom, że mówi pan jak Leszek Kołakowski w słynnym eseju: „Jak być liberalno-konserwatywnym socjalistą”.

– Pewnie, że wiem. Nigdy Kołakowskiego nie poznałem osobiście. Wiem też, że mnie nie czytał, bo uważał mnie za wariata. Ale ja często głoszę wariactwa. Nie dbam o to. Nie chcę ani pseudolewicowego puryzmu, ani prawicowego trumpizmu. W tych kleszczach zginiemy.

Życie jest chorobą przenoszoną drogą płciową, która zawsze kończy się śmiercią.

Bądźmy pokorni. ●

*Slavoj Žižek

• Ur. w 1949 r. w Lublanie, socjolog, filozof, filmoznawca. Fan Marksa i Lenina, zjadliwy krytyk postmodernizmu, kapitalizmu, New Age, politycznej poprawności, zdrowego stylu życia, inwigilacji pod płaszczykiem ochrony obywateli – lista jest długa. Nazywany Elvisem filozofii i bratem Marksa, uwielbia paradoksy, dekonstruuje „Kung Fu Pandę” przy pomocy

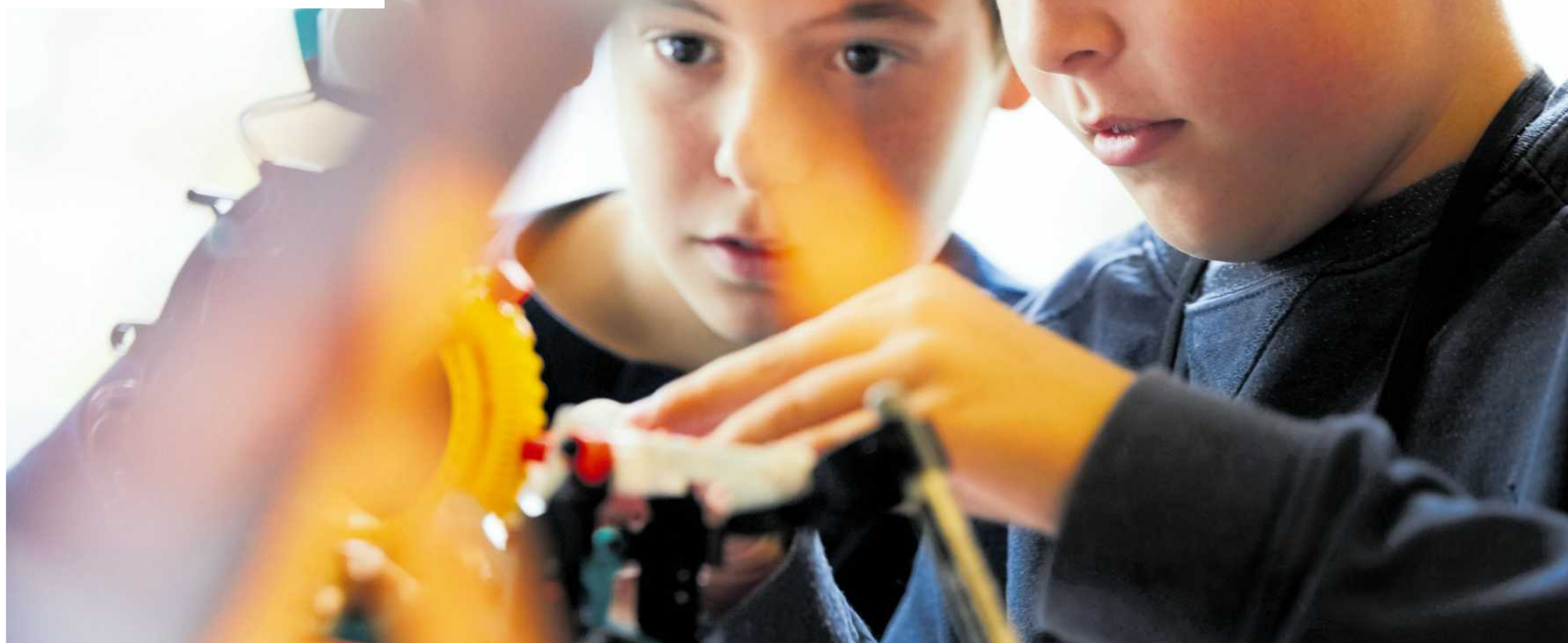
Lacana, a marksistów namawia do sojuszu z chrześcijanami. I krytykom, i fanom mówi: „Nie daję jasnych odpowiedzi nawet na najprostsze, najbardziej bezpośrednie pytania. Lubię komplikować problemy i nienawidzę prostych narracji. Są podejrzane”. Autor kilkunastu książek. W polskim przekładzie ukazały się m.in. „Przekleństwo fantazji”,

■
Lubię komplikować problemy i nienawidzę prostych narracji. Są podejrzane

„Kruchy absolut, czyli dlaczego warto walczyć o chrześcijańskie dziedzictwo”, „O wierze”, „Rewolucja u bram”, „Przemoc: sześć spojrzeń z ukosa”, „Dru-ga śmierć opery”, „Kukła i karzeł. Perwersyjny rdzeń chrześcijaństwa”. Dwie najnowsze to „Kłopoty w raju. Od końca historii do końca kapitalizmu” oraz „Hegel i mózg podłączony”.

UCZNIU, BŁĄDŹ!

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

FOT. GETTY IMAGES

Nauczyciel pomoże rozwiązać problemy, z którymi nie radzą sobie wszczepiane czipy z informacjami

Karolina Słowik

Hażlach to wiejska gmina na Śląsku Cieszyńskim. W wiosce, która liczy ok. 2,4 tys. mieszkańców, najważniejszymi instytucjami są dwa Kościoły: rzymskokatolicki i ewangelicko-augsburski, oraz szkoła. To kolejna szkoła w Polsce, która pokazuje, że można uczyć inaczej.

– Od czterech lat jesteśmy w remoncie – przyznaje dyrektorka Agnieszka Pilch. Jej szkoła mieści się w budynku z 1894 r. z dobudówkami z lat 90. – Na szczęście w tej najstarszej części nie potrzebujemy klimatyzacji. Ale i tak spotkało nas dużo niespodzianek. Zdejmujemy ordek, czyli strop z plewami zbóż, deskami, trocinami, bo jak dzieci miały próbę tańca na strychu, to w klasach monitory na ścianach się nam ruszały – śmieje się.

Wąskich korytarzy i niewielkich sal lekcyjnych już nie zmieniają. Tu stawiają na innowacyjność kadry.

W szkole dyrektor Pilch są kuchnia dla uczniów, by robili wypieki na swoje uroczystości, sala do techniki z wielkim piecem ceramicznym, wyciszana sala multimedialna, świetlica. – Obecnie budujemy pracownię klocków Lego. Mamy dużo tabletów, projektorów. To efekt wielu lat pracy – mówi. Najbardziej cieszą ją jednak meble, które zrobili uczniowie na technice z pomocą pana konserwatora. – Miał być kosz na zabawki, wyszedł stół. Teraz

najbardziej oblegany mebel na korytarzu – śmieje się.

Jednak najważniejsza zmiana to ta, która zaszła w sposobie nauczania. – Stawiamy na krytyczne myślenie, na samodzielność. Daję dużo wolności nauczycielom, a oni uczniom. Od lat walczę o brak presji. O to, by egzaminy każdy napisał na swoim poziomie, a nie wykręcał wynik. Nie zmuszamy do nauki, do brania korepetycji. Bo inaczej uczeń pewnie zdobyłby to 70 proc. albo więcej, ale zmiany związane ze stresem mogą zostać z nim na dłużej. I żaden lekarz nie pomoże.

Uczniowie to doceniają. Ósmoklasiści na odchodnie dali dyrektorce laurkę: „Nauczyła nas Pani, żeby być gotowym, że można zrobić coś źle. Dzięki Pani możemy cieszyć się nie tylko celem, ale i drogą. To bezcenne”.

W szkole w Hażlachu nauczyciele i dyrekcja wypracowali sobie kodeks wartości. Na pierwszym miejscu: autentyczność.

Według niej edukacja przyszłości to przede wszystkim współpraca, różnorodność i komunikacja. – Wszyscy potrzebujemy lekcji słuchania się nawzajem. Słyszeć. Nie wchodzić w zdanie, pytać, czy dobrze zrozumieliśmy. Oczywiście 4K: krytyczne myślenie, kreatywność, komunikacja i kooperacja. Ale też wdzięczność, umiejętność dziękowania sobie nawzajem.

NAUKA PRZEZ CAŁE ŻYCIE

Nauka na błędach, rozwijanie kompetencji zamiast zdobywania wiedzy, praca z men-

torem. I nauka przez całe życie. To jest nasza przyszłość według badaczy i praktyków. Potrzeba nam świetnie wykształconych, opłacanych i docenionych nauczycieli, którzy wypełnią rolę przewodników. A będą potrzebni, bo koncepcja uczenia się przez całe życie ma już z nami pozostać. Zdają sobie z tego sprawę też uczniowie. Z badania przeprowadzonego na zamówienie projektu Jutronauci „Gazety Wyborczej” przez firmę SW Research wynika, że chęć uczenia się przez całe życie deklaruje aż 61,9 proc. osób w wieku 16-24 lata.

„Osoby uczące się w przyszłości to będą ludzie w każdym wieku – którzy odkrywać będą nieustannie swoje nowe pasje, będą je pogłębiać, zmieniać swoje umiejętności, kompetencje. Edukacja i nauka będzie trwała całe życie, to będzie bardziej hobby, nie konieczność. Ludzie będą traktować naukę jako relaks i sposób na długie i harmonijne życie” – przekonują badacze z infuture.institute, którzy na co dzień tropią trendy przyszłości. W swoim zeszłorocznym raporcie „Przyszłość edukacji. Scenariusze 2046” zespół analityczki trendów Natalii Hatałskiej we współpracy z Collegium Da Vinci, prywatną uczelnią wyższą w Poznaniu, opracował wizję edukacji przyszłości. W swojej publikacji podkreślali przede wszystkim, że zmieni się rola nauczyciela. Nie będzie on już – tak jak dotychczas – podawcą wiedzy.

A co będzie najważniejsze w nauce przez całe życie? Wiedza będzie jeszcze bardziej dostępna i powszechna, problemem będzie motywacja do jej zdobywania.

Chodzi więc o to, żeby nam się chciało szukać i ją zdobywać.

KIM BĘDZIE NAUCZYCIEL PRZYSZŁOŚCI?

Z badania SW Research przeprowadzonego dla „Wyborczej” i Jutronautów wynika, że aż 81,6 proc. młodych ludzi (w wieku 16-24 lata) nie wierzy, że szkoła uczy kompetencji przyszłości, a jednocześnie ponad połowa boi się częstego przebranżawiania i zmiany pracy. Wynika z tego jasno, że młodzi są gotowi do zmiany, potrzebują jednak pomocy.

To pokrywa się z wnioskami badaczy z infuture.institute. Według nich nauczyciele przyszłości nie tylko będą specjalistami w swoich dziedzinach, ale będą też potrafili rozbudzić pasję do pogłębiania wiedzy. Młodzieży potrzebny będzie mentor, przewodnik, który nauczy umiejętności, których nie potrafią nauczyć inteligentne programy. Nauczyciel pomoże rozwiązać problemy, z którymi nie radzą sobie wszczepiane czipy z informacjami. A inteligentne rozwiązania będą tylko podporą w projektowaniu indywidualnej ścieżki rozwoju dla każdego uczącego się. To nauczyciel-przewodnik pomoże uczniowi znaleźć pomysł na siebie.

Hatałska powtarza, że cała edukacja jest o przyszłości. Przygotowujemy dzieci do świata, który dopiero będzie. Musimy więc zadbać o kompetencje, które nas odróżniają od robotów. – Ważne będą kompetencje miękkie, krytyczne myślenie, łączenie faktów. I umiejętność uczenia się stale, na no-

wo. (...) Life long learning to nasza przyszłość. Będziemy zmieniać fach kilkakrotnie podczas naszego życia. Praca w jednym zakładzie do emerytury to przeszłość – podkreślała Hatałska w rozmowie dla „Gazety Wyborczej”.

O tym, czego potrzeba w edukacji, mówiła również w raporcie Hatałskiej Joanna Rawecka – psycholożka, certyfikowana psycho-terapeutka, która na co dzień pracuje przede wszystkim z dziećmi i młodzieżą. Rawecka podkreśliła, że obecna edukacja „tkwi w rozwiązaniach, które są nieprzystające nie tylko do dzisiejszych, rzeczywistych potrzeb dzieci, ale również do tego, czego będzie się od nich oczekiwać w przyszłości”. Według niej powinniśmy całkowicie zmienić myślenie o edukacji. – Akcenty stawia się nie tam, gdzie trzeba. Nie na rozwój i na potrzeby, nie na kształcenie umiejętności potrzebnych w zmieniającym się świecie, ale na przekazywanie wiedzy, której po pierwsze jest za dużo, po drugie jest w oderwaniu od kontekstu i rozumienia sensu jej posiadania, a która na domiar złego, kiedy trafia do podręczników, nierzadko jest już nieaktualna i nieadekwatna. Uważam, że powinno być mniej presji związanej z przyswajaniem informacji, a więcej skupiania się na uczniach, na tym, co jest im potrzebne: na umiejętności skutecznego rozwiązywania problemów, radzeniu sobie ze sobą, także z frustracją, stresem, pozwoleniu na eksperymentowanie, popelnianie błędów – uważa Rawecka.

Według niej powinniśmy wyjść z systemu, w którym zawsze są gotowe odpowiedzi, a nie ma przestrzeni na popelnianie błędów. I powtarza za nauczycielkami ze „Szkoły dla innowatora”: – Błędy są karane złą oceną. Tymczasem popelnianie błędów jest jedną z najlepszych lekcji. Niestety, wciąż jest nam przekazywane na każdym etapie edukacji, że błędów nie należy popelniać. Z psychologicznego punktu widzenia jest to bardzo szkodliwe – mówi Rawecka.

Ile polskich szkół już teraz wdraża zmiany, stara się inaczej podchodzić do edukacji i zamiast wtłaczać w dzieciaki wiedzę, próbuje ich uczyć krytycznego myślenia? Zapewne niewiele. Twardych danych brak. Ale są już pierwsze jaskółki zmiany. Szkoła w Hażlachu bynajmniej nie jest jedyna. – Urodziłam się do pracy w zmianie – przyznaje dyrektorka śląskiej szkoły. – Ale wiem, że niektórzy nauczyciele czy rodzice pragną szkoły pruskiej, ocen. Dumni są z pasków na świadectwach zamiast rozwoju talentów dzieci. Dużo pracy nas to kosztuje: rozmowa, wyjaśnianie, namawianie. Jestem tego świadoma i od kilkunastu lat nic innego nie robię – przyznaje.

Te szkoły, które zdecydowały się na zmianę, podkreślają: zmiana przychodzi od dołu. Czasem wystarczy, że nauczyciele, rodzice albo uczniowie poczują własną sprawczość. Za tym idzie elastyczność i przede wszystkim żądza wiedzy.

FLAGOWA SZKOŁA MICROSOFTU W GDYNI

Budynek jest kolorowy, przestrzenny i praktyczny. Panele akustyczne na sufitach niwelują pogłos. Zamiast dzwonka przez radiowęzeł lecą piosenki The Clash oraz Boby’ego McFerrina. Kawalki się zmieniają co jakiś czas, bo decyduje o nich samorząd uczniowski w drodze głosowania. Wybierają dwa utwory: jeden zaprasza na lekcje, drugi – na przerwę.

Nauczyciele korzystają tu ze służbowych laptopów, a pracownie w szkole wyposażone są w tablice elektroniczne, na których wyświetlane są aktualne zastępstwa. W salach znajdują się też roboty do nauki programowania, drukarki 3D, wizualizery. A to i tak tylko pomoce do tego, by realizować na przykład zajęcia interdyscyplinarne w systemie STEM (science, technology, engineering, mathematics – nauka, technologia, inżynieria i matematyka).

Ale wyposażenie szkoły to zaledwie początek zmian. Najważniejsze z nich to zmiana podejścia do ucznia. Nacisk położo-

ny jest na metody projektowe, aktywizujące uczniów, wzmacniające ich sprawczość. Oktawia Gorzeńska 20 lat przepracowała w szkole. To ona stworzyła od podstaw publiczne 17. LO w Gdyni, które szybko stało się flagową placówką Microsoftu – pierwszą taką nie tylko w Polsce, ale też w całej Europie Centralnej. To ona zdemokratyzowała życie szkolne na każdym poziomie. Samorząd szkolny i jego decyzje mają istotne znaczenie dla całej społeczności. Włączyła w procesy decyzyjne również rodziców. Problemy rozwiązują wspólnie.

W ramach jednego z projektów uczniowie musieli sprawić, by jajko spadające z wysokości kilku metrów się nie rozbiło. Podzieleni na grupy opracowali powłokę ochronną, którą potem testowali, wyrzucając jajka przez okno.

Laboratorium kariery pomaga dzieciom nawiązać kontakt z przedstawicielami różnych zawodów. A symulacje biznesowe (na przykład inscenizacje prowadzenia biura podróży) uczą ich planowania i inwestowania. W sali do gotowania przyrządzają wspólnie potrawy i się integrują.

To Gorzeńska przyciągnęła do współpracy giganta z Seattle. W 2017 r. wprowadziła tu narzędzia i technologię Microsoftu, aby dołączyć do programu „Szkoła w chmurze”. – Każdy uczeń i nauczyciel dostał konto premium w pakiecie Microsoft 365. Notatki, które nauczyciele zapisywali podczas lekcji na aktywnych tablicach, spływały automatycznie na uczniowskie konta w OneNote. A przez Skype in the Classroom łączyliśmy się z różnymi ekspertami, w zależności od potrzeb.

Gorzeńska mówi od lat: – Technologia, cyfrowy świat to tylko narzędzia. Edukacja przyszłości to przede wszystkim człowiek. Jego pasje i umiejętności. Jeśli jest odwrotnie, to ten sprzęt ląduje w szkołach i się kurzy, bo nikt nie potrafi z niego mądrze skorzystać. Każdy z nas chyba słyszał anegdotkę o robocie zamkniętym w gablocie dyrektora na klucz. Albo drukarce 3D, która służy jako podstawka pod kwiatek. Taki klasyk – mówi.

„Nie technologie, ale człowiek” – słowa te Gorzeńska powtarza jak mantrę wszystkim szkołom, które wciągnęła do programu „Szkoła dla innowatora”. To projekt, który powstał przy współpracy z Centrum Edukacji Obywatelskiej, ma wspierać szkoły we wprowadzaniu reform. „Rozwijanie kompetencji współpracy, rozwiązywania problemów, zarządzania sobą, liderowania i samodzielnosci myślenia wymaga całościowej zmiany w szkole, w tym zauważenia, że ich zdobywanie jest procesem społecznym” – uważają organizatorzy. Dziś Gorzeńska prowadzi Akademię Przywództwa Edukacyjnego i uczy swoich podopiecznych, dyrektorów i nauczycieli, jak ważne jest przywództwo, balans między online i offline. I to, że to uczeń musi być w centrum.

SZKOŁA PRZYSZŁOŚCI W SYPIĄCEJ SIĘ TYŚCIĄ LATCE

Dyrektorka SP nr 9 w Elblągu Agnieszka Śliwińska przyłączyła się do programu razem ze swoją kadrą. Zmiany, jaka za-

szła w ich szkole, nie powstydziłby się żaden program zajmujący się odświeżaniem wizerunku. Budynek elbląskiej placówki to tyściątka. Mało oszczędna, trudna w utrzymaniu, za duża na poważny remont. – Liczy 40 lat, sypie się. Właściwie była do zamknięcia. Gdyby nie opór nasz i rodziców – wspomina Śliwińska.

Podstawówka dostała drugą szansę, ale na remont pieniędzy wciąż nie ma. – Z zewnątrz słabo to wygląda. Postanowiliśmy więc działać tam, gdzie możemy, czyli wewnątrz. A tu tkwi prawdziwy potencjał: hولة są obszerne, klasy duże i nasłonecznione. Postanowiliśmy rzucić tam trochę koloru. Motyw indygo, fuksji, żółtego, czarnego i szarego powtarza się w gabinetach i na korytarzach. Powstały strefy tylko dla uczniów, żeby mogli usiąść na wygodnych pluszowych sofach, zjeść spokojnie, napić się, odpocząć. Do sal kupiliśmy okrągłe stoły. Bo taki stół sprzyja rozmowie. Nie ma lepszych i gorszych miejsc, wszyscy się widzimy. I ogólnie jest swobodniej – wymienia Śliwińska.

Nauka przez całe życie. To jest nasza przyszłość według badaczy i praktyków

W wirtualnym i telefonicznym space-rze po ich szkole prowadzi mnie pod ścianę, gdzie nauczyciele postanowili powiesić swoje prywatne zdjęcia i napisać coś o sobie: kim są, co lubią, co robią po pracy. „Co lubię? Ludzi, modę, sushi, muzykę, jogę, czasem pomilczę, koncerty, prowadzić auto. Co wiem na pewno? Nic nie zdarza się bez powodu. Ktoś, kim masz się stać, ewoluuje”. To wpis pedagożki.

„Największą satysfakcją w życiu zapewnia mi sport” – nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej.

„Ludzie to anioły z jednym skrzydełkiem. Żeby się wznieść, musimy trzymać się razem. Boję się myszy, marzę o podróżach, kocham swoją rodzinę, słucham głosu serca. Nie lubię zmywać naczyń” – bibliotekarka.

Pierwszym zarządzeniem Śliwińskiej jako dyrektorki było zlikwidowanie dzwonka. – To był agresor, który uruchamiał nie tylko dzieci, ale i mnie. Odkąd nie ma tego natrętnego dźwięku, przerwy rzeczywiście są bardziej spokojne – mówi.

Dyrektor Śliwińska wypracowała też inny patent: w jej szkole nie zamyka się drzwi. Każdy może wyjść i wejść w trakcie lekcji. – Jeśli uczeń potrzebuje chwili przerwy, jeśli chce iść na sofę do strefy relaksu – proszę bardzo. Nikogo nie zamykamy. I ja na tym korzystam. Lubie robić sobie spacer edukacyjny, patrzeć, jak dzieci pracują, jak się rozwijają, z czym mają trudności. Jeśli mają jakiś problem – jestem dla nich, służę pomocą. Oni to wiedzą i z tego korzystają – mówi.

Jest też tym typem nauczyciela, który martwi się, gdy podczas lekcji jest zbyt ci-

cho. – W klasach musi być głośno! Wtedy wiem, że dzieci są aktywne, że żywo reagują na lekcji. Gdy jest cicho, to zaczynam się martwić, bo to oznacza, że nauczyciel prowadzi lekcję transmisyjną. Wykłada uczniom wiedzę, zamiast ich angażować.

Ale zmiany elbląskiej szkole nie przyszły łatwo. Problem był zwłaszcza z częścią nauczycieli. – Była grupa, która weszła w to jak w masło, były też osoby, które absolutnie się nie zgadzały. Mają wypracowane metody przez 30 lat i odmówiły wychodzenia ze strefy komfortu. Szybko zrozumiałam, że na siłę nic się nie da.

I nie próbowała nic forsować. Sami przyszl. – A to po farbę, by tak odmalować jak u koleżanki. A to po sofę, bo jednak fajnie ją mieć. A to może po pomoc, żeby pozbyć się tej bezsensownej szafy, w której zalegają stare szpargały. Ludzie wyczyścili strefę do nauki i zaczęli oddychać. A przypominam, że to był nie remont, tylko lifting – zaznacza Śliwińska. Na te wszystkie zmiany wydali ok. 50 tys. zł.

– Mieliśmy dużo szczęścia, znaleźliśmy sponsorów, którzy sponsorowali nam te puszki z farbą. Sami malowaliśmy, rodzice pomagali. Boazerii nie wymienialiśmy, tylko pomalowaliśmy ją na białe. I to zaczęło się podobać również tym, którzy zmieniać się nie chcieli. Zobaczyli, że to działa. A nowa przestrzeń zainspirowała ich do działania. Dwóch nauczycieli pozbyło się nawet tablicy do pisania – mówi.

Jest miejsce i na aktywną tablicę, i na pracownie techniczne. – Mamy imadła, młotki, ale też maszyny do szycia. Zdziwiłaby się pani, jak chłopcy garną się do igły i nitki! – mówi Śliwińska.

Pytam, dlaczego rozmawiamy o imadłach, które sama pamiętam z zajęć ZPT, w kontekście edukacji przyszłości. – Kiedyś byłam freakiem technologicznym, rzucałam się na każdą nowinkę. Potem okazało się, że bardziej satysfakcjonujące może być jednak rękodzieło. Oprócz satysfakcji przynosi dzieciom skupienie, wyciszenie, zaangażowanie innego rodzaju. Nagle klasa sportowa, zwykle bardzo energiczna, mówi do siebie obniżonym głosem, przestaje krzyczeć. Igła wszak wymaga precyzji – wyjaśnia.

Według niej wyciszenie i skupienie to tylko początek. W ten sposób można nauczyć innych kompetencji, w tym planowania i oceny swoich działań. – Dziecko nauczy się w ten sposób rozwiązywania problemów, wartościowania ich. Ocenic, czy jeśli popełni błąd, to rzeczywiście katastrofa? A my często w szkołach uczymy, że błędy to koniec świata. Karzemy za nie. Jeśli dzieci się tego nie uczą, to trudno im będzie w przyszłości – mówi Śliwińska.

I podkreśla, że aby się tego nauczyć, potrzeba relacji z nauczycielem, który te kompetencje ma i może je uczniom pokazać. Potrzeba spokoju w szkole, a nie goni-twy za oceną. Reszta się znajdzie. Pędzelek, kartka – z tym też można uczyć się nawet programowania. – Byle razem, wspólnie, byle spokojnie reagować na sytuacje kryzysowe – podsumowuje Śliwińska.

...

Pytam Oktawię Gorzeńską, jak osiągnąć to, żeby nauczyciel był mistrzem, przewodnikiem, który nie podaje wiedzy do głów, tylko inspiruje i sprawia, że uczniom chce się sięgać po wiedzę. – Nauczyciel musi być przede wszystkim człowiekiem. Raz będzie dla swoich uczniów mistrzem, a innym razem oni będą mistrzami dla niego. Nauczyciel nie może się bać tego odwrócenia ról. Czasem będzie potrzeby jedynie do tego, by sytuację edukacyjną po prostu stworzyć, zaaranżować przestrzeń do wymiany myśli – podkreśla Gorzeńska. I wspomina, że ostatnio spotkała się z uczniami swojego dawnego 17. LO. Pytała ich, czego potrzebują od nauczycieli. – Odpowiedzieli, że zrozumienia. I zgodzę się, że na tym można zacząć budować: ciekawość, pasję, poznanie. Na przylapywaniu na błędach wiele nie zbudujemy – konkluduje. ●

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

ZE **STEFANEM CHWINEM***
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Wieszał pan flagę 4 czerwca, na rocznicę wyborów 1989 roku?

– Mam uraz z dzieciństwa. Pamiętam, jak rano, w dzień państwowych świąt, człowiek z komitetu dzielnicowego partii szedł wzdłuż domów i tłukł kijem w blaszane parapety. Mama wyjmowała wtedy ze schowka biało-czerwoną flagę i mocowała ją w oknie. Ciągle to widzę. Poza tym nie miałbym gdzie przymocować flagi. Mieszkam w bloku.

Sąsiedzi wieszają.

– Dziesięć procent. Ludziom po prostu do głowy nie przychodzi, żeby 4 czerwca wywieszać chorągiew.

Przecież dzięki polskiemu zrywowi Sierpnia posypał się pojałtański porządek. A my nie celebруем dnia, w którym przy urnach odrzuciliśmy komunizm.

– Mnie słodczy tamtego zwycięstwa psuje fakt, że 40 procent elektoratu miało tamte wybory gdzieś, więc opowieść, że wtedy gremialnie odrzuciliśmy komunizm, należy między bajki włożyć. Wątpliwe jest również nasze przekonanie, że to dzięki nam, Polakom, runął mur berliński, zawaliły się demoludy, a 4 czerwca 1989 roku po raz drugi odzyskaaliśmy niepodległość. Niepodległość polega nie na tym, że ktoś sobie ją ogłasza, tylko na tym, że na terenie jakiegoś państwa, na którym dotąd przebywały obce wojska, nie ma ani jednego obcego żołnierza, który nie ma ochoty się wynieść. Taka niepodległość zaczęła się u nas dopiero w chwili, gdy ostatni żołnierz sowiecki opuścił terytorium Polski, to znaczy 17 września 1993 roku.

A myśmy tę datę skutecznie wymazali z polskiej pamięci. To ona powinna być datą Święta Niepodległości, nie 11 listopada, kiedy tak naprawdę nie zdarzyło się nic ważnego, oprócz tego, że z Magdeburga przyjechał do Warszawy pewien kontrowersyjny polityk.

Dlaczego wymazaliśmy tę datę?

– Być może bierze się to z przykrego przypuszczenia, że to wcale nie my, Polacy, naszą wieloletnią walką i pracą zadecydowaliśmy o tym, że Armia Czerwona wyniosła się z Polski, tylko że stało się to, niestety, niezależnie od nas.

Chętnie sobie wmawiamy, że powtarzające się zbiorowe patriotyczne protesty – od straceńczej walki „żołnierzy wyklętych” z lat 40. po strajki gdańskich stoczniovców czy łódzkich włókniarek z lat 80. – zmusiły w końcu tysiące radzieckich czołgów i wyrzutni rakietowych do opuszczenia Polski.

Niestety, fakty każą przypuszczać, że armia sowiecka opuściła Polskę nie dlatego, że Polacy ją z Polski wypchnęli, jak w roku 1920, tylko dlatego, że sowiecka Rosja, która znalazła się na skraju bankructwa, nie była w stanie utrzymać wielkich kontyngentów wojskowych w krajach podległych, więc postanowiła je wycofać w głąb imperium. Wycofać zresztą – jak to część Rosjan do dzisiaj uważa – tylko na jakiś czas.

Wedle mitu wywalczyliśmy niepodległość w 1989 roku. Tymczasem to nie my, tylko Reagan i Gorbaczow zgodnie „przenieśli” wtedy Polskę ze strefy wpływów rosyjskich do strefy wpływów amerykańskich. I to wszystko. Myśmy w 1991 roku nie wywalczyli niepodległości przy żadnym stole, bo do żadnego stołu nas nie dopuszczono.

Kiedy fakty przegrywają z mitami?

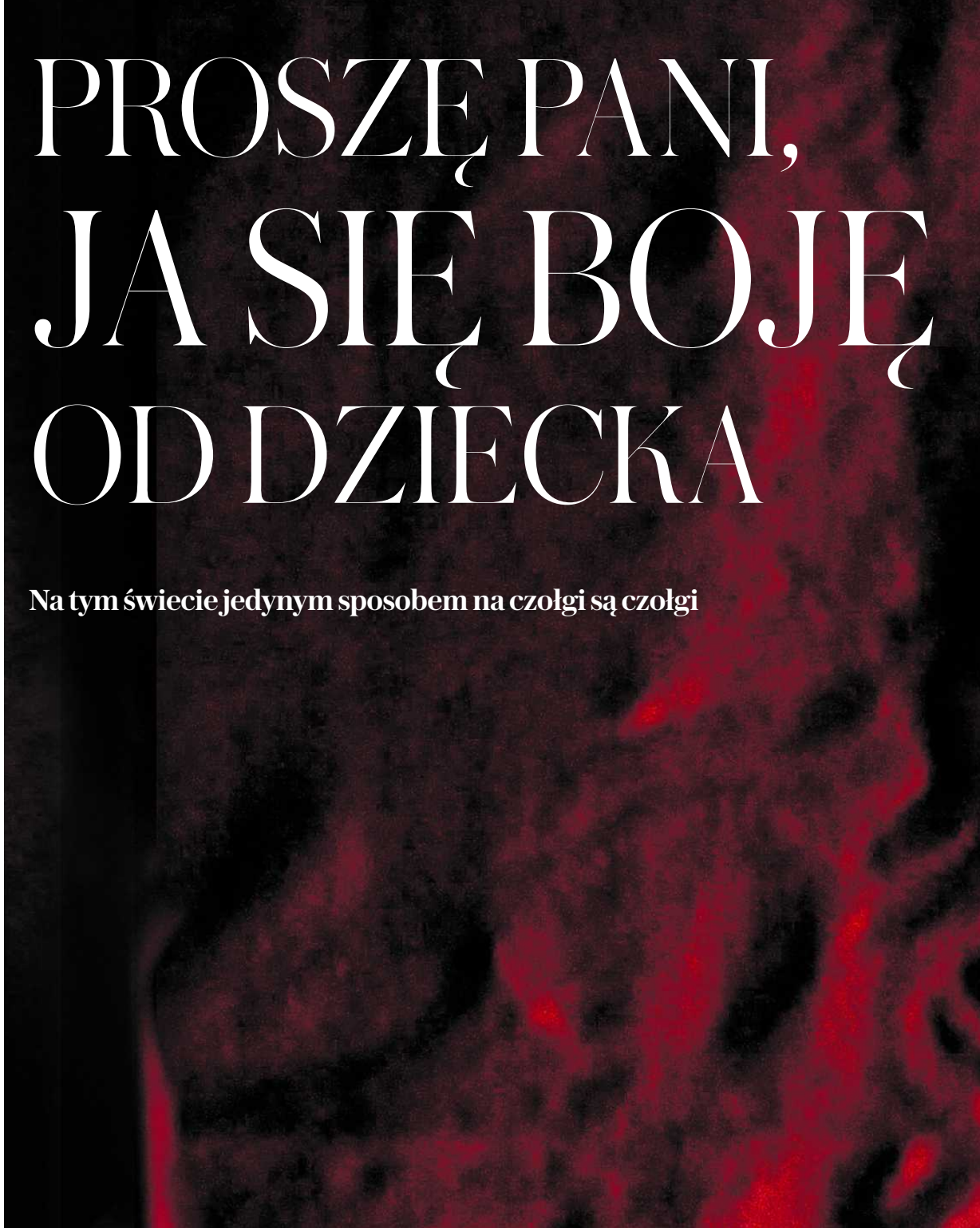
– Kiedy w naszej kulturze paradygmat pamięci podmiotowej dominuje nad pamięciową matrycą podważonej podmiotowości. Zgodnie z tą drugą matrycą Polacy nie byli czynnymi sprawcami czy „autorami” własnych dziejów, lecz przedmiotem cudzych działań. W sprawach najważniejszych o naszych losach decydowały państwa potężniejsze od nas.

A powstania?

– Były wymuszoną reakcją na okoliczności, a nie podmiotowym czynem tworzącym historię. Nasza pamięć narodowa broni się w różny sposób – także poprzez szczególne mechanizmy niepamiętania – przed przyjęciem do wiadomości faktu, że od początku XVIII wieku podmiotowość naszego bytu zbiorowego była skutecznie ograniczana. Chcemy pamiętać przede wszystkim o ponawianych rozpaczliwie próbach odzyskania podmiotowości w XIX i XX wieku jako o suwerennych aktach.

Zdarzenia spoza paradygmatu pamięci podmiotowej wymazujemy. Jak 17 września 1993 roku.

Czy to się dzieje podświadomie?



PROSZĘ PANI, JA SIĘ BOJĘ OD DZIECKA

Na tym świecie jedynym sposobem na czołgi są czołgi

– Niekoniecznie, ponieważ pamięć podmiotowa współgra ze strukturą państwowych obrzędów i z uniwersalną regułą pisania podręczników. Obowiązująca historia walki o niepodległość nie jest u nas historią narodu, tylko aktywnej politycznie mniejszości, chętnie podającej się za większość. Tymczasem rzeczywistość większość Polaków nie brała udziału w żadnej walce o niepodległość, tylko w kluczowych momentach biernie wyczekiwała na ostateczne rozstrzygnięcia, by – zgodnie z uniwersalnym prawem – stanąć mniej lub bardziej jawnie po stronie zwycięzcy.

A przyznanie się do bierności byłoby wstydem?

– Blokada pamięci o przykrych faktach łączy się w polskiej kulturze z bardzo silnym filtrem godnościowym, który takim zachowaniom przystosowawczym nadaje negatywną sankcję moralną i jako zjawiska godzące w dobre imię Polski odsiewa je. Dlatego czynne działania garstki „niepodległościowców” są wyolbrzymiane po to, by tym, co było statystycznie marginesowe, ale w kategoriach mitycznych doniosłe, można było przysłonić zjawiska o skali masowej, na przykład masowy polityczny konformizm Polaków w XIX i XX wieku.

Uważam zresztą, że nie ma co nam wytykać tego konformizmu jako czegoś szczególnego, bo rozkwitał on we wszystkich krajach demokracji ludowej.

W nowej książce „Wolność pisana po Jalcie” pisze pan o pesymizmie pojałtańskim. Czy nim właśnie nie można wytłumaczyć tego konformizmu?

– Cała epoka – od 1945 do 1989 roku – może być określona jako epoka pojałtańskiego pesymizmu. Przez wiele lat większość Polaków nie wierzyła, że komunizm może się skończyć „za naszego życia”. Przekonanie o „wiecznotrwałości” systemu w wielu przypadkach miało moc paraliżującą. Szerzeniu się tego rodzaju nastrojów sprzyjał fakt, że opór zbrojnego podziemia niepodległościowego złamano dość szybko.

I dlatego co cztery lata w nastroju fatalistycznej rezygnacji miliony obywateli Polski Ludowej chodzi-

ły na fikcyjne wybory i wrzucały bez skreśleń fikcyjne karty do głosowania, nawet ich nie czytając, co w istocie legitymizowało prawo komunistów do władzy. Czynili tak również polscy księża i biskupi, których przy urnach wyborczych pokazywała państwowa telewizja. Opozycja demokratyczno-niepodległościowa stanowiła zupełny margines polskiego życia, tak jak teraz w Rosji.

Nawet kazanie prymasa Wyszyńskiego wygłoszone w sierpniu 1980 roku na Jasnej Górze, bardzo zresztą źle przyjęte przez stoczniovców strajkujących w Gdańsku, było utrzymane w duchu „pojałtańskiego realizmu”. Prymas nie umacniał w nas woli walki o wolność i niepodległość, tylko zachęcał do umiarkowania i pracy, studząc patriotyczną gorączkę, bo „za naszego życia i tak nic się nie zmieni”. Podobne uspokajające kazanie wygłosił kardynał Glemp w grudniu 1981 roku, nazajutrz po wprowadzeniu stanu wojennego. Spokojnie, Polacy, nie rozjuszajmy Rosji, bo i tak Jałty nie wywrócimy.

Czy temu pesymizmowi towarzyszył strach?

– Polski strach to nasze narodowe tabu. Lepiej milczeć o tym, czego się baliśmy dawniej i czego boimy dzisiaj. A baliśmy się morowego powietrza, czarownic, herezyków, inkwizycji, reformacji i kontrreformacji, potem buntów chłopskich i ukraińskich, Iwana Groźnego, reżunów, Krzyżaków, Szwedów, Turków i Tatarów. Od końca XVIII wieku baliśmy się szczególnie Rosji i może dlatego zbudowaliśmy mit nieustraszonego Reytana, milcząc o tym, że ów narodowy bohater skończył samobójstwem ze strachu, kiedy to podobno – jak chcą kronikarze – na widok zajeżdżających przed jego dwór w Hruszówce Rosjan z przerażenia połknął stłuczone szkło i skonał w męczarniach. Woleliśmy Reytana z niezapomnianego obrazu Matejki.

Wszystkie narody boją się wojny.

– Ale nie wszystkie boją się, że w wyniku wojny mogą zniknąć bez śladu. A nam to groziło i myśmy to czuli.

FOT. DOMINIK SADOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Po wojnie – dobrze pamiętam ten zimny strach – baliśmy się UB i NKWD. Tysiące repatriantów ze Wschodu bało się, że Niemcy wrócą do Gdańska, Olsztyna, Szczecina i Wrocławia. Ciągłe baliśmy się, co mogą z nami zrobić Rosja i Niemcy, z czego skwapliwie korzystają nasi politycy. Chcesz wygrać w Polsce wybory? Podsycaj powszechny strach Polaków przed Niemcami i Rosją. Wzmacniaj go, pielęgnuj, rozpłomieniał.

Pan też zna strach?

– Proszę pani, ja się boję od dziecka. Mój ojciec dzękował Bogu, że został wypędzony z Wilna, bo dostawał dreszczy na samą myśl, co by było, gdyby tam został zatrzymany siłą. Pod koniec życia opowiedział mi traumatyczną historię wileńską. Któregoś dnia poszedł odwiedzić znajomych Polaków. Wszedł na ulicę i nagle wydało mu się, że coś jest nie tak. Panowała absolutna cisza. Nagle spostrzegł, że wszystkie mieszkania, dotąd zajmowane przez polskie rodziny, zostały w nocy oczyszczone przez NKWD. Wszyscy zniknęli.

Z wczesnego dzieciństwa pamiętam reakcję rodziców i babci, którą Niemcy wypędzili z Warszawy, kiedy rozlegało się stukanie do drzwi. Nieruchomieli jak figury woskowe. Ja też zastygłem w bezruchu i tak trwaliśmy do czasu, aż ucichły kroki na schodach. Długo potem nie zapalaliśmy światła. To były lata 50., czarne Citroeny bezpieki zabierały ludzi z domów. Mama była za okupacji żołnierzem AK, a ojciec wileńszczykiem. To mogło wystarczyć. Do dziś bardzo nerwowo reaguję na odgłos pukania do drzwi.

Dodatkowo moje pokolenie zostało wychowane w strachu przed wojną atomową, która była na wyciągnięcie ręki. Czułem dreszcz lęku, kiedy przelatywał nad Gdańskiem srebrny, wojskowy odrzutowiec. Całe powietrze drżało. Niby nasz, bo rosyjski, ale co, jeśli nie nasz?

Kiedy w 1951 roku wybuchła wojna w Korei, wszyscy mówili o powtórce Hiroszimy. Ten dziecięcy strach wciąż tkwi w mojej podświadomości. A Euro-

pa, która też dobrze zna ten strach, co jakiś czas dzwoni zębami ze strachu przed Rosją, która umiejętnie tym strachem zarządza.

Ale przecież i ona się boi.

– Oczywiście. Rosja mocno boi się Zachodu, bo ten Zachód parę razy ją napadł i mordował. Napoleon doszedł do samych bram Moskwy i mordował, o czym Rosjanie pamiętają do dziś, bo epopeja napoleońska jest jednym z fundamentów kultury rosyjskiej. Hitler też dotarł pod samą Moskwę i mordował. Nie ma rosyjskiej rodziny, w której ktoś by nie zginął w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Putin nie musi przesadnie straszyć Rosjan Zachodem. Wystarczy, że oni sobie porozmawiają przy rodzinnym obiedzie o tym, jak to Zachód zabił dziadka albo babcię, a teraz chce pozabijać nas wszystkich. Właśnie „kolektywny Zachód”, jak to się u nich mówi, bo armia Hitlera była wielonarodowo-europejsko-zachodnia. Oni mają to w głowie ca-

Data Święta
Niepodległości powinien
być 17 września 1993 r.,
nie 11 listopada,
kiedy tak naprawdę nie
zdarzyło się nic ważnego

ły czas i jeśli nie wyjdą z tej neurotycznej traumy, będą się ciągle zachowywać tak jak dzisiaj.

Oni mają obsesję „bliskiej zagranicy”. Wierzą, że tylko żywa otulina narodów zależnych odgradzi Rosję od Zachodu, co jest wiarą złudną, bo żaden żywy mur nie zapewni Rosji bezpieczeństwa, ponieważ rakiety dolatują, niestety, wszędzie, gdzie chcą. A czy Ukraina będzie rosyjska, czy nie, to dla „ocalenia” Rosji nie ma żadnego znaczenia.

Polski strach nie jest szczególny?

– Geopolityczny strach jest duchowym fundamentem naszej narodowej tożsamości, chociaż robimy wszystko, by o nim nie myśleć. Ale czy tylko my? Każdy naród chce wierzyć, że to inni się go boją, dlatego w każdym narodzie hasło „Powstańcie z kolan!” może liczyć na żywy odzew.

Kto powstaje z kolan, zyskuje złudzenie, że wyzwala się ze strachu, ale czy rzeczywiście się wyzwala? Polityczna retoryka suwerennej mocy, którą karmi nas prawica, niczego nie zmienia. Przecież wciąż boimy się wszystkiego. Podejrzanego wymiaru sprawiedliwości, który może nas nieprzyjemnie zaskoczyć, i policji, która może robić różne dziwne rzeczy. Księdza, który pcha paluchy w cudze sprawy. Urzędnika i sąsiada, który ma niebezpieczne konszachty z politykami. Do tego strach codzienny pracowników korporacji, czy należycie się wykazują, strach związkowca przed wyrzuceniem z pracy, strach nauczyciela przed kuratorem i kuratora przed politykiem.

Jest jeszcze strach redaktorów gazet, że nie będzie płatnych reklam, jeśli profil gazety będzie niewłaściwy, strach przed bezrobociem, przed imigrantami, przed COVID-em, przed niedolęzną starością, przed Arabami, przed nadmiarem cholesterolu, przed Żydami, przed cukrem, smogiem, przed LGBT, przed zmianami klimatu, przed śledzeniem nas w internecie, podsłuchiwaniami w telefonie, gromadzeniem danych wrażliwych przez wiadome służby. Mało?

No i zapomniał pan o strachach podsycanych przez Kościół.

– Kościół podsycza w nas strach przed złym duchem, ateizmem, seksualnymi zбочeniami, przymusową eutanazją, masonerią i „fałszywą” wolnością. Panicznie boi się sekularyzującego się Zachodu i w skrzydle radiomaryjnym straszy Polaków nieustannie Europą Zachodnią, skąd – jak uważa – nadchodzi potworne zło, jeszcze większe niż komunizm.

Można się oszukiwać, że jarzmo geopolitycznego strachu Polacy zrzucili w sierpniu 1980 roku, ale stan wojenny go zreanimował i nastrój jasnej swobody Sierpnia nie powtórzył się już nigdy.

W grudniu 1981 bał się pan bardziej niż w 1970?

– 4 czerwca 1989 roku byłem równie zachwycony, co przerażony. Kiedy ogłoszono wynik wyborów, jako jeden z nielicznych stawiałem pytanie, co teraz zrobi Rosja. I przychodziła mi do głowy myśl, że nowo wybrani parlamentarzyści w nocy z 4 na 5 czerwca po prostu trafią na Rakowiecką. Wszystko zależało od tego, czy Rosja to przełknie, bo przecież Rosja wtedy była zupełną niewiadomą, a komuniści, którzy przegrali wybory, mieli wszystko: wojsko, Urząd Bezpieczeństwa, milicję, helikoptery, czołgi i transportery.

Moja radość ze zwycięstwa była zatruta tym bardziej, że na własne oczy widziałem grudzień 1970 roku.

Studiował pan wtedy, prawda?

– Słuchaliśmy wykładu z romantyzmu polskiego, kiedy szyby w oknach zaczęły grać. Zerwaliśmy się z miejsc, nie zważając na wykładowcę i pobiegliśmy zobaczyć, co się dzieje. W dole ulicą płynęła, ginąca we mgle, rzeka czołgów. Wybiegliśmy z moją dziewczyną z budynku. Koło politechniki tłum robotników szedł za nyską z megafonami na dachu w stronę zgłośni radiowej, by nadać strajkowe komunikaty. Nie przyłączyliśmy się do nich.

Idąc w stronę akademików, zobaczyliśmy szarżę wojsk pancernych. Główną ulicą Trójmiasta na pełnym gazie gnały w stronę Gdańska wielkie czołgi T-55. Przylgnęliśmy do murów. Potem minęły nas ciężarówki załadowane trumnami ze świeżego, sosnowego drewna. W górze przelatowały ciężkie sowieckie helikoptery, które rzucały chmury ulotek. Łomot z nieba i z ziemi. Z okien akademika widać było wjazd do Szpitala Marynarki Wojennej przy ulicy Polanki. Karinki na sygnale zajeżdżały co chwila z rannymi.

Na pewno byli ludzie, którzy się wtedy nie bali, ja jednak bałem się naprawdę.

Właściwie to czego?

– Że państwo jest potworem, który może zrobić z nami wszystko. Gdańsk został zalany potopem żelaza

zupełnie niewspółmiernym wobec bezbronności ludzi protestujących na ulicach. Prawdziwy popis miazdzącej potęgi władzy.

A w stanie wojennym?

– Bałem się mniej. Oni nie urządzali szarży, tylko stosowali stacjonarne zarządzanie strachem. Z okna mieszkania zobaczyłem czołg przed Supersamem, a obok spokojnie palących sobie papierosa żołnierzy, z bronią na ramieniu. Rozmawiali, a nawet się śmiali. Zdarzył nam się też epizod tragicomiczny.

Opowie pan?

– Żona chwilę przed wybuchem stanu wojennego zachorowała i trafiła do szpitala w Gdańsku. Kiedy jej zdrowie się polepszyło, a łóżka potrzebne były dla rannych, których się spodziewano, skierowano ją do domu, o czym nie mogłem wiedzieć, bo nie działały telefony. Byliśmy z mamą zdziwieni, kiedy stanęła w drzwiach podtrzymywana przed dwóch żołnierzy. Zapytaliśmy: – Skąd się tu wzięłaś? – A czołgiem przyjechałam. – Podeszliśmy do okna i rzeczywiście, na dole stał czołg. Żona zaprosiła żołnierzy na herbatę. Usiedli w kuchni.

Z bronią?

– A jakże. Położyli kalacha na stole, otworzyli magazynek i z dumą wysypali na blat ostre naboje. Takie wiejskie chłopaki. Nawet nie bardzo wiedzieli, w jakim są mieście.

Chciałabym się zaśmiać, ale analogia z żołnierzami rosyjskimi w Ukrainie, którzy nie bardzo wiedzą, gdzie są, nasuwa się sama.

– Bardzo mnie poruszył tekst, który przeczytałem w tygodniku „Time”. Wynika z niego, że od 24 lutego Rosja powiększyła obszary okupowane o 50 procent. Sankcje nie działają, są dziurawe jak sito. Nie dołączyły się kraje arabskie, Chiny, Indie i państwa Afryki. Rubel stoi lepiej niż przed wojną. PKB Rosji spadło o 7 procent, PKB Ukrainy o 40 procent. 30 procent firm ukraińskich zniknęło, a liczba bezrobotnych sięgnęła ponad 5 milionów. Ludzie przestali płacić za gaz i prąd. To jest miazdząca analiza realiów. Nie przegrywać wojny nie znaczy ją wygrywać.

Tymczasem nasze głowy opanowało myślenie życzeniowe. I ani pani, ani ja, ani nikt nie chce wiedzieć, co naprawdę się dzieje w Ukrainie. Wszyscy czekamy na to, że Dawid zwycięży Goliata, zapominając, że żaden Dawid nigdy nie zwyciężył żadnego Goliata, z wyjątkiem bohatera biblijnego o raczej niepewnym istnieniu.

Takie analizy odbierają ducha walczącym.

– Żyjemy ostatnio w terrorze patriotycznego wsparcia dla Ukrainy. Wystarczy, że ktoś piśnie coś niewłaściwego, a od razu jest podejrzwany o celowe sianie defetyzmu i wiadomą agenturę. Ja to rozumiem, bo skoro przez 123 lata nie było nas na mapie, identyfikujemy się z tymi, którzy dostają baty, i dlatego, by ich nie ranić, odmierzamy słowa. Jednak uważam, że obowiązkiem polskiego inteligenta jest uczciwie trzymać się prawdy.

Moje doświadczenia jako historyka, który obserwuje nie tylko życie polskie, ale też innych społeczności czy narodów, podpowiada mi jednak, że narody wcale nie pragną prawdy. Narody pragną energii życia, żeby jakoś przeżyć na Ziemi. Bez prawdy można żyć, ale nie można żyć bez energii życia.

Nikomu nie jest potrzebna prawda, która osłabia. Dlatego wolimy nieprawdę, która wzmacnia. Rosja jest głęboko przekonana, że wszystko, co wzmacnia jej siłę i energię życia, jest etycznie usprawiedliwione. Z pewnością to przykre dla sąsiadów, ale dla samej Rosji? Dlatego nie mam złudzeń co do szybkiego zakończenia tej wojny.

Na tym świecie jedynym sposobem na czołgi są czołgi, proszę panią. Jak się ich ma za mało, to koniec i kropka. I proszę nie wierzyć w żadne dyplomacje, negocjacje, pacyfistyczne przesłania itp. To są wszystko bzdury. Liczą się tylko czołgi. Nic więcej.

Nie przesadza pan?

– Mam przewidywania jak najgorsze, ale waham się, czy o nich mówić. I jeśli pani powie, że nie chce o nich słyszeć, to skorzystam z prawa do milczenia.

Szczerze mówiąc, u pisarzy to się często szuka nadziei.

– Czyli powinienem mieć porcelanową świnkę, którą teraz rozbiję, a z niej wyskoczy nadzieja?

Przeczuwam, że pan to do takiej świnki mógł nic nie wrzucić.

– Trochę wrzucałem, ale może nie takich monet, o jakich się zwykle mówi.

To miejmy za sobą pesymizm i Realpolitik.

– W tej chwili o losach Ukrainy nie decyduje żaden Biden ani szefowie Unii Europejskiej, tylko farmer z Oklahomy, który uprawia kukurydzę. Na razie on jest poruszony tym, że jest takie państwo, które strasznie cierpi, bo tam żołnierze okupanta gwałcą kobiety i dzieci i zabijają masowo cywilów. Gdzie się to państwo znajduje konkretnie, on to wie z grubsza, ale jest pewien, że trzeba mu pomóc.

Jeśli jednak Rosja będzie przeciągać ten konflikt, ten farmer zacznie się nudzić gładzeniem w telewizji o jakichś przysypywa-

torskim w Berlinie, część ludzi demonstracyjnie wyszła z sali. To było zresztą jeszcze przed wojną w Ukrainie.

Tak czy tak, Europę czeka napływ ludzi z Afryki. Katastrofa klimatyczna jest nieunikniona, a wojna tylko ją przyspieszy. Nie boi się pan o przyszłość wnuków?

– Już powiedziałem, że boję się wszystkiego, ponieważ człowiek rozsądny boi się wszystkiego. A czy będzie katastrofa klimatyczna, czy nie, ludzkość i tak powróci do węgla.

Wielu moich znajomych zastanawiało się po napaści Rosji na Ukrainę, czy nie czas uciekać z Polski. W kolejkach po paszporty nadal stoją tłumy.

– Chodzi o to, że przy obecnej technologii wojskowej nie ma dokąd uciekać, bo rakiety sięgają wszędzie. Po drugie, w moim wieku nie wybieram się na żadną wędrowkę ludów. Z okna widzę zamgloną Mierzeję Wiślaną i nie tak daleki okręg kaliningradzki z rakietami Iskander na wyrzutniach. O jeden rzut beretem.

Po stanowisku Niemców widać wyraźnie, że Zachód myśli o kontaktach z Rosją w kategoriach sinusoidy. Raz góra, raz dół. Oczywiście, że trzeba Rosję postraszyć i tak dalej, ale przecież i tak wrócimy za jakiś czas do współpracy, bo przecież trzeba będzie ja-

Żyjemy w terrorze patriotycznego wsparcia dla Ukrainy. Wystarczy, że ktoś piśnie coś niewłaściwego, a od razu jest podejrzwany o wiadomą agenturę

nych gruzami dzieciach. Bo ile można o tym słuchać? Już dostrzegamy lekkie zniecierpliwienie tematem. W mediach zachodnich wiadomości z Ukrainy schodzą z pierwszej strony na kolejne. A kiedy farmer od kukurydzy powie, że może nie jest zbyt rozsądne topic tyle naszych pieniędzy w jakiejś dalekiej wojnie, to zmieni się amerykańska polityka. Tam mamy do czynienia z autentyczną demokracją, to znaczy, że miliony wyborców naprawdę decydują o tym, czy rząd będzie wspierał dolarami Ukrainę, czy nie. Jeśli farmer z Oklahomy zada sobie brutalne pytanie, czy Ukraina sobie poradzi, nawet jeśli będziemy dawać jej grube pieniądze, to wtedy zacznie się problem.

Ta sytuacja pokazuje przyrodzoną słabość demokracji. Putin nie musi się zupełnie liczyć z farmerem spod Irkucka, który może ma już dosyć wojny w Ukrainie, natomiast Biden musi się liczyć z farmerem z Oklahomy. System demokratyczny uzależnia władzę od opinii publicznej. Bolała mnie ta zależność w PRL-u, bo nawet najbardziej oświeceni politycy zachodni, uzależnieni od falowania opinii publicznej, wystawiali świadectwo słabości demokracji w konfrontacji z totalitaryzmem.

Pomoc Zachodu Ukrainie jest na pół gwizdka, bo niebo nad Ukrainą jest otwarte. Nie wierzę, żeby Zachód je zamknął. Boi się wojny nuklearnej. A Rosjanie nie boją się grozić atomem, i na tym polega różnica.

Może Rosja blefuje.

– Wszystko jedno. Chodzi o to, że społeczeństwa zachodnie biorą to jak najbardziej na serio.

Zachód znajdzie się w kłinczu militarno-moralnym, kiedy się zorientuje, że mimo pomocy Rosja codziennie poszerza swoje terytorium na południu Ukrainy, wprawdzie z szybkością niewielką, bo od 8 do 10 km dziennie, o czym się nie mówi w komunikatach telewizyjnych. Poza tym całkowicie odgrodziła Ukrainę od transportu morskiego, a blokada handlowa Ukrainy jest blokadą światowego handlu pszenicą. Kryzys głodu pociągnie za sobą skutki lawinowe. Wielomilionowe fale ludzi z Afryki Środkowej i Północnej umierających z głodu ruszą na Europę. Ruszą, bo nie będą miały wyjścia. Kiedy to powiedziałem na spotkaniu au-

koś z tą Rosją żyć. Zachód nie wybierze nigdy żadnej opcji ostatecznej. Może raczej naciskać na Zelenskigo, żeby zgodził się na przekazanie Rosji części zajętej Ukrainy za cenę zachowania względnej suwerenności całej reszty.

To sprawdzony wariant. Przecież na tym polega rozejm koreański, który trwa do dziś.

W podobnym tonie wypowiadał się Henry Kissinger, co oburzyło część opinii publicznej, od której zależy władza. Prezydent Zelenski zauważył, że zachodni liderzy są przyzwyczajeni do uwzględniania interesów Moskwy, ale nie potrafią przestawić się na sposób myślenia zakładający liczenie się z interesami Kijowa. Dlaczego?

– Dlatego że z punktu widzenia globalnego Ukraina jest państwem i narodem drugorzędnym, tak jak drugorzędna jest Polska. A Rosja to dla Zachodu pierwsza liga.

Nie wydaje się panu, że powinniśmy pielegnować wiarę w mit? Bo przecież wiara w zwycięstwo Dawida jest po prawdzie wiarą w dobro, które zwycięża nad złem.

– Ależ proszę bardzo. Przypomnę jednak, że na tym świecie liczy się tylko to, ile masz czołgów. Większość z nas nie chce słyszeć takich rzeczy, bo brzmi to przykro, a nawet prostacko. I ja to rozumiem.

Czy doświadczenia ojca wypędzonego z dzisiejszej Litwy naznaczyły pana antyrosyjskością?

– Mnie? Napisałem niedawno artykuł wyrażający oburzenie polskim bżikiem patriotycznym, który popycha Polaków do kaszowania koncertów Czajkowskiego w filharmoniach. Albo w dowód solidarności z walczącą Ukrainą do wykreślenia z menu pierogów ruskich. Spotkałem się z czymś takim w jednej z gdańskich restauracji. Obłęd. Ludzie, którzy popadają w bżik patriotyczny, uspokajają sumienie, wmawiając sobie, że coś uczciwie wyrazili i jeszcze na dodatek realnie wpłynęli na rzeczywistość. Nie wydrukowałem tego tekstu, by mi nie zarzucano, że jestem stronnikiem Rosji.

Nie jestem rusofobem. Miałem zresztą przyjaciół w Moskwie, w dysydenckich kręgach. Szkoda, że już nie żyją. A poza tym bar-

dzo wysoko cenię literaturę rosyjską i ze swojej biblioteki nie mam zamiaru wyrzucać Dostojewskiego. Mimo że wypisywał straszne rzeczy o Polakach i był zwolennikiem imperialnej polityki Rosji. Nie wiem, co się stało z głowami rozmaitych ludzi, którzy popadli w to szaleństwo. Tłumaczę sobie, że to neurotyczny skutek naszego geopolitycznego strachu, z którym nie wiemy, co począć.

Strachu przed Rosją?

– Strach przed byciem słabym i bezradnym należy do strachów najgorszych. My, Polacy, mamy od końca XVII wieku ciężką traumę słabości, co doskonale wykorzystuje prawica. Może wygrać wybory, bo oferuje złudzenie mocy, suwerenności i sprawczości. Dlatego wielu Polaków chce słuchać polityków, którzy popisowo stawiają się Europie i Rosji, wmawiając nam, że Polska jest nareszcie asertywna, suwerenna, a nawet silna. To wszystko bańki mydlane, bo bez euroamerykańskiej pomocy jesteśmy słabi jak dziecko. Żadna silna armia narodowa nas nie ocali, jeśli będziemy sami. Złudzenie sprawczości daje jednak ludziom podłamanym jak my kapitał psychiczny, który – jak wierzymy – pozwala wyjść z traumy, więc prawicowe gładzenie o narodowej mocy jest miodem na polskie serca.

Przy takiej inflacji, kryzysie mieszkaniowym, zapaści oświaty i służby zdrowia?

– Lud, który potrzebuje psychicznej energii do przetrwania, zawsze będzie wybierał złudzenie sprawczości wbrew najoczywistszym faktom.

Wojna bardzo pomaga polskiej prawicy, chociaż pomoc wojskowa, jakiej udzielamy, nie ma żadnego znaczenia strategicznego. O wszystkim decydują dostawy amerykańskie. Ale wysyłając 200 czołgów, stwarzamy wrażenie, że nareszcie liczymy się w świecie. Kto z nas nie chce tak myśleć o sobie?

Polska prawica jest w znacznie lepszym momencie niż strona liberalno-racjonalistyczna, do której się przypisuję. Rzecz jasna, przypisuję się do pewnego tylko stopnia, bo też mam skłonności do myślenia magicznego, do których należy, niestety, persyjna rozkosz pesymizmu.

Wspólna lista partii demokratycznych, jak w '89 roku, nie byłaby na pohybel państwu pesymizmowi?

– Proszę pani, po prostu nie chce mi się o tym gadać. Nie rozumiem zupełnie, dlaczego taka lista jeszcze nie powstała. Czy oni są naprawdę nieprzytomni? ●

*Stefan Chwin

• ur. w 1949 r., pisarz, eseista, historyk literatury, profesor Uniwersytetu Gdańskiego. Członek Rady Języka Polskiego przy PAN, w latach 1997-2003 był jurorem nagrody Nike. Laureat Nagrody Kościelskich (1983, razem ze współautorem Stanisławem Rośkiem) za książkę „Bez autorytetu (szkice)” i Paszportu „Polityki” (1995) za powieść „Hanemann” (1995). W ostatnich latach wydał esej autobiograficzny „Zwodnicze piękno”, „Srebrzysko. Powieść dla dorosłych”, esej „Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku”.

Właśnie (nakładem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku oraz Wydawnictwa Uniwersytetu Gdańskiego) ukazała się nowa – „**Wolność pisana po Jalcie**”



Finaliści Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz”

BEZ GŁASKANIA

Zaglądają do cudzego życia najbezwzględniej i najserdeczniej. Kto z nich wygra?

Trzy autorki i dwóch autorów, finaliści Juliusza, odkrywają przed czytelnikami życiorysy osób, których myślenie, działanie i twórczość na wiele sposobów wpłynęło – i wciąż oddziałuje – na świat. Co ujęło jurorów w nominowanych w tym roku biografiach?

Anna Arno



FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

„TAM, ZA KASZTANAMI, JEST ŚWIAT. PAUL CELAN. BIOGRAFIA”

MARTA GRZYWACZ: To biografia, która pokazuje wpływ Zagłady na życie i twórczość ocalonych. Zachwycający jest opis dzieciństwa Celana, niemieckojęzycznego Żyda, w rumuńskich wówczas Czerniowcach. Poruszający, gdy w jego świat wkracza brutalność wojny. Obrazy i przeżycia tamtych dni nigdy już go nie opuszczą. Stworzą jego postać jako poety i człowieka. Anna Arno, która dotarła do rzadko cytowanych dokumentów i uważnie prześledziła korespondencję Celana, zbierając materiały do jego pierwszej polskiej (a może światowej) biografii, przejmująco i z wielką wrażliwością opisuje jego związki z kobietami, tragiczne w skutkach spotkanie z Claire Goll i powolne zapadanie się w chorobę psychiczną. Paul Celan – poeta raczej mało znany w Polsce, brak nawet przekładów niektórych jego wierszy, więc Anna Arno dokonała ich sama (co za biografka!) – nie poradził sobie z życiem. Skruszyły go bezsilność i poczucie winy, które wzmocniła jeszcze obsesja po nieuzasadnionych zarzutach o plagiat. Anna Arno znakomicie poradziła sobie z opisem jego drogi, łącząc los poety z historią XX w.

Artur Domosławski



FOT. JAKUB OCIEPA
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

„WYGNANIEC. 21 SCEN Z ŻYCIA ZYGMUNTA BAUMANA”

ZBIGNIEW KADŁUBEK: Artur Domosławski zrobił na mnie ogromne, żeby nie powiedzieć: straszne wrażenie. Ma pełną świadomość, że biografistyka to gatunek literacki odpowiedzialny za „kategorie poznania”. Konsekwentny, a także nigdy nie asekuran-

ki Domosławski (re)konstruuje życie Baumana. Z kawałków, epizodów, dat, „szplitrów” anegdotycznych, wydarzeń wzmiankowanych w listach buduje zdania, coraz większe akapity. Robi także, moim zdaniem, o wiele więcej: próbuje stworzyć, pisząc biografią Baumana, w ogóle teorię biografii.

Autor komentuje autobiograficzne wynurzenia bądź notatki Baumana w ten sposób: „tekst autobiograficzny zawiera przemilczenia, elementy autokreacji, kamuflażu, choćby nawet był pisany nie jako tekst do publikacji”. Tak, kamuflaż, Domosławski o tym informuje. I jest nieustannie konsekwentny: arbitralnie wybiera (informując, że to wybór). Prowadzi z czytelnikiem dialog. Wciąga go w pisanie biografii.

Domosławski waży słowa, bo sądy też tak robią, ale nie „podregulowuje” wagi, na której ważone są czyny: raz fałsz, raz prawda. Zdaje sobie sprawę, jak wielki dramat, nazywany beztróskiem życiem, próbuje włożyć między okładki książki (może zbyt grubej). I jak bardzo osobisty jest to dramat. Stara się zrozumieć jego decyzje, choć wie, że do człowieka niewiele decyzji należy (tylko głupcy są przeświadczeni, że wybierają i podejmują decyzje). Nie prowadzi dochodzenia, które miałyby wybielić lub oczernić Baumana.

Życie Baumana jest dziwne i baśniowe. Dlatego Domosławski przedstawia całą paletę wyborów czytelnikowi. Muszą czytelnicy pogodzić się z Baumanem, cokolwiek zrobiliby, jeśli chcą czytać dalej. A w tle jest historia z antysemityzmem, nazizmem, wojną, strzelaniem, wypędzenie, bieganie Baumana z karabinem po Kołobrzegu (Kolberg wówczas), choroba Baumana ze strachu, ucieczka, naukowe badania, dyskusje, sukcesy światowe, tupanie młodzieży „patriotycznej”. 21 scen? Tak, jesteśmy w teatrze Baumana za sprawą Domosławskiego. W samym środku zwątpienia, czym byłoby ludzkie życie. Czym odpowiedzialność. Czym praca. Czym bycie obywatelem polskim (różnych Polsk). Tak bardzo różnych Polsk, że wierzyć się nie chce, że ta książka powstała dlatego, że kiedyś Zygmunt Bauman żył.

Magdalena Grochowska



FOT. ADAM STEPIEN
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

„RÓŻEWICZ. REKONSTRUKCJA I”

AGNIESZKA DAUKSZA: Magdalena Grochowska to sprawdzona marka, jakość najwyższej próby. Niezależnie od tego, co bierze na warsztat, odkrywa przez lata prześlepiane potencjały kultury, historii i cudzych losów, spotykając je z tym, co najbardziej współczesne. Ze spotkania z Różewiczem wylania się opowieść o wielkiej samotności. Różewicz Grochowskiej to człowiek zaplątany w wielką historię, boleśnie dotknięty przez jej lokalne przejawy, uwikłany w zmyły własnej pamięci, mozolnie próbujący przekraczać ciasne ramy kultury patriarchalnej, ścierający się w ledwie chcianych relacjach, nieśmiało wyczekujący tych, które choć na chwilę stabilizowały emocje. Opowieść Grochowskiej to nie tylko historia samotności jednostki, ale też re-

konstrukcja losów pokolenia, ludzi wytrąconych i sponiewieranych, którzy dokonują nie lada wysiłku, by trwać w aktywności, tworzyć, ale i rozszerzać kręgi zażyłości. Bo biografia Różewicza to przede wszystkim historia przyjaźni, zwłaszcza męskich przyjaźni, które są schronem, mentalną architekturą przetrwania. Magdalena Grochowska jest ostoją spokoju, jej pisanie jest szlachetne, nieefekciarskie, przyciąga doświadczoną mądrością, która pozwala inaczej rozumieć i samego Różewicza jako pogmatwane zjawisko mentalno-cieleśne, i jego równie splątaną twórczość. Wreszcie trzeba stwierdzić jasno: Grochowska to biografka modelowa, Różewicz nie mógł lepiej trafić. Cierpliwie czekamy na ciągi dalsze.

Danuta Gwizdalanka



FOT. POLSKIE WYDAWNICTWO MUZYCZNE, BARTEK BARCZYK

„UWODZICIEL. RZECZ O KAROLU SZYMANOWSKIM”

AGATA PASSENT: Nominuję tę książkę za to, że jest to biografia muzyczna. Pokazuje, że życie bohatera to było właśnie opowiadanie siebie, swoich emocji, podróży, nalogów, przyjaźni intelektualnych w nutach. To książka napisana z wielką wiedzą muzykologiczną potrzebną do opowiedzenia o tym, czego dokonał w historii muzyki symfonicznej i operowej Szymanowski, ale bez szpanowania erudycją, wręcz przeciwnie – laikom pomaga, równolegle cytując arcyciekawą korespondencję Szymanowskiego. Za psychologiczną głębię i dystans do bohatera – Szymanowski nie jest tu głaskany, wręcz przeciwnie – poznajemy rozkapryzonego, skończonego narcyza, który wymaga uwagi od innych, a sam... no cóż... Za to, że tożsamość seksualna bohatera jest tu analizowana bez pruderii, ale też bez przesłaniania wielu innych ważnych spraw – szczególnie przyjaźni, np. z Fitelbergiem i Iwaszkiewiczem. Książka odmieniła mój odbiór dzieła Karola Szymanowskiego, a czyż nie po to są biografie? By dodawać nam punktów percepcji na dzieło?

Grzegorz Piątek



FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

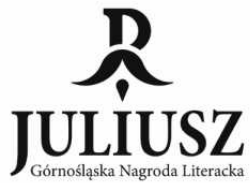
„NIEZNISZCZALNY. BOHDAN PNIEWSKI. ARCHITEKT SALONU I WŁADZY”

TADEUSZ SŁAWEK: Bohdana Pniewskiego, pierwszego architekta Rzeczypospolitej, autora wielu sztandarowych budyn-

ków Warszawy, charakteryzuje zwięźle następujący passus: „Pniewski pracował dla władzy, ale wychodził cało z kolejnych politycznych zawirowań. Choć na jego oczach dokonało się kilka rewolucji w sztuce, potrafił obronić swoją wizję i sprawić, że stawała się wizją jego klientów, a więc obrazem polskiego państwa. Jak mu się to udało? Ta niezatapialność jest największą tajemnicą jego życiorysu. Ale nie jedyną”. Tak przedstawia autor swoje zamierzenie: prześledzić zachowanie człowieka, który usiłuje zachować integralność swej osoby i życia, stara się zostać wiernym sobie i swemu stylowi (estetycznemu i egzystencjalnemu) wśród przetwarzających się kataklizmów miazżdzących indywidualność i zaprowadzających rządy jedynej prawdy. Wiadać, że Piątek lubi i ceni swego bohatera, a gdyby spytać o powody tej sympatii (pomijając miłość do Warszawy, do której autor przyznaje się w „Podziękowaniach”), powiedziałbym, że chodzi o uznanie (może nawet podziw) dla człowieka, który doskonale zdając sobie sprawę, w jakiej rzeczywistości przyszło mu działać, wie, że jeśli praca ma tej rzeczywistości służyć prawdziwie i uczciwie, musi znaleźć sposób zdystansowania się do parametrów tejże rzeczywistości. Żyć i działać w świecie (a w przypadku architektury należy rozumieć ów „świat” w jego najbardziej namacalnym, fizycznym sensie), ale nie oddając się temu światu bez reszty. Umieć wykorzystać sposobności, które świat ów daje, ale jednocześnie zdobyć się na wykorzystanie tychże sposobności przeciwko temu światu, gdy jego żądania wobec jednostki okażą się brutalne lub absurdalne. W książce Piątka znajdziemy liczne tego przykłady. Gdy w latach 40. i 50. „dokoła szalały burze, dom Pniewskiego stał niewzruszony w swej przedwojennej formie, jak pogańska świątynia, którą konkwistadorzy pozostawili na pamiątkę albo ku przestrodze”. O tę „przedwojenność” chodzi w śledztwie Piątka.

Znajduję też w książce Piątka ujmujący ton, który znalazł, by opisać losy zmierzającej sławy, kończącego się powodzenia, słabnącego zdrowia. Przychodzi czas, kiedy „Pniewski wyraźnie tracił swój dotyk Midaasa”, pracownia wyprowadzi się z willi przy ulicy Frascati. Z podobnym wyczuciem pisze Piątek o losach córki Pniewskich, Barbary, zdolnej artystki, która zostaje przez Niego mianowana „Niebyłą”.

To doskonale napisana książka, warta polecenia, wolna od z góry przygotowanych lekcji poprawności politycznej, rozumiejąca i empatyczna. ●



Kapituła Juliusza

• Tadeusz Sławek, poeta, literaturoznawca, były rektor Uniwersytetu Śląskiego, Zbigniew Kadłubek, prof. UŚ, komparatysta, filolog, tłumacz, eseista, Agata Passent, krytyczka literacka i felietonistka, Agnieszka Dauksza, pisarka i literaturoznawczyni, laureatka Juliusza w 2020 r., i Marta Grzywacz, pisarka i dziennikarka, laureatka Juliusza w 2021 r. Sekretarzynią kapituły jest Aleksandra Klich, dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów”. Tytuł najlepszej biografii poznamy jesienią, podczas Rybnickich Dni Literatury. Jej autor lub autorka otrzyma statuetkę i 50 tys. zł

PARTNER NAGRODY



Rybnik

CZUŁE SŁÓWKA

Gladiator

Już na samym początku Lisicki nokautuje Hararię, zadając mordercze pytanie: Jak to się właściwie stało, że człowiek o dość przeciętnej umysłowości, banalista, ignorant i hucpiarz zrobił tak nieprawdopodobną karierę?

Michał Rusinek*

Nie nie dostarcza nam takich emocji jak spektakularny pojedynek gigantów. Czy są to rzymscy gladiatorzy, czy współcześni bokserzy, komiksowi superbaterowie czy też filozofowie jak Gadamer i Habermas – zawsze oglądamy ich walki z atawistyczną przyjemnością, podziwiamy maestrię morderczych ciosów i wstrzymujemy oddech, gdy upadają na arenę. Podobnych emocji oczekiwałem, zasiadając do lektury tekstu Pawła Lisickiego o Yuvalu Noahu Hararim opublikowanego w tygodniku „Do Rzeczy”. I nie zawiodłem się.

Od razu było wiadomo, że nie będzie to równa walka. Z jednej strony mężczyzna postawny, z drugiej, nie bójmy się tego słowa: chuchro, które w dodatku nie ma się jak bronić przed ciosami Lisickiego, dopuszczane do głosu wyłącznie w postaci wyrwanych z kontekstu cytatów ze swoich książek i wywiadów. Wzrost (czytelniczy) mogą więc co najwyżej podziwiać łomot spuszczany leżącemu (a w każdym razie: milczącemu).

Już na samym początku Lisicki nokautuje Hararię, zadając mordercze pytanie: „Jak to się właściwie stało, że człowiek o dość przeciętnej umysłowości,

banalista, ignorant i hucpiarz zrobił tak nieprawdopodobną karierę, zyskując sobie miano światowego guru, wybitnego filozofa, proroka i krynicy mądrości?”. Odpowiada na nie wprawdzie skromnie: „Nie umiem powiedzieć”, ale jest to skromność udawana, bo następnie na kilku stronach jednak stara się odpowiedzieć. Tak jak umie.

Lisicki jest zdania, że sukces Hararię nie jest efektem jego wiedzy czy umiejętności pisarskich, ale działań marketingowych i politycznego sprytu: „Być może decydujące znaczenie miał tu związek z Davos i fakt, że Harari jest oficjalnym doradcą Kłausa Schwaba?” – sugeruje Lisicki. Z trudem przychodzi mu nazwanie przeciwnika uczonym. Chętniej nazywa go „izraelskim guru”, „gwiazdą Zachodu”, „myślicielem” (ze znakiem zapytania), posługującym się „ateistycznym pustosłowiem”, autorem „nie-możebnie przegadanych i płaskich książek”, choć gdy je czytamy, to „włosy człowiekowi stają dęba”; raz pisze o nim „profesor z Oxfordu”, choć tam obronił on tylko doktorat, a pracuje na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Ale nie bądźmy drobiazgowi.

Lisicki stosuje erystyczny zabieg polegający na traktowaniu przepowiedni i futurystycznych wizji Hararię jako stanów przez niego pożądaných. Kiedy więc Harari pisze, że w nadchodzącym dziesięcioleciu wielu ludzi w poczuciu bezużyteczności będzie uciekało w narkotyki lub świat wirtualny, Lisicki nas przekonuje, że to Harari właśnie tego chce, co zbliża go (Hararię-

go, nie Lisickiego, broń Boże!) do ideologów komunistycznych: „Warto przypomnieć, że kategoria zbędnych, bezużytecznych ludzi jako żywo nie jest oryginalna, została bowiem zaczerpnięta ze skarbca idei komunistycznych. Tam zbędnych po prostu likwidowano, ewentualnie przeznaczano ich do niewolniczej pracy. Izraelski myśliciel (?) proponuje, jak rozumiem, obdarzenie ich, a może nafaszerowanie narkotykami i oglupienie grami komputerowymi”. Z cytowanego przez Lisickiego wywiadu nie wynika jednak, że Harari to proponuje, ale że jedynie to przewiduje.

Podobnie traktuje Lisicki transhumanistyczne wizje Hararię. Nie ukrywa swojego nimi przeobrażenia, nazywając je „okrutnymi”. Cytuje następujący fragment: „To, o czym teraz rozmawiamy, jest jak druga rewolucja przemysłowa. Tylko że tym razem produktem nie będą teksty, maszyny, pojazdy, a nawet broń. Tym razem produktem będą sami ludzie. W zasadzie uczymy się produkować ciała i umysły. Ciała i umysły będą dwoma głównymi produktami następnej fali, wszystkich tych zmian”. Nie tylko znów traktuje Lisicki ową przepowiednię jako postulat, ale i zadaje pytanie, kim są owi „my”, którzy się uczą produkować ciała i umysły. Po czym sam na nie triumfalnie odpowiada: nie chodzi o „my – ludzkość”, jak wynika z kontekstu, ale o „my” – „oświeconą grupę ekspertów, specjalistów, tych, którzy tworzą w próbkach przyszłą ludzkość i usuwają stare złoże, niepotrzebnych, zbędnych itd. »My«, czyli ci, którzy będą decydować, kontrolować, dyscyplinować i kształtować nowego człowieka”.

wać i kształtować nowego człowieka”.

Lisicki dyskredytuje sposób, w jaki Harari rozumie religię oraz Boga. „Jesteśmy być może ostatnimi pokoleniami *Homo sapiens* – pisze Harari – gdyż w nieodległej przyszłości nauczmy się konstruować i zarządzać ciałami, mózgami i umysłami. Nauka zastępuje ewolucję dokonującą się przez dobór naturalny ewolucją dokonywaną przez inteligencję. I nie chodzi o inteligentny projekt wymyślony przez jakiegoś Boga ponad chmurami, ale przez naszą inteligencję”. Nie on pierwszy tak pisze, mówi Lisicki, stawiając Hararię obok Feuerbacha, Marksa, Nietzschego czy Freuda, a cały koncept deprecjonuje jako „odgrzewany kotlet, w dodatku zjełczały”. Ta odrażająca metafora to jednak nic w porównaniu z ironicznym obrzydzeniem, z jakim Lisicki opisuje zachodzące we współczesnym świecie zjawiska zwiastujące nadejście zmian: „Na razie cieszymy się rozwojem ruchu LGBTQI, bo tak tworzy się nowy, płynny, nieokreślony, wielopłciowy, wielopożądający homo sapiens. Ideologia gender, w ujęciu Hararię, to swoiste laboratorium przyszłego transczłowieka: nim pojawi się on w rzeczywistości, już teraz możemy doświadczać jego zapowiedzi. Ludzie queer zwiastują nadejście transczłowieka, który, gdy przyjdzie, doprowadzi świat do metamorfozy”. Ostatni fragment tekstu Lisicki poświęca błędnemu rozumieniu chrześcijaństwa i podążaniu przez Hararię ścieżką wytyczoną przez Spinozę. I choć sądy Hararię uważa za banalne („coś takiego mógł napisać co najwyżej niezbyt pilny czytelnik Wikipedii”), to jednak ów fragment swojego tekstu zatytułował „Wielki heretyk”, żebyśmy nie pomyśleli, że walczymy z kimś niegodnym siebie.

Co skłoniło Pawła Lisickiego do podjęcia tej walki? Nie, przecież nie nowa książka Hararię ani

nawet nie udzielony przez niego wywiad, ale zdjęcie. Zdjęcie Hararię z premierem Mateuszem Morawieckim opublikowane na oficjalnej stronie Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Wywołało ono w Lisickim szok poznawczy: „Doprawdy, każdy, kto brał na poważnie wcześniejsze deklaracje światopoglądowe premiera i zobaczył fotkę ze spotkania z Hararim, musiał być, mniemam, co najmniej zaskoczony”. W 2017 roku premier deklarował, że chce rechrystianizować laicyzującą się Europę, a tu nagle fotografuje się z „radykałnym darwinistą” i „piewą nieludzkich projektów skonstruowania transczłowieka”. Ale to jeszcze nic, bo przecież Harari jest Żydem („izraelskim guru”), homoseksualistą („na każdym kroku podkreśla, że ma »męża« – ten stały element mizdrzenia się można obejrzeć na wielu stronach YouTube” – a więc najgorszym typem geja, który obnosi się ze swoim homoseksualizmem), weganinem (o zgrozo!), buddystą, „osobistym wrogiem Pana Boga” i „właściwie nie wiadomo kim”. Jak to możliwe, że ktoś taki „radośnie dialoguje z szefem polskiego, prawicowego (?) rządu”? – grzmi Lisicki.

Jak to możliwe, że przy okazji tej walki gigantów cios dostaje także premier? Może jest to w ogóle najważniejszy cios tej walki? Mam tu przecież do czynienia z sytuacją znaną z historii gladiatorów, kiedy wojownik, pokonawszy przeciwnika, zwraca się przeciwko władcy, mówiąc: „Spójrz, cesarzu, co zrobiłem z Żydo-gejo-wegano-buddystą, z którym »radośnie dialogowałeś«. Pał go licho! To był spektakl specjalnie dla ciebie: żebyś sobie przypomnieli, kim naprawdę jesteś”.

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wistawy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

OPOWIEŚĆ O RODZINIE, TRAUMACH Z PRZESZŁOŚCI I WAŻNYCH MOMENTACH, KTÓRE Kształtują CZŁOWIEKA NA CAŁE ŻYCIE.

Francis Gleeson i Brian Stanhope, koledzy z pracy, mieszkają po sąsiedzku na obrzeżach Nowego Jorku. To, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami ich domów na zawsze zmieni życie obu rodzin. **NA PODSTAWIE POWIEŚCI MARY BETH KEANE POWSTAJE SERIAL HBO.**

TLUM. DOBROMILA JANKOWSKA

MARY BETH KEANE

POPROŚ JESZCZE RAZ

powieść

Przełożyła Dobromila Jankowska

Już po pierwszych rozdziałach wiedziałam, że Mary Beth Keane stanie się jedną z moich ulubionych autorek. Przeczytałem wszystko, co wyjdzie spod jej pióra.

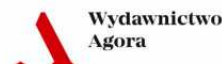
LIANE MORIARTY
autorka bestsellera „Wielkie kłamstewko”

JUŻ W SPRZEDAŻY

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Paweł Stefanowski*

Lemko w sądzie

Panie prokuratorze,
czego ode mnie chcesz?
– Milczeć!
– Mam świadków przecie.
– Byłeś w lesie!
No gadaj! Tak czynie?
– Tak, sądzie wysoki.
Tam jest mój dom
i las
szumiał memu dziadowi
i jęczał pod toporem kamiennym,
i orzeł przodka mego Chorwata
żeglował nad Ojca zahorodom,
i ja stamtąd rodom.
I wuj mój z Rusi
bez paszportu
chadzał swobodnie nad Popradem,
i Bóg mój
w jodłach
i wśród liści mieszkał
i błogosławił
ścieżki Metodego,
i w Karpatach
na białym piaskowcu z Bartnego
wyrył trzyramienną cyrylicą
hymn przodków moich
ręce obmywał w potoku
i nogi krwawiące, kamienne
o zmroku
i uczył nas gazdować
i ziemię miłować i niebo,
i chlebem się dzielić
i dom budować
uczył z lasu,
i osiadł z nami
w cerkiewce z modrzewia
w zaroślach.
Płotu
nie postawił,
a szkoda.
Nie umiał może?
Nie znam tego sekretu...
Wygnano Boga
ostrzem bagnetu

Z języka łemkowskiego przełożył autor



FOT. DOMENA PUBLICZNA

***Paweł Stefanowski** – 1932–2021, wybitny działacz łemkowski, pisarz, poeta, etnograf, pedagog.

Wiersz za: **„Ritorni. Powroty. Wiertania. Antologia di poesia lemka. Antologia poezji łemkowskiej. Antołogija łemkiwskoj poezii”**. Wybór, oprac. i postowie Silvia Bruni, Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2022.



Łacińska

Schowaj tę flagę, po co ją przyniosłaś? – słyszałam to wiosną przy ambasadzie Rosji w Tbilisi. Wtedy protestowałam z tęczową flagą w ręku na antywojennej demonstracji i moi rosyjscy koledzy powiedzieli, że to rozmywanie przekazu. Nie zgodziłam się z tym wtedy i nie zgadzam teraz, będąc w Warszawie. Z tą różnicą, że organizatorzy i organizator-ki Parady Równości i Kyiv Pride wymagali usunięcia innych flag – biało-niebiesko-białych.

Wiosną w Gruzji chciałam pokazać, że wśród Rosjan jest wiele osób LGBTQ+, teraz w Polsce – że istnieją queerowi Rosjanie, którzy są przeciwko wojnie.

Kobieta, lesbijka, Rosjanka i dziennikarka to moje tożsamości. Odpowiedzialna jestem za ostatnią. W pozostałych wypadkach nie miałam wyboru. Ani kogo kochać, ani gdzie się urodzić. Jeżeli można byłoby wybrać, pewnie zdecydowałabym się na Hiszpanię czy Stany Zjednoczone. Ale mam to, co mam.

Nie jest tajemnicą, że osoby LGBTQ+ w Rosji są w okropnej sytuacji. Nie mogą pozwolić sobie na otwarte istnienie, ryzykują zdrowie, pracę i relacje z bliskimi, jeżeli nie chowają się w szafie. Przez całe życie słyszę: „Dlaczego się wychylaś? Po co prowokujesz? Schowaj się i milcz, kobieto”. Myślę, że polskie osoby LGBTQ mogą to zrozumieć.

Lecz słyszę to i wtedy, kiedy jako Rosjanka piszę o wojnie w Ukrainie. Tego Polacy już nie rozumieją.

Biało-niebiesko-biała flaga nie jest idealnym symbolem protestu antywojennego, ale zawsze to jakiś sposób, żeby pokazać, że nie wspieramy polityki Kremla. Choć jesteśmy Rosjanami, to nie wybieraliśmy wojny ani Putina i nie chcieliśmy tego, co już od czterech miesięcy dzieje z miastami Ukrainy. Ta flaga reprezentuje Rosję bez żadnych ambicji imperialnych. Oczywiście rozumiem, że krwi Ukraińców nie będzie równie łatwo zetrzeć jak czerwonego paska z państwowej rosyjskiej flagi. Ale musimy mieć symbol lepszego świata, do którego dążymy.

Nie jestem fanką tej flagi, ale szanuję autor_, który_ jest osobą niebinarną. Czyli można powiedzieć, że ten symbol jest w dodatku queerowy, a jego zakaz na Paradzie Równości (sic!) oznacza akt homofobii.

Nawet sposób, w jaki rozmawiają znani Polacy na Facebooku, przypomina homofobiczne monologi i uprzedzenia. „Jak rosyjskość Rosjan nie jest podkreślona, to jest dramat. Bo wszystko na świecie ma być podporządkowane temu, że Rosjanie chcą podkreślać swoją rosyjskość, a wszyscy wokół są zobowiązani do tego, żeby to tolerować” – komentuje obrończy wpis Renaty Lis Jacek Dehnel. Można zamienić „Rosjanie” na „osoby LGBTQ”, „rosyjskość” na „queerowość” – i już ta myśl będzie wyglądała nieco mniej zgrabnie.

Oczywiście Rosjanie nie są mniejszością ani ofiarą i mają imperialistyczną przeszłość oraz terrażniejszość, ale ludzie pod biało-niebiesko-białą flagą nie chcą takiej przyszłości i nie chcą, żeby Rosja była zagrożeniem dla sąsiadów i własnych obywateli.

Jestem intersekcyjną feministką i bardzo dobrze wiem, co to znaczy kolonializm i homofobia. Staralam się walczyć z tym w Rosji swoją pracą. Byłam redaktorką queer-portalu „Otkrytije”, czyli „Otwarcia”, na którego łamach zawsze pisaliśmy nie tylko o rosyjskiej społeczności LGBTQ (ciekawe, że założyciel „Otwartych” jest Ukraińcem). Naiwnie myśleliśmy, że „queerowość” musi łączyć osoby z różnych krajów, bo nasze radości, lęki i cierpienia są podobne. Queer tak, „ruski mir” nie. Cieszyliśmy się z sukcesów Kyiv Pride, martwiliśmy się o prawa kobiet i osób LGBTQ w Polsce. Kiedy w 2017 roku uczestniczyłam w marszu Za Wolną Rosję razem z niezależną rosyjską dziennikarką Jeleną Kostiuczenko, wielu Polaków podchodziło do nas, robiło sobie z nami zdjęcia i mówiło: „Ale jesteście odważne”.

Tak się składa, że wtedy szłyśmy pod „oficjalną” flagą Rosji. W 2020 roku protestowałam pod

ambasadą polską w Moskwie, by poprzeć polską inicjatywę „Stop bzdurom”. Byłam jedyną osobą z Rosji, która to zrobiła. A zauważył to polski portal Miłość Nie Wyklucza.

Protestować w samotności jest trudno. Czujesz, że cały świat jest przeciwko tobie. Tak czują się wszyscy Rosjanie, którzy wspierają Ukrainę. Czasami nie wiedzą o sobie nawzajem, bo nie mogą używać flagi i transparentów podczas akcji w swoim kraju. Teraz ekspatom, emigrantom i uchodźcom odbiera się prawo do ich symboli w ważnym kraju Europy.

Mieć swoje flagi i atrybuty to sposób, by się wyróżnić i odnaleźć swoich. „Dlaczego nie ma Rosjan, którzy pomagają Ukrainie?”, „Czy naprawdę wszyscy Rosjanie popierają wojnę?” – ciągle słyszymy te pytania. Ale okazuje się, że nie można na nie odpowiedzieć. Nie wolno pokazać, że istnieją tacy, którzy są przeciw.

Rozumiem, że Ukraińcy nie chcą widzieć żadnych Rosjan (ani dobrych, ani złych) nigdzie indziej, tylko w trumnie. Nie wiem, po co szukać wrogów tam, gdzie ich nie ma, bo wrogów i tak jest zbyt dużo, ale mają do tego prawo, tak jak mają prawo, by nie zastanawiać się, kto jest kim. Przynajmniej póki giną ludzie w ich kraju.

Ale Rosjanie nie mogą po prostu zniknąć. Państwo może, ale ponad 140 mln osób nie. Ba, sporo Rosjan wyjechało z kraju, mieszka w tych samych miastach, co uchodźcy z Ukrainy. Niemcy, Francja i Polska są liderami wśród krajów europejskich pod względem liczby Rosjan uciekających się o azyl. Warszawska Parada Równości też pisze na swoim Instagramie, że Warszawa jest domem dla różnych ludzi z różnych krajów.

Oczywiście rozumiem, że jest różnica: Ukraińcy nie mieli wyboru, wyjechać czy zostać, pozabawili ich tego prawa rosyjscy żołnierze. Rosyjscy emigranci mieli wybór, dokąd i jak się przeprowadzić. Ale chcą, żeby świat wiedział, że nie popierają wojny. Dodam, że wszyscy znani rosyjscy aktywiści LGBTQ wyjechali z kraju i cały czas pomagają Ukraińcom jako wolontariusze.

Mieszkam w Tbilisi i nie miałam problemów z biało-niebiesko-białą flagą pod ambasadą Ukrainy w Gruzji. Protestowaliśmy tam razem z Ukraińcami, Gruzinami i Białorusinami, krzyczeliśmy „Nie dla wojny”. Nie miałam problemów z nalepką i napisem na kamizelce „Russian for Ukraine” na dworcu w Przemyślu, gdzie byłam wolontariuszką. Żadnych obaw nie mieli koledzy z Za Wolną Rosję tu, w Polsce, którzy od ośmiu lat występują przeciwko aneksji Krymu, a teraz nazywają wojnę wojną.

Ukraińcy i Polacy komentują nasze rozżalenie, że „Rosjanie znów czegoś od nas wymagają”. Jestem pewna, że nikt by zwrócił wielkiej uwagi na te flagi podczas Parady. Wśród prawie 50 tys. ludzi są bardziej ciekawe rzeczy. Nasz „egocentryzm” to potrzeba widzialności niewielkiej i niezbyt uprzywilejowanej społeczności ludzi. Razem z flagą chcieliśmy nieść – i podkreślić – świadomość naszej zbiorowej odpowiedzialności za wojnę.

Nie chcemy udawać kogoś innego i milczeć. Można sobie wybrać obywatelstwo, ale nie narodowość.

Przykro, że decyzja Parady i ostra dyskusja dają argumenty rosyjskiej propagandzie. Będą teraz mówić, że w Europie jest taka okropna „rusofobia”, że nawet rosyjskie „pedały” są prześladowane.

Nie wierzę w waszą rusofobię, natomiast wiem, że z niesprawiedliwością zawsze spotykają się najbardziej dyskryminowane grupy ludzi. Nic nowego w tym nie ma. Ja po prostu chcę, żeby Rosja przegrała tę wojnę i zakończyła swoje istnienie w obecnej formie. A naszej społeczności antywojennej i osobom LGBTQ życzyć wolności. ●

Maria Łacińska

W AMERYCE ZACZEŁO SIĘ ŚREDNIOWIECZE



Łowcy nagród będą sprawdzać w Androidzie, czy użytkowniczka telefonu zatrzymała się w pobliżu kliniki aborcyjnej

Katarzyna Wężyk

Jessica z Dakoty Północnej zatrzymała się na pierwszym parkingu w Minnesocie i połączyła się z lekarką z Just the Pill. Telekonsultacja trwała kilka minut, Jessica podała adres i kilka dni później odebrała zestaw do aborcji farmakologicznej: mifepriston i misoprostol. 350 dolarów, ale i tak wyszło tanio – jechała tylko dwie godziny w obie strony i nie musiała załatwiać opieki nad dziećmi ani brać wolnego.

Emily z Teksasu w 18. tygodniu odeszły wody, ale serce płodu biło, więc lekarze rozłożyli ręce: zagrożenia życia nie ma, trzeba czekać, takie prawo. Emily słyszała o Savicie Halappanavar – Irlandce, która w takiej samej sytuacji zmarła na sepsę – i miała zasoby. Wsiadła w samolot do Kolorado i tam przeżyła ciążę. Co będzie, jeśli zacznie ronić w samolocie, wołała nie myśleć. Podobnie jak o powtórce tego koszmaru: w klinice założono jej, w Teksasie nielegalną, spiralę.

David i Melissa z Arkansas musieli zrezygnować z marzeń o dziecku: w ich stanie zapis o „życiu od poczęcia” zlikwidował procedurę in vitro, w której część zarodków jest wyrzucanych lub zamrażanych.

Tiffany z Alabamy czeka na proces za zabójstwo „człowieka w fazie prenatalnej”, czyli poronienie w ósmym tygodniu. Za dowód posłużył jej telefon: wyszukiwania „aborcja na Florydzie”, klinika w połączeniach i geolokalizacja jej auta w pobliżu placówki.

A Shawn i Miguel przeprowadzają się do Kalifornii – boją się, że w Missisipi ich małżeństwo przestanie być legalne.

Żadna z tych sytuacji nie miała miejsca, ale po opublikowaniu wyroku Sądu Najwyższego w sprawie Dobbs v. Jackson Women's Health Organization to realne scenariusze. Zniesienie federalnego prawa do przerywania ciąży wpłynie na dostęp do opieki zdrowotnej, rozumienie prawa do prywatności i skutków jego naruszenia, na narzędzia inwigilacji i sposoby, by jej uniknąć.

W 1973 r. w sprawie Roe vs. Wade Sąd Najwyższy uznał, że konstytucyjne prawo do prywatności obejmuje też prawo kobiety do zdecydowania, czy chce donosić ciążę – przynajmniej przez pierwsze 12 tygodni. W pierwszym trymestrze, zdecydowali sędziowie, decyzja należy do ciężarnej i jej lekarza, w drugim stany mogą wprowadzić ograniczenia, a w trzecim należy całkowicie przerywania ciąży zakazać.

Przez kolejne pół wieku przeciwnicy prawa do aborcji – katolicy i protestanci z Pasa Biblijnego, organizacje anti-choice i republikańscy politycy – na różne sposoby starali się ograniczyć jeśli nie prawo (bo tu blokował ich wyrok Roe vs. Wade), to przynajmniej dostęp do aborcji. Stanowe legislatury uchwały obowiązkowy okres „do namysłu” między badaniem a zabiegiem, wymogi dotyczące budynku kliniki czy zakaz wspierania zabiegów z federalnych funduszy.

I dopiero Trump, były demokratą i nie-szczególnie religijny rozwodnik, spełnił ma-

czenie prawicy i umieścił w Sądzie Najwyższym aż troje antyaborcyjnych sędziów. Dzięki niemu stosunek konserwatystów do liberalistów wynosi sześć do trzech, bezpieczna większość, by obalić Roe vs. Wade.

Potrzebny był tylko precedens. Stała się nim sprawa Dobbs vs. Jackson Women's Health Organization.

W 2018 r. Missisipi zakazało aborcji po 15. tygodniu; nic nowego, republikańskie stany przez ostatnie dwie dekady regularnie podejmowały próby ograniczenia czasu na zabieg. Klinika w Jacksonie tę decyzję zaskarżyła, co też było standardem. Tyle że ta sprawa zakończyła się przed Sądem Najwyższym. Wynik głosowania – pięć do trzech na rzecz zniesienia Roe vs. Wade.

Opinię napisał sędzia Samuel Alito. Wyrok w sprawie Roe vs. Wade uznał za „rażąco błędny od samego początku”. Prawo do aborcji, dowodził, nie wynika ani z konstytucji, która o aborcji nie wspomina, ani z tradycji prawnej – od połowy XIX wieku do 1973 roku przerywanie ciąży było nielegalne. Dlatego należy decyzję o dopuszczalności przerywania ciąży oddelegować na szczebel stanowy. Niech zdecydują demokratycznie wybrani lokalni politycy.

Bezpośrednim skutkiem wyroku – który, według Alito, miał być remedium na polaryzację w kwestii aborcji – jest podział mapy USA wzdłuż partyjnych linii. Stany demokratyczne (niebieskie) utrzymają albo wręcz wzmocnią – 16 już to zrobiło – prawo do przerywania ciąży, szkoła też personel medyczny, finansują nowe kliniki oraz zabiegi dla najuboższych. Stany republikańskie (czerwone) albo mocno to prawo ograniczą – np. do szóstego tygodnia – albo wręcz aborcji zakazą. W sumie takie przepisy pojawią się przynajmniej w 26 stanach, z których połowa wcześniej postarała się o tzw. trigger

laws, czyli prawa wchodzące w życie wraz z obaleniem Roe vs. Wade. Zakazy obejmą większość południa USA i sporą część środkowego zachodu: mieszkanka Missisipi będzie miała średnio do przejechania 1000 mil w obie strony, by przerwać ciążę.

Obywatelki czerwonych stanów będą sobie radzić podobnie jak Polki przez ostatnie trzy dekady: po aborcję będą wyjeżdżać za (stanową) granicę albo sprowadzać pigułki. Organizacje pro-choice, administracja Bidena i władze demokratycznych stanów się na tę ewentualność od pół roku przygotowują.

Już dziś ponad połowa aborcji w USA wykonywana jest tańszą (cena zabiegu zaczyna się od 500 dolarów plus dojazd, wideokonsultacja i tabletki od Hey Jane kosztują połowę tej kwoty) i dyskretniejszą metodą farmakologiczną. W pandemii federalna Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) umożliwiła przepisywanie tabletek podczas konsultacji telefonicznej, a w grudniu przedłużyła ten przepis bezterminowo.

Lecz jeśli czerwony stan zakaże obrotu mifepristonem i misoprostolem, serwisy telemedyczne mogą uznać, że nie opłaca im się ryzykować łamanie prawa. Niebieskie stany – na razie Connecticut, Kalifornia i Waszyngton – już uchwalają prawa mające chronić ich lekarzy przed takimi pozwami.

Lukę w podaży zapełniają też zasoby zagraniczne – założona przez holenderską lekarkę Rebeccę Gomperts Aid Access wysłała tabletki z Indii (jednak czas oczekiwania na przesyłkę jest sporo dłuższy), a w aptekach tuż za meksykańską granicą misoprostol i mifepriston sprzedają się jak świeże bułeczki. Innym sposobem jest przejechanie przez granicę do niebieskiego stanu, odbycie tam telekonsultacji i zamówienie pigułek pod „niebieski” adres.

Domowa aborcja pigułkami jest jednak możliwa tylko do 12. tygodnia pozbawionej

◀ 1996 r., Cape Girardeau, symboliczny cmentarz dzieci – ofiar aborcji – ustawiony na trasie przejazdu odwiedzającego Missouriego prezydenta Billa Clintona

FOT. CLIFF SCHIAPPA/AP PHOTO

komplikacji ciąży, dlatego kliniki w demokratycznych stanach przygotowują się na dramatyczny wzrost liczby pacjentek: Kalifornia o 3 tysiące procent, Illinois aż o 9 tysięcy procent. Planned Parenthood planuje otwarcie nowych placówek niedaleko lotnisk, a organizacje pro-choice zbierają fundusze na pokrycie kosztów dla tych ciężarnych, których nie stać na daleką podróż.

Wszystkie te rozwiązania są na razie w legalnej szarej strefie. Nie ma prawnych precedensów. Ale szybko się pojawiają: przeciwnicy aborcji nie ustają w wysiłkach, by maksymalnie ograniczyć do niej dostęp, a droga sądowa – zwłaszcza że Trump nominował rekordową liczbę konserwatywnych sędziów także w niższych sądach – to skuteczna metoda.

„Obalenie Roe stworzy nowy świat skomplikowanych konfliktów prawnych. Niektóre stany uchwalą przepisy zakazujące swoim obywatelkom aborcji poza stanem, inne – prawa ochraniające swoich lekarzy przed oskarżeniami spoza stanu. Rząd federalny również się włączy: federalne przepisy mogą zapobiegać stanowym zakazom aborcji, a federalne grunty mogą zapewnić bezpieczne miejsce dla usług aborcyjnych. Gdy zniknie konstytucyjna ochrona przerywania ciąży, orzecznictwo aborcyjne stanie się bardziej złożone niż kiedykolwiek wcześniej”, oceniło pismo prawnicze „Columbia Law Review”.

Antyaborcjonści też idą z postępem. Jak to ujął Surveillance Technology Oversight Project (S.T.O.P.), obalenie Roe „nie przeniesie Amerykanek z powrotem do 1973 roku, ale zabierze nas do znacznie ciemniejszej przyszłości, w której przestarzałe przepisy aborcyjne są egzekwowane za pomocą najnowocześniejszej technologii”.

Organizacje anti-choice już zapowiedziały, że ograniczenie dostępu do aborcji farmakologicznej to ich priorytet. Tylko w tym roku prawodawcy w 22 czerwonych stanach zaproponowali ponad sto nowych restrykcji.

W Missouri Republikanie przygotowali przepis pozwalający prywatnym obywatelom pozwać osoby, które pomagają mieszkankom stanu przerwać ciążę poza jego granicami i zrównujący wysyłanie pigułek z obrotem narkotykami. W Tennessee chcą zakazać wysyłania tabletek pod karą 50 tysięcy dolarów. W Teksasie już taki zakaz obowiązuje, tylko kara jest skromniejsza: 10 tysięcy.

Republikanie wprowadzają też innowacyjne metody ścigania, na razie głównie – choć nie tylko, mieszkanka Teksasu Lizelle Herrera została oskarżona o morderstwo (zarzuty później oddalono) za własną aborcję – lekarzy i lekarzek oraz osób pomagających w aborcji. Drogo pokazał Teksas, uchwalając zakaz aborcji po szóstym tygodniu ciąży i zostawiając jego egzekwowanie zatroskanym obywatelom: każdy może pozwać pracowników kliniki, a w razie wygranej dostaje 10 tysięcy dolarów. W Idaho klinikę może pozwać „rodzina” abortowanego płodu, w tym gwałciiciel, który zapłodnił ciążarną.

Przeciwnicy aborcji mają też sojusznika w technologii. Smartfon jest kopalnią informacji o użytkownicze – lista połączeń i kontaktów, wiadomości w komunikatorach, pytania wpisane w wyszukiwarce i odwiedzane strony, geolokalizacja, wydatki z karty kredytowej, kalendarz, aplikacja rejestrująca cykl menstruacyjny – i wszystkie te dane można wykorzystać w sądzie. Nie tylko przeciwko jego właścicielce, ale też osobom, z którymi się kontaktowała.

W 2015 r. Purvi Patel z Indiany jako pierwsza Amerykanka została skazana na

20 lat więzienia za przerwanie własnej ciąży (po apelacji ją uwolniono). Dowodem były SMS-y wymienione z przyjaciółką. W 2014 r. Jennifer Ann Whalen dostała wyrok 18 miesięcy więzienia za zakup tabletek dla własnej córki. Obciążył ją wyciąg z konta.

Demokraci już wezwali Google’a, by w telefonach z Androidem przestał gromadzić i przechowywać dane dotyczące lokalizacji – na przykład czy i na jak długo użytkowniczka zatrzymała się w pobliżu kliniki aborcyjnej. „Jeśli aborcja zostanie uznana za nielegalną, nieuniknione jest to, że pravicowi prokuratorzy zdobędą prawne nakazy ścigania. Jedynym sposobem ochrony danych lokalizacyjnych klientek przed tak skandalicznym rządowym nadzorem jest niezachowywanie ich”, napisali.

Electronic Frontier Foundation, organizacja pozarządowa zajmująca się ochroną wolności obywatelskich w przestrzeni cyfrowej, przygotowała poradnik „dla osób zaangażowanych w dostęp do aborcji”. Jego główne zalecenie można sformułować do „bądź czujna, wszystko, co umieszczisz w internecie, może być wykorzystane przeciwko tobie”.

Z bardziej praktycznych porad: używaj różnych przeglądarek, tych standardowych do codziennych aktywności, tych bardziej prywatnych (DuckDuckGo, Brave) do działań bardziej „wrażliwych”, podobnie rób z adresem mailowym i numerem telefonu. Zainstaluj sobie umożliwiający anonimową komunikację VPN. Jeśli udajesz się w miejsce, z którym nie chcesz, żeby cie kojarzono, wyłącz smartfon albo zostaw go w domu. W ogóle jak najczęściej wyłączaj geolokalizację. Komunikuj się w sieci tylko przez zabezpieczone aplikacje w rodzaju Signala, a i w nich używaj kodu (zamiast „jadę na zabieg”, pisz np. „jadę do Agaty”). Czytaj zapisy o ochronie prywatności w aplikacjach. Używaj anonimowych kart płatniczych. A jeszcze lepiej gotówki.

Surveillance Technology Oversight Project zauważa, że techniki, które będą stosowane zarówno przez policję i prokuraturę, jak i prywatnych łowców nagród – to jest zatroskanych obywateli – nie są nowe. Państwo wypróbowało je na nieudokumentowanych imigrantach, tzw. wojnie z terroryzmem czy narkotykami.

Zniesienie federalnego prawa do aborcji rodzi też realne obawy o życie i zdrowie Amerykanek. Stanowe zakazy za-

wierają zazwyczaj wyjątek zagrożenia życia ciężarnej – w Teksasie w przypadku „nałej sytuacji medycznej”, w Luizjanie, gdy istnieje „poważne ryzyko śmierci lub stałego uszkodzenia podtrzymującego życie organu”, w Dakocie Północnej „by zapobiec śmierci ciężarnej kobiety” – ale co to oznacza w praktyce, nikt nie wie. W tym lekarze, którzy już się skarżą na nieprecyzyjność tych zapisów.

Jak nagle ma być nagle sytuacja? Jak poważne ryzyko śmierci? Czy wystarczy, że chora na raka ma 30 procent szans, że ciąża ją zabije, czy musi być 100 procent? Czy trzeba poczekać, aż pacjentka dostanie sepsy albo wykrwawi się niemal na śmierć, czy można interweniować wcześniej? I czy przed takim zabiegiem trzeba zadzwonić do prawnika?

To uzasadnione pytania, bo interwencja uznana przez prokuraturę za „niepotrzebną” może kosztować utratę prawa do wykonywania zawodu, zarzuty kryminalne, nawet więzienie. „Obawiam się, że wywoła to efekt mrozący. Ludzie będą się bali interweniować do momentu, gdy będzie za późno”, powiedziała „New Yorkerowi” Audrey Lance, ginekolożka z Michigan.

Okolo jednej piątej potwierdzonych ciąży (jeszcze więcej kobiet roni, zanim nawet dowie się, że jest w ciąży) kończy się poronieniem, a procedura przy naturalnym poronieniu jest taka jak przy aborcji: należy wyczyścić macicę. Do tego celu również stosuje się misoprostol, co może być problemem, gdy stan zakazuje jego dystrybucji. Ale w najgorszej sytuacji będą pacjentki, u których mimo poronienia w toku wciąż wyczuwalne będzie bicie serca płodu. Nawet bez zniesienia Roe będąca w takiej sytuacji Tameisha Means z Michigan została dwukrotnie – z ogromnym bólem i infekcją – odesłana z zarządzanego przez Kościół katolicki szpitala do domu. Sytuacja takich osób w stanach z zakazem aborcji będzie rozpaczliwa, bo nie będą już mogły pójść do innej placówki.

Amerykanki obawiają się też sytuacji znanych z Salwadoru: że podejrzane będzie także naturalne poronienie. Już zresztą jest. W 2021 r. Brittney Poolaw dostała cztery lata za zabójstwo pierwszego stopnia. Poolaw poroniła w czwartym miesiącu ciąży, a w szpitalu przyznała się do zażywania narkotyków; ślady metamfetaminy znaleziono w mózgu płodu. Przeprowadzając sekcję nie uznał narkotyków za przyczynę

jego śmierci, ale prokurator i sędzia byli innego zdania.

Takich spraw będzie więcej. Zwłaszcza że naturalne poronienie jest nie do odróżnienia od wywołanego tabletkami, więc właściwie każde może być podejrzane – zwłaszcza jeśli kobieta wyszukiwała wcześniej w Google’u cokolwiek poza „imiona dla chłopca” czy „radość macierzyństwa”.

Powyższe scenariusze to dopiero wstęp do realizacji finalnego celu ruchu anti-choice, czyli zakazu aborcji w całych Stanach. Droga do niego będzie wprowadzenie podmiotowości prawnej płodu (fetal personhood), najpierw na szczeblu stanowym, potem – jeśli zmieni się układ sił w Białym Domu i Kongresie lub odpowiednia sprawa trafi przed Sąd Najwyższy – federalnym.

Przyznanie płodowi – ale też zarodkowi i zapłodnionej komórce jajowej, bo według prawicy człowiek zaczyna się od „momentu poczęcia” – podmiotowości prawnej oznacza zrównanie jego praw z prawami osoby już urodzonej, a w konsekwencji zrównanie aborcji z zabójstwem. I stosowanie podobnych kar wobec osób, które ją przeprowadzają, z ciężarną włącznie.

Ale nie tylko: każde działanie ciężarnej, które potencjalnie mogłoby owej pełnoprawnej istocie ludzkiej zagrozić, od picia alkoholu, przez jazdę na rowerze, po jedzenie serów pleśniowych, również potencjalnie podlegałoby sankcjom karnym. Innymi słowy, ten zapis daje państwu kontrolę nad ciałem ciężarnej. Już były przypadki przeprowadzenia przymusowej transfuzji krwi na świadkini Jehowy czy cesarskich cięć dla dobra płodu mimo protestów kobiet w ciąży.

Podmiotowość prawna embrionu uderzy też w zapłodnienie pozaustrojowe. W procedurze in vitro tworzy się zazwyczaj kilka zapasowych zarodków na wypadek, gdyby ten pierwszy został poroniony. Embriony są zamrażane lub utylizowane, a wszak nie można takich rzeczy robić istotom ludzkim. Klinikom zostanie albo droższe i mniej skuteczne tworzenie pojedynczych zarodków, albo zmiana branży.

Zagrożone są też niektóre metody antykoncepcji, takie jak spirala czy tabletki dzień po, które zdaniem aktywistów anti-choice blokują zagnieżdżenie się zapłodnionej komórki jajowej w macicy, czyli „odbierają życie”.

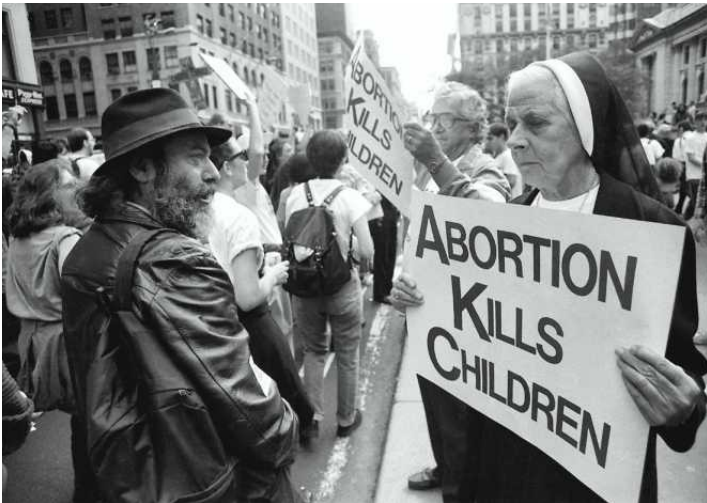
Wyrok w sprawie Dobbs vs. Jackson Women’s Health Organization może mieć też szersze skutki niż tylko te związane z przerywaniem ciąży.

W uzasadnieniu do Roe vs. Wade sędziowie wywiedli prawo do aborcji z konstytucyjnego prawa do prywatności. Sędzia Alito zbył to stwierdzeniem, że „nieprzerwana tradycja zakazu aborcji pod groźbą kary od najwcześniejszych dni prawa zwyczajowego do 1973 roku” dowodzi, że nie ma czegoś takiego w amerykańskim prawodawstwie jak prawo do przerywania ciąży. A to stawia pod znakiem zapytania inne wywiedzione z prawa do prywatności decyzje Sądu Najwyższego, dotyczące kwestii, o których konstytucja też nie wspomina.

W 1965 r. w sprawie Griswold vs. Connecticut sędziowie uznali, że konstytucja ochrania prawo do zakupu i stosowania antykoncepcji. Pół wieku później, w sprawie Obergefell vs. Hodges, zalegalizowali małżeństwa osób tej samej płci. Ani o antykoncepcji, ani o małżeństwach jedнопłciowych napisano pod koniec XVIII wieku (i przez samych mężczyzn) konstytucja nie wspomina, nie są też „głęboko zakorzenione” w historii i tradycji USA, więc dlaczego by nie wykorzystać precedensu z Dobbs do ich zakazania? Zwłaszcza że większość w obecnym Sądzie Najwyższym jest ultrakonserwatywna.

Opublikowany kilka dni temu wyrok odciśnie się na życiu Amerykanek i Amerykanów, zwłaszcza, jak zwykle, tych najuboższych, ale może się okazać, że majątek i koneksje też nie oferują stuprocentowej ochrony. Wywoła także gigantyczny chaos prawny i lawinę pozwów. Zyskają na tym, oprócz przeciwników aborcji, prawnicy: najbliższe lata będą dla nich prawdziwymi żniwami. ●

Sąd Najwyższy odebrał Amerykankom prawo do aborcji. Rykoszetem oberwą geje, lesbijki, użytkowniczki antykoncepcji i pary czekające na in vitro



• Nowy Jork, 1991 r., spotkanie Marszu za Wyborem z przeciwnikami aborcji

FOT. BILL TOMPKINS/GETTY IMAGES

NASZA EUROPA

Bernard-Henri Lévy:

WOJNA UKRAINY TO NASZA

Dotąd interesowały mnie wojny zapomniane. I rzezie, co do których wiedziałem, że niestety niewiele zmieniają w porządku świata. Tu jest na odwrót. Ta wojna ma globalne konsekwencje

Patrick Saint-Paul

LE FIGARO

Pisarz i filozof, który właśnie nakręcił film o wojnie w Ukrainie, wzywa Europę, by bez wahania dostarczała wszelką potrzebną pomoc Kijowowi.

Bernard-Henri Lévy odwiedził Ukrainę kilkakrotnie – w 2014 r. po rewolucji Euromajdanu i po 24 lutego tego roku, kiedy rosyjska agresja pogrążyła kraj w chaosie wojny. Na kanwie spotkań z czołowymi postaciami ukraińskiej polityki – eksprezydentem Petrem Poroszenką, Wołodymyrem Zelenskim na krótko przed sukcesem w wyborach i burmistrzem Kijowa Witalijem Kliczką – ale też ze zwykłymi żołnierzami nakręcił film „Dlaczego Ukraina”, który w tym tygodniu wyemitował kanał Arte.

Dlaczego zrobił pan film o Ukrainie?

– Bo jestem przerażony tą wojną. Czulem złość i wstyd, gdy razem z nielicznymi na Zachodzie przewidywalismy, że Putin pójdzie na całość, ale nikt nas nie słuchał. Żeby wyrazić to wszystko, pokazać śmierć i zniszczenie, uprzytomnić ludziom odwagę walczących, nie było lepszego sposobu, niż pojechać tam i to sfilmować.

Pier Paolo Pasolini pod koniec życia wyznał, że przestał wypowiadać się inaczej niż obrazami, bo nie umiał w inny sposób wyrazić diabelstwa tego świata. Miał rację. **Widział pan wiele konfliktów. Czym ta wojna różni się od innych?**

– Ta wojna sama w sobie nie jest inna. Faktycznie, wszędzie widziałem podobnie straszne rzeczy. Różnica polega na tym, że dotąd interesowały mnie wojny zapomniane. I rzezie, co do których wiedziałem, że niestety niewiele zmieniają w porządku świata. Tu jest na odwrót.

Ta wojna ma globalne konsekwencje. To katastrofa, ale też trwająca walka, której stawką są losy świata. I to jest w najgłębszym sensie tego słowa wojna światowa. Kiedy 20 lat temu szukałem dla „Le Monde” cykl o „wykętym ludzie wojny”, moim punktem odniesienia był Walter Benjamin i jego anioł Historii pochylony, od Angoli po Sri Lankę, nad bezsensownymi katastrofami. W Ukrainie powracam do Hegla. Wiem, że gra toczy się o to, co historyczne i światowe.

Bo ta wojna toczy się w Europie?

– Tak. I dlatego, że po Ukrainie celem szaleńczej krucjaty Putina będzie Europa. Więcej, Ukraina jest jego celem o tyle, o ile jest europejska – już tylko niszczyć ją, sięgnąć po Europę. Mówił to wielokrotnie. Wiedzą to wszyscy ukraińscy żołnierze, których miałem zaszczyt sfilmować – ich wojna to nasza wojna, ich klęska byłaby naszą klęską. Tym razem to naprawdę wojna w rozumieniu Clausewitza – krwawa kontynuacja polityki, której pierwszym i ostatnim słowem jest nie nawiść do tego, co na Zachodzie najlepsze. **Co jeszcze może zrobić Zachód, nie ryzykując wplątania w ten konflikt?**

– Kontynuować presję. Zbroić kobiety i mężczyzn, którzy stawiają opór pod gradem

• Bernard-Henri Lévy na planie swojego nowego dokumentu „Dlaczego Ukraina”



FOT. MARC ROUSSEL

bomb fosforowych. I mieć nadzieję, że mimo rosyjskiej blokady sprzęt dotrze na miejsce przeznaczenia.

Na południu kraju, między Zaporozżem a Mariupolem, udało mi się sfilmować linię frontu Pietropawliwki. Towarzyszyłem batalionowi piechoty, który w ciągu miesiąca stracił połowę składu. Stawiał czoło czołgom, które w okopach zwano z lękiem „terminatorami”. A ten batalion, który nawiasem mówiąc, nazwał się imieniem Charles’a de Gaulle’a, miał tylko pistolety i moździerze ukraińskiej produkcji. To po prostu niemożliwe! Najdzielniejsi żołnierze w świecie – a tylko Bóg jeden wie, jak dzielni są Ukraińcy! – sami nie oprą się stalowej nawale rosyjskiej armii.

Jak daleko winien posunąć się Zachód?

– Niezbędna jest oczywiście duża ostrożność. Ale widzę tylko jeden honorowy, zarazem zgodny z naszymi interesami cel tej wojny – zwycięstwo Ukrainy.

Sojusznicy spierają się o to, na czym ma polegać ukraińskie zwycięstwo.

– Przecież to jasne. Minimum to powrót agresora w granice sprzed 24 lutego. A mówiąc całkiem poważnie, formalna kapitulacja. W kategoriach czystej Realpolitik byłoby to najrozsądniejsze oczekiwanie. Rok temu dopuściliśmy do upadku Kabulu i jeśli teraz, rachując straty i zyski, zapomnimy o krwi przelanej w Buczy, Mariupolu i Siewierodoniecku, pojawi się globalny efekt domina i nic już nie powstrzyma tych, którzy tęsknią za imperium osmańskim, jak Erdogan, ani Chińczyków, którzy chcą Tajwanu.

Czy ta wojna winna położyć definitywny kres ambicjom terytorialnym Putina?

– Dla niego wojna stała się sposobem rządzenia. Jego legitymacją stał się kult siły i mit Rosji, która „od Władimira wielkiego księcia po Władimira Putina” rodziła się we

krwi i łzach. Zaczęło się w Czeczenii, potem była Gruzja, wreszcie dopracował model w Syrii. Niech wojna z Ukrainą będzie o jedną wojnę za dużo.

Nie wierzy pan w zagrożenie nuklearne?

– Nie są skłonni w nie wierzyć Ukraińcy, którzy o to pytałem i którzy są głównymi zainteresowanymi. Założmy, że się mylą. Myślmy jak uczniowie Clausewitza – wymachiwanie szabelką to krok w stronę jej użycia. Co więc mamy robić? Mamy pogodzić się z tym, żyć pod szantażem, mając do czynienia z nieuleczalnym szaleńcem? Czy raczej pomóc Ukraińcom go powstrzymać?

Czy Zachód, Francuzi źle ocenili Putina?

– Nie traktowali dostatecznie poważnie jego żądzy władzy, pragnienia zemsty i ideologicznej spójności. Tak się składa, że znam jednego z jego ideologów. Nazywa się Aleksandr Dugin. Parę lat temu w Amsterdamie odbyliśmy publiczną debatę, jest dostępna na YouTube. On nie jest tylko „słowianofilem” czy „wielkorusem”. To prawdziwy faszysta. Jeśli tego nie rozumiemy, nie docenimy problemu. A my szukamy dróg wyjścia, porozumienia, ugody z człowiekiem, który jest ucieleśnieniem tego, co najgorsze w minionym stuleciu.

Prezydent Francji Emmanuel Macron powiedział, że Rosji „nie wolno upokarzać”. Nie miał racji?

– „Syndrom weimarski”, wizja Rosji traktowanej w latach 90. przez Zachód jak Niemcy w Wersalu, jest elementem putinowskiej retoryki, przynajmniej od jego artykułu w „The National Interest” z 2020 r. Moim zdaniem nie powinniśmy wpadać w tę pułkę. Nikt nie upokarzał ojczyzny Tolstoj’a i Dostojewskiego. Z czasem samego Putina zaczęto traktować niesłuchanie ulgowo, nadskakiwano mu, schlebiano. Amerykanie i Europejczycy wielokrotnie proponowa-

li mu wszelkie możliwe formy partnerstwa, integracji strategicznej i politycznej, nuklearnego resetu etc.

Ale uważam, że Macron, mówiąc to, myślał o Rosji, nie o Putinie. W Kijowie nie pozostał co do tego wątpliwości.

To znaczy?

– Podróż Macrona do Kijowa jest przeciwieństwem Monachium. Nie mówił: „niech ten potwór pożre swoje Sudety, uratujmy pokój”. W Irpinu, w obliczu tragedii, którą miał przed oczami, powiedział ni mniej, ni więcej, tylko: „Donbas nie może stać się nowymi Sudetami, musimy pomóc Ukrainie go utrzymać”.

Czy według pana Zachód przestanie naciskać Zelenskigo w sprawie negocjacji z Rosją, póki Ukraina nie osiągnie korzystnej sytuacji militarnej?

– Nie wiem. Mam nadzieję. Joe Biden zrobił zwrot o 180 stopni. Na początku wojny zaproponował Zelenskiemu ewakuację. Sugerował więc nie tylko negocjacje, także kapitulację. I wtedy pojawiło się coś bardzo prostego, zarazem bardzo znaczącego. Ziarno piasku. Człowiek. Wszyscy brali go za komika, który zagubił się w polityce. I ten człowiek wypowiedział pamiętne zdanie, które zabrzmiało jak z Plutarcha i wstrząsnęło światem: „Prosiłem pana, panie prezydencie, o broń, a nie o taksówkę”.

Chciałbym, żebyśmy trzymali się słów Zelenskigo. Nie chodzi oczywiście o to, byśmy byli bardziej ukraińscy od Ukraińców. Ale polityka, która chciałaby dyktować im, co mają robić, byłaby sprzeczna z wszelką moralnością, wszelką logiką.

Czy wystarczy europejska perspektywa w postaci statusu kandydata do UE?

– To mocny sygnał. Dla Kijowa dowód, że wreszcie dostrzegliśmy ich głód Europy. Dla innych, putinistów, to porażka, bo

NASZA EUROPA

Kancelarz Olaf Scholz:

Niemcy mają zobowiązania wobec świata i je wypełniają

WOJNA

ta perspektywa jest dokładnie tym, czego nie chcieli i przeciwko czemu wytoczyli tę straszną wojnę.

Co do nas, to żaden prezent dla Ukrainy – to nasz dług, który uhonorujemy. W filmie pokazuję zwłoki z Buczy z rękami związanymi na plecach i kulą w potylicy. Kobiety, które sfilmowaliśmy z Markiem Rouselem i resztą ekipy, doprowadzone do szaleństwa tym, co musiały wycierpieć na ich oczach ich córki. Ocalonych z Mariupola, którzy przybyli pociągami towarowymi do prowizorycznych obozów w Zaporozżu. Im wszystkim Europa oferuje zaledwie wstępną rekompensatę.

A co myśleć o metamorfozie Zelenskiego?

– To kolejny temat na film. Dla mnie to nadal zagadka. Grecy mieli dwa typy bohaterów. Tych, którym w jakimś sensie wystarczyło wyjść na spotkanie przeznaczenia, i tych, którym nic nie było pisane, nic nie było przeznaczone, którzy nie zostali w żadnej mierze stworzeni do roli, która im przypadła – a mimo to ją podjęli. Zelenski jest z tych drugich. I właśnie dlatego jest bardzo tajemniczą postacią.

Miesiąc przed nominacją spytał go pan, czy potrafiłby rozśmieszyć Putina. Czy spytałby go pan o to samo teraz?

– Jasne, że nie. Zadałem mu natomiast wcześniej inne pytanie: „Czy jeśli zostanie pan wybrany, będzie pan w stanie przeciwstawić się Putinowi?”. Pewność, z jaką odpowiedział, że tak, oczywiście będzie w stanie, bo Putin to „mały człowieczek”, ma w sobie coś z „siły bezsilnych”, z perspektywy czasu to coś wspaniałego. To jak w „Kaputt”, gdzie Malaparte na widok Himmlera, nagiego i malutkiego w lapońskiej saunie, stwierdza, że prawdziwym sekretem nazistów jest to, że są żałośni i wystraszeni.

Jak ocenia pan jedność Ukraińców w obliczu rosyjskiej inwazji?

– Nie ma cudów. Rzadko pojawia się wielki człowiek, jeśli w tym samym czasie nie pojawi się równie heroiczny naród. Nie byłoby generała de Gaulle’a bez armii cieni i marynarzy z Île de Sein. Nie byłoby Zelenskiego bez narodu marynarzy, handlarzy i chłopów, którzy na rosyjskojęzycznym wschodzie, jak i w reszcie kraju, masowo powstałi, by rzucić wyzwanie najeźdźcy. Putin, jak Stalin, uważa Ukraińców za podludzi. Zachód z kolei długo uważał ich za naród podzielony, bez prawdziwego języka, trapiiony korupcją. Wszyscy są w błędzie. To naród, który powstał i dał światu lekcję odwagi.

Putin twierdzi, że denazyfikuje Ukrainę. Co pan, Żyd, na to?

– To podle. Zwłaszcza że w tym samym czasie pozwolił szefowi swojego MSZ twierdzić, że Hitler miał żydowską krew i że celując w antenie telewizyjną, zaryzykował zbombardowanie uświęconego miejsca, Babiego Jaru, gdzie nazisci zgładzili 33 tys. Żydów.

A co z ukraińskim antysemityzmem?

– No właśnie. Film mierzy się z tym problemem, wierzę, że to pokazuje. Ukraina była oczywiście miejscem Szoah. Dla Żydów była niewątpliwie krainą pogromów i mroku. Ale w odróżnieniu od Rosji zrobiła wiele, pracując nad swoją pamięcią. Jest jednym z europejskich narodów, które zaszły najdalej na bolesnej drodze skruchy, odpowiedzialności i żalu. Jednym z przejawów tego jest rzecz jasna to, że jest to dziś jedyny kraj na świecie poza Izraelem, którego prezydent i premier są Żydami. To dla mnie ważne.

Nie zaangażowałbym się tak bardzo po stronie umęczonej Ukrainy, gdybym nie wierzył w to, co mówię. ● Tłum. Sergiusz Kowalski

Musimy dać Rosji do zrozumienia, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zakończyć wojnę, zrezygnować z jej zamierzonych celów, wycofać wojska z Ukrainy. Nie zaakceptujemy przekraczania kolejnych granic przez Kreml.

Jan Philipp Burgard

WELT

Czy Niemcy są obecnie wiodącą potęgą Europy i całego świata zachodniego?

OLAF SCHOLZ: Jesteśmy jednym z wielu krajów, które chcą coś konkretnego wspólnie osiągnąć. To bardzo ważne, abyśmy działali w ścisłej koordynacji w tych szczególnych czasach, kiedy rosyjska wojna z Ukrainą stawia nas wszystkich w trudnej sytuacji. Szczyt G7, który poprzedzał szczyt NATO w Madrycie, to potwierdzenie naszej jedności.

Niemcy mają zobowiązania wobec świata i je wypełniają.

Prezydent Wołodymyr Zelenski prosi o taką pomoc, dzięki której Ukraina doprowadzi do zakończenia rosyjskiej wojny napastniczej do końca tego roku. Czy pana zdaniem jest to realistyczne?

– Nie jestem ekspertem wojskowym, wiem jednak, że brutalność Rosji jest karygodna, została po raz kolejny zademonstrowana w ostatnich atakach rakietowych, które pochłonęły tak wiele cywilnych ofiar.

Musimy być przygotowani na to, że jeszcze przez bardzo długi czas trzeba będzie wspierać Ukrainę: finansowo, humanitarnie i oczywiście także dostawami broni, które zapewnia wiele krajów, w tym Niemcy.

Jednocześnie sankcje mają dać Rosji do zrozumienia, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zakończyć wojnę, zrezygnować z jej zamierzonych celów, wycofać swoje wojska z Ukrainy.

Jak dotąd Rosja wydaje się stosunkowo obojętna na sankcje. Na początku szczytu G7 Putin ogłosił, że rozmieści rakiety nuklearne na Białorusi. Jak to ocenić?

– Musimy działać zdecydowanie i odważnie. Ale także być mądrzy i ograniczać zagrożenia. Dla wszystkich jest jasne, że nie zaakceptujemy przekraczania kolejnych czerwonych linii przez Kreml.

Co to konkretnie oznacza?

– To znaczy, że mówimy definitywne „nie” dla wszelkich agresywnych działań Moskwy. Zakładam, że odtąd lepiej skoncentrujemy się na tym, co jest w zasięgu ręki. Chodzi głównie o to, jak dalej organizować wsparcie dla Ukrainy. To właśnie zrobiliśmy na szczycie G7 i to zrobimy w Madrycie.

Finlandia i Szwecja chcą zostać członkami NATO, ponieważ czują się zagrożone przez Rosję. Udało się ostatecznie przekonać Turcję?

– Nasze stanowisko jest jasne: Finlandia i Szwecja doskonale pasują do NATO i będą stanowić jego kolosalne wzmocnienie.

Grupa G7 uzgodniła program inwestycyjny o wartości 600 mld euro, który ma stanowić przeciwwagę dla chińskiego

Nowego Jedwabnego Szlaku. Ale Niemcy są stosunkowo mocno uzależnione od Chin w kwestiach przemysłowych i handlowych. Co Niemcy mogą zrobić, aby zmniejszyć tę zależność i być może uniknąć powtórzenia błędów popelnionych w stosunku do Rosji?

– To jasne, że musimy zdywersyfikować nasze łańcuchy dostaw i eksport. Robimy to, podobnie jak już wielu innych na Zachodzie. Jednocześnie, podobnie jak to miało miejsce w przeszłości, będziemy nadal jasno wyrażać nasze specyficzne postawy i poglądy. Ważne, abyśmy rozszerzyli nasze spojrzenie na cały region Azji, ponieważ wiele krajów, nie tylko Chiny, podjęło aktywne działania w skali globalnej. Z dwoma z nich rozmawialiśmy podczas tego szczytu: z Indonezją i Indiami. Fakt, że zaprosiliśmy takie demokracje jak Indonezja, Indie, ale także RPA, Senegal czy Argentyna, jest jasnym sygnałem dla polityki międzynarodowej: demokracje stają ramię w ramię wobec zagrożenia autorytarnego.



FOT. MICHAEL KAPPELER/AP



O tym, jak poradzimy sobie z etapem, w którym nadal będziemy potrzebować gazu, zadecyduje to, czy uda nam się rozwinąć źródła dostaw z całego świata i przygotować terminale na gaz ciekły. Ich budowa już się rozpoczęła i być może zostaną uruchomione na przełomie roku

Jeśli spojrzymy na świat z perspektywy roku 2050, będzie on wyglądał zupełnie inaczej niż dziś. Wiele tych krajów zyskało na znaczeniu i będzie to kontynuować. Ważne, aby świat nie stał się jedynie wielobiegunowy, ale aby był także światem, w którym wiele biegunów władzy współpracuje ze sobą. Umożliwienie tego było celem szczytu – i poczyniliśmy duże postępy w kontaktach z demokratycznymi krajami globalnego Południa.

Kolejnym tematem było bezpieczeństwo energetyczne. Od sierpnia Rosja zapewne całkowicie odetnie dostawy gazu do Niemiec. Jak wygląda plan awaryjny?

– Już od grudnia, kiedy zostałem kanclerzem, mój rząd się tym zajmuje. Dlatego byliśmy przygotowani, gdy pod koniec lutego Rosja rozpoczęła wojnę z Ukrainą. Mogliśmy wtedy powiedzieć głośno, co chcemy zrobić: zbudować rurociągi z portów na północy, zbudować terminale skroplonego gazu ziemnego na wybrzeżu Nie-

miec. Wprowadziliśmy przepisy zapewniające odpowiednie zapelnienie magazynów i osiągnęliśmy już nienotowane poziomy zapasów gazu. Zmodyfikowaliśmy politykę energetyczną tak, aby utrzymywać elektrownie węglowe w ruchu – a równocześnie w ogromnym tempie rozwijamy energię odnawialną.

Francja buduje sześć nowych elektrowni jądrowych, Amerykanie stawiają na wydobycie gazu poprzez szczelinowanie. Czy i kiedy Niemcy zaczną porzucać tabu, którym otoczyli te źródła energii?

– Podjęliśmy decyzję: stawiamy na odnawialne źródła energii. W tej kwestii panuje powszechna zgoda nie tylko w rządzie, ale także w naszym społeczeństwie. Ten, kto teraz planuje nowe elektrownie jądrowe, będzie je miał do dyspozycji dopiero za 15-17 lat. Dzięki naszym działaniom rozwojowym do końca tej dekady będziemy produkować w Niemczech 800 terawatogodzin energii elektrycznej, z czego zdecydowaną większość ze źródeł odnawialnych. W ciągu następnej dekady chcemy podwoić tę liczbę. To ambitna strategia, ale taka, która szybko przynosi widoczne sukcesy, nie trzeba będzie na nie czekać 15 lat.

Mówi pan o przyszłości. Ale w perspektywie krótkoterminowej dobrym pomysłem byłoby wydłużenie czasu pracy trzech niemieckich elektrowni jądrowych. Co przemawia przeciwko temu?

– Ministerstwo gospodarki informuje jasno o kilku faktach. Po pierwsze, pręty paliwowe, które są obecnie eksploatowane, mają ograniczony czas życia.

Nie chcemy teraz ograniczać pracy elektrowni jądrowych, bo musimy oszczędzać gaz. Dlatego w tym roku trzeba wyprodukować dużo energii elektrycznej z wykorzystaniem kończących się prętów paliwowych. Wydłużenie czasu pracy i pozyskanie nowych prętów paliwowych nie jest proste. Przecież mówimy o przyszłej i kolejnej zimie. Powiedziałem już o wielu podjętych przez nas działaniach, które będą efektywne w zastąpieniu gazu z Rosji w krótkim czasie.

O tym, jak poradzimy sobie z etapem, w którym nadal będziemy potrzebować gazu, nie zadecyduje kwestia szczelinowania, ale raczej to, czy uda nam się rozwinąć źródła dostaw z całego świata i przygotować terminale na gaz ciekły. Ich budowa już się rozpoczęła i jeśli wszystko pójdzie bez przeszkód, być może jeden lub nawet dwa z nich będą mogły zostać uruchomione na przełomie roku.

Jeśli mówimy o źródłach z całego świata, to w pewnym stopniu sami się od nich uzależniamy. Dlaczego nie przyjrzeć się temu, co znajduje się w ziemi w Niemczech?

– Nie sądzę, aby w Niemczech było tak dużo gazu ziemnego, abyśmy mogli wyeliminować te zależności. A obecnie mamy sytuację, w której i tak dążymy do osiągnięcia neutralności pod względem emisji dwutlenku węgla w 2045 r. Pytanie zasadnicze teraz, wobec ucięcia relacji z Rosją, brzmi: jak możemy skutecznie zarządzać sytuacją w ciągu najbliższych dwóch lat? W takiej perspektywie gaz uzyskiwany ze szczelinowania nie pomoże. Jak chcemy to zrobić dobrze dla Niemiec w dłuższej perspektywie? Otóż wyłącznie poprzez rozwój odnawialnych źródeł energii. ●



• 09.06.2022 Ukraina : Winnica .
Mieszkańcy winnicy przyzwyczaili się do wojny .
FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

PIOSENKA O KOŃCU ŚWIATA

J. zbiera truskawki i myśli, gdzie trafi rakietą

Michał Olszewski

WINNICA

ztery miesiące po wybuchu wojny J., właścicielka kawałka ziemi pod Żytomierzem, u której mieszkalem z przyjacielem w wakacje wiele lat temu, pomagając w pasaniu krów i przerzucaniu siana, nadal śpi w zaciemnionym pokoju, podobnym raczej do kapsuły niż sypialni. Jeszcze w lutym zawiesiła na drzwiach koce, żeby światło nie przedostawało się na zewnątrz. Zniosła też ze strychu wszystkie rzeczy, a część ubrań na wypadek pożaru spakowała w poręczne torby. Razem z matką spały w ubraniach, żeby w razie alarmu zerwać się, wziąć to, co niezbędne, i uciec. Telewizor w kuchni J. gra od światła do nocy, a w nim najnowsze informacje o wybuchach, atakach na cele cywilne, rozmowy ekspertów, przemówienia Zelenińskiego. J. zbiera truskawki i mówi o wojnie, dogląda pszczoł, popatrując z niepokojem w niebo, wyrzywa chwasty spomiędzy ziemniaków i myśli, gdzie uderzy rakietą.

Wojna już dawno przeniosła się gdzie indziej, a mimo to J. nieustannie wypatruje zagrożenia i nieustannie o nim mówi.

Na pierwszy rzut oka centralna Ukraina żyje niemal normalnym, przedwojennym rytmem. W tym roku czerwiec jest gorący i słoneczny, a półki sklepowe uginają się od towarów. W kawiarniach to-

czy się zwyczajne życie, pracują zakłady, pieniądze krąży, dzieciaki szaleją na boiskach. Ludzie wrócili na ulice. Alarmy przeciwlotnicze na nikim nie robią tu już wrażenia – gdyby traktować je z należytą powagą, schronu trzeba byłoby szukać kilka razy w ciągu doby. Billboardy mobilizujące naród do walki, wszystkie „Bóg z nami”, „To mój kraj, nie oddam”, „Dziękujemy Bogu, że nasze oczy zobaczyły kolejny dzień”, „Bądź z nami, Boże, i dopomóż nam zwyciężyć” blakną w ostrym słońcu. Ukraińcy przyzwyczaili się do niedogodności: karnie wracają do domów o godzinie 21. Wieści o dostawach paliwa niosą się lotem błyskawicy – tam, dokąd dojeżdża cysterna, błyskawicznie formuje się wielogodzinna kolejka. O tej porze roku Podole wygląda bardziej na zjawisko niż krainę geograficzną: rozległy, lekko falujący krajobraz płynie w nieskończoność, odcienie zieleni płaczą się ze sobą, spokojnie dojrzewa pszenica. Codziennością są tu jeszcze obrazy, które z Polski zniknęły już niemal zupełnie – przez wioski suną fury z sianem, odwieczna baba z chudą krowiną siedzi pod drzewem, obserwując przejeżdżające samochody. J. w swoim gospodarstwie zbiera pierwszy miód, kwiatowy i delikatny.

Rany w krajobrazie otwierają się nagle.

Widać je na przykład z marszrutki, która, wypełniona po brzegi żywołem podmiejskim, rześko sunie z Żytomierza na zachód. J. wiezie ramki do ulla, miauczy schowany w torebce zażywny gospodyni kot, kurczęta w tekturowych pudłach popiskują, a dzie-

czyni przeglądają Instagrama i TikToka z żołnierzami przystojnymi jak modele z żurnala. Na skrzyżowaniu Prospektu Miru i Szuchewicza, tam, gdzie Google Street View nadal pokazuje biały domek z myjnią i warsztatem samochodowym, zieje krater wypełniony zielonkawą wodą. Bomby spadły tu w nocy, w sam środek pobielonego domku, a wstrząs podobno był tak silny, że podskoczyły domy w odległej o 20 kilometrów Wasilivce. Zginęły trzy osoby, 16 zostało rannych. Z okien pobliskiego szpitala wypadły wszystkie szyby, pociski roztrzaskały też instytut wojskowy po drugiej stronie ulicy. Delikatna zieleń pochłania gruzowisko, wrak samochodu osobowego i szkielet ciężarówki. Rozmowy w marszrutce na chwilę milkną.

Albo nieco dalej na południe, przy ulicy Czudnowskiej, gdzie bomba trafiła w środek bloku komunalnego. Zginęło dwoje dzieci. W ciszy czerwcowego poranka słychać tylko krzyk jerzyków, które kołują nad ruinami. Pod butami chrzęszczą szkło i eternit, w pokoju dziecięcym na przykrytej kurzem podłodze leżą zabawki i wielkie, wykonane dziecięcą ręką życzenia z okazji rocznicy ślubu rodziców.

W centrum Żytomierza zrujnowana szkoła nr 25. W trakcie ataku rakietowego zginęło 11 wolontariuszy, którzy szykowali paczki dla uchodźców. W gruzowisku walają się zeszyty i dyplomy. – Tu można tylko płakać – mówi wpatrzony w ruiny Oleh.

Jak krwawi Ukraina, widać na żytomierskim cmentarzu wojskowym, w dziel-

nicy Smolanka. Za plecami nagrobków z 2014 roku rośnie błyskawicznie aleja świeżych grobów, nad którymi łopoczą sztandary wojskowe i narodowe. – Powinno przecież być odwrotnie – lka kobieta, która odwiedziła grób zięcia. – To on powinien przychodzić do mnie na cmentarz.

Opowiada: – Zrozum, co tu się działo. Zaraz po wybuchu wojny nad moim domem zaczęły latać rosyjskie samoloty i helikoptery. Dzień po dniu i noc po nocy, z każdej strony. Ta niepewność była straszna: nadlatywały błyskawicznie od strony Białorusi, część na Kijów, część na południe, a potem tędy wracały. Walily w Żytomierz, gdzie się paliło, na horyzoncie widziałam w nocy łuny. Szybko poszła fama, że w lasach od północnej strony czekają dywersanci, że miny kładą. Na drodze tłumy uciekinierów, chaos, tu żołnierze, tam uchodźcy, tu terobrona, tu nasi chłopcy na blokpoście, ci jadą, ci wracają, w lasach miny, nie wiadomo, co robić, uciekać czy zostać. Słyszysz warkot i nie wiesz, czy przeleci nad domem, czy wystrzeli w ciebie raketę, bo przecież dla mordercy nie ma znaczenia, czy uderza w obiekt wojskowy, czy wiejską chałupę z dwiema kobietami. Jeden kiedyś krążył tak nisko nad polem, jakby się zastanawiał – strzelić, nie strzelić? A jeszcze sąsiedzi: tu niedaleko mieszka kilka rodzin, którym marzy się wielka Rosja, to skąd ja miałam wiedzieć, co im do głowy przyjdzie. Schowały-

śmy się z mamą w domu, córkę udało się namówić, żeby uciekła z dziećmi do Polski. Teraz żyję w zawieszeniu: miałam odłożonych trochę hrywien na remont, ale remontu przecież nie zrobię, skoro w każdej chwili dom może pójść z dymem. Posadziłam ziemniaki, pomidory, ogórki, będzie trochę truskawek i miodu, przecież jakieś życie trzeba prowadzić, żeby z głodu nie umrzeć. Ale co będzie dalej – nie wiem. Nie potrafię sobie wyobrazić przyszłości.

Również w położonej 120 kilometrów na południe od Żytomierza Winnicy ran wojennych nie widać na pierwszy rzut oka. Na początku wojny Rosjanie zaatakowali lotnisko, zabijając 11 osób, i więcej ataków na razie nie było. W muzeum akademika Pirogowa nadal można za odpowiednią opłatą podziwiać mumię tego zasłużonego naukowca. Winniczanie promenują w słoneczne popołudnia nad rzeką. Po wczesnowiosennym exodusie wielu mieszkańców zdecydowało się na powrót do miasta. Czas zdaje się płynąć leniwie, nawet na jednym z najważniejszych punktów obrony w centralnej części kraju: żołnierze, nie wiedząc, kiedy będą mogli wrócić do domu, założyli ul, posiali rzodkiewkę, kapustę, groch i pomidory. Na sznurku suszą się ryby, w kociolku bulgocze krupnik.

Tyle że spokojna, słoneczna Winnica jest wielkim lazaretem. Po tym, jak zaatakowany został szpital w Dnipro, we wszystkich szpitalach leczą się i umierają ukraińscy żołnierze. Amputacje rąk i nóg, złamania, oparzenia, rany od odłamków, rany postrzałowe. 33-letni Serhij wyjmuje niczym relikwię z chusteczki wielką grudę żelaza, która utkwiała mu w pachwinie po uderzeniu pocisku. Jego kolega, z nerwowo zaciśniętymi ustami, opowiada o trzecim postrzale, jaki dostał, tym razem w plecy. Kogokolwiek byś spytał, każdy chce wracać na front, nawet ten 60-latek, który z frontu wrócił z poważną chorobą serca.

Winnica wraz z okolicznymi wioskami stała się też miejscem zamieszkania tysięcy uchodźców z południa i wschodu. Duża ich część zastężyła pomiędzy starym i nowym domem, tak jak Luda, uciekiniierka z Czarnobaiwki, która wraz z rodziną zajęła nieużywany dom w Szczytkach koło Winnicy. Nie przyzwyczajają się za bardzo, pracy nie szukają, przekonani, że jeszcze chwila, a Ukraina zmiążdży napastnika, odzyska, co jej, i wróci do domu. Posadzili jedynie pomidory, ponieważ ksiądz Durkalets uparł się, że powinni mieć własne warzywa. W Czarnobaiwce, wiadoma rzecz, wszystko było lepsze niż pod Winnicą.



Mieszkam na siódmym piętrze wieżowca. Może to dziwnie zabrzmieć, ale najbardziej boję się w toalecie. Co będzie, jak trafią mnie w kiblu?

Opowiada S., lekarz z jednego z winnickich szpitali: – Mieszkam na siódmym piętrze wieżowca. Może to dziwnie zabrzmieć, ale najbardziej boję się w toalecie. Ciągle myślę, że jeśli rakietą uderzy w blok akurat w momencie, kiedy pójdę za potrzebą, nie będę miał szans na ucieczkę i już w tym kiblu zostaną na wieki. Nie dobiegnę do drzwi i na klatkę schodową, nie zdążę wziąć portfela, dokumentów i kluczyków od auta. Niby prawdopodobieństwo jest małe, ale chodzi to za mną jak obsesja. Co będzie, jeśli trafią mnie w kiblu?

Dla mnie i myślę, że dla każdego, kto tu mieszka, ten spokój w Winnicy jest pozorny, bo wiem, co pod nim się kłębi, jakie tragedie pod nim się kryją. Wojna tutaj chodzi za nami krok w krok, nawet jeśli ludzie śmieją się na ulicach. Zresztą, co mają robić? Jest tyle tragedii, że gdyby wszyscy

chodzili w żałobie, świat byłby zupełnie nie do zniesienia.

Czy można przyzwyczaić się do wojny? Nie wiem, być może. Widziałem nagranie z kamery przemysłowej w Charkowie, która zarejestrowała moment uderzenia rakiety w środek osiedla mieszkaniowego: chwilę przed atakiem mieszkańcy zaczynają uciekać, poza dziarsko maszerującą kobietą z torbą. Pocisk uderza kilkanaście metrów od niej – rzucona siłą podmuchu upada na asfalt, leży przez chwilę, po czym podnosi się, otrzepuje i idzie z torbą dalej, jak gdyby nic się nie stało.

Ale jest coś innego, co wojna nieodwołanie zabiera, nieważne, czy na linii frontu, czy daleko od niego. Chodzę po spokojnej Winnicy, oglądam blizny po wojnie w Żytomierzu, rozmawiam z J. o ziemniakach, pszczołach i kukurydzy, patrzę na ludzi nad rzeką i ściskam rękę żołnierzom w szpitalu. Ale ciągle wlecze się za mną jak pies ten natrętny lęk, którego nigdy wcześniej nie znałem, a który pojawił się na początku wojny i nie chce zniknąć. Tu jest jeszcze silniejszy. Świat stracił swoje solidne podstawy i wkradła się w niego niepewność, ponieważ wszystko to może zniknąć w sekundę, starte w pył, być może poprzedzone alarmem przeciwlotniczym. Nie mogę sobie wyobrazić, co przeżywa J., dla której ten lęk stał się fundamentem. Koniec może nadejść w mgnieniu oka, zostawiając po sobie wypelniony wodą krater, szybko zarastające gruzowiska, podobny do bezradnego chrapaszca samochód przewrócony siłą podmuchu na grzbiet, pogięte blachy, smród spalenizny, pole poryte pociskami, dziurę w bloku mieszkalnym, roztrzaskany obrazek piesków z dzieciennego pokoju, kłębówisko szmat, rur, zabawek, cegieł, potłuczonej w wielkie kawały armatury, szkołę, której nie da się już odbudować, kawał gorącego metalu w pachwinie, krzyk tych, którzy przeżyli.

Cały pogodny pejzaż wisi na włosku.

Opowiada ksiądz Roman Durkalets: – Odkąd wybuchła wojna, w samochodzie na wszelki wypadek wożę porcję jedzenia, dobrze zaopatrzoną apteczkę i niezbędne dokumenty, bo cały ten pozorny spokój sielskiej wioski może obrócić się w perzynę w kilka sekund. Moja parafia sąsiaduje z jednym z najważniejszych obiektów militarnych centralnej Ukrainy i wszystko może się zdarzyć. Może w nas wałnąć w każdej chwili, zdaję sobie z tego sprawę. Ale co mam robić? Usiąść i zaśpiewać pieśń żałobną? Robię, co do mnie należy: wożę pomoc do ośrodka dla psychicznie chorych niedaleko Winnicy, sytuacja jest tam straszna. Pomagam uchodźcom w mojej wiosce. No i sadzę pomidory. Pomidory są bardzo ważne: nie wolno rezygnować z normalnego życia, tak jak nie wolno przyzwyczajać się do wojny i obojętnieć na nią.

Idziemy z J. do jej siostry. Siadamy tak, jak zwykle siada się tutaj podczas krótkiego wypadu w gości. Na stół wjeżdżają słonina, ogórki, pomidory, barszcz, pierogi ruskie oraz z jabłkami, wino i naprawdę ekstraklasowy samogon. Jemy powoli, rozmowy toczą się niespiesznie, wznosimy toasty za zwycięstwo Ukrainy, za Polskę, za pokój na świecie. Dookoła ukraińska wiosna, bujna, rozległa i spokojna. Bociany kłokoczą, traktor zwozi siano, dzieci grają na podwórku w piłkę, szczekają psy. Krzywe płoty, stare domy, jest sobota i bania już narzazana na wieczorną kąpiel.

I kiedy tak rozmawiamy, słyszać narastający huk, J. zrywa się i szybko wychodzi na zewnątrz, my za nią. Patrzymy w górę. Na bezchmurnym niebie widać przelatujący nisko odrzutowiec. Leci z północnego wschodu, nie wiemy, czyj on, czy nasz, czy wroga.

A potem, wieczorem, idziemy spacerem przez wieś. Bez w tym roku pachnie jakoś oszałamiająco, cytryną i miodem, zmierzch zapada powoli, jest tak jak zawsze tutaj – spokojnie i cicho, jakby nie było żadnej wojny za horyzontem. Nagle J. tężeje.

– Samolot leci, słyszysz? – mówi.

A to tylko hałas ciężarówki za drzewami. ●

To koniec rosyjskiego świata. Centrum słowiańskiej cywilizacji prawosławnej będzie odtąd Kijów

Macie prawo burzyć nasze pomniki

Gozman

Ukraina rozpoczęła demontaż pomników klasyków literatury rosyjskiej. Tak stało się m.in. z popiersiem Puszkina w Czernihowie. Gdyby nie płonące miasta Ukrainy, gdyby nie Bucza i Azowstał, gdyby nie tony kłamstw i brudów, które nasza telewizja codziennie wylewa na Ukrainę i Ukraińców, prosiłbym tych na Ukrainie, od których to zależy, aby tego nie robili.

Powiedziałbym im, że piśszę do nich jako ktoś, kto mówi językiem stworzonym przez Puszkina, którym posługuję się także wielu z nich. Powiedziałbym, że Puszkina to człowiek, który „wysławiać wolność śmiał i wzywał miłosierdzia” [z wiersza „Dźwignąłem pomnik swój”, przekład Tuwima). I że dawane przez niego świadectwa wolności i godności mocno przeważają nad jego wypowiedziami na chwałę imperium, które się zdarzały, ale nie dlatego ludzie go dziś pamiętają. Powiedziałbym także, że usuwanie pomników dawno zmarłych pisarzy rosyjskich to prezent dla naszej propagandy i dla samego Putina. Mają kolejną okazję, by opowiadać o rusofobii – już widzę te zadowolone miny.

Ale teraz nie będę ich o nic prosił. Bo po tym wszystkim, co zrobiliśmy na Ukrainie i co nadal będziemy robić, Ukraińcy mają moralne prawo – to ich kraj – robić i mówić, co chcą.



Nie do nas należy pouczanie Ukraińców, a tym bardziej żądanie czy domaganie się, jak to czyni nasza propaganda, aby pozostawili na swojej ziemi symbole, które są nam drogie. Nie mają oni obowiązku brać pod uwagę naszych uczuć, zastanawiać się, jak to czy tamto ich działanie wpłynie na nas, jak wzmocni pozycję wiernych z sekty litery Z, na ile uczyni naszą sytuację jeszcze bardziej mdłą. Powinni robić – i robią – wszystko, co uważają za słuszne dla siebie i swojego kraju.

Ale demontaż pomników to tylko pierwsza jaskółka nadchodzącej przyszłości. W tej dającej się przewidzieć nie będzie rosyjskiego świata – nie tego obłudnego kłamstwa, które uprawiają nasze władze, ale prawdziwego rosyjskiego świata, świata kultury i języka, świata Puszkina i Brodskiego – nigdzie poza Rosją i środowiskami rosyjskiej emigracji.

Centrum słowiańskiej cywilizacji prawosławnej będzie odtąd Kijów, a język rosyjski będzie postrzegany jako język agresji, przemocy i kłamstwa. Odrzucenie to zapewne minie,

tak jak minęło w odniesieniu do kultury niemieckiej i języka niemieckiego, ale nie minie szybko i tylko przy bardzo poważnym wysiłku z naszej strony – przy uznaniu odpowiedzialności za to, co zostało zrobione, przy gotowości do wypłacenia odszkodowań itd.

My, ludzie języka rosyjskiego, możemy oczywiście być z tego powodu smutni i przeklinać tych, którzy rozpoczęli cały ten koszmar, żałując Tolstojowi i Achmatowej odpowiadać za swoje zbrodnie.



Jednak lepiej byłoby wyjść poza ten schemat. Lepiej pamiętać, jak wiele zła popełnił nasz kraj. Lišta jego czynów w XX wieku jest oszałamiająca. To Gulag i terror rewolucyjny, bezsensowne masakry w czasie rewolucji lutowej oraz całe oceany kłamstw i obłudy. A także Praga, Afganistan, Grozny. A wszystko to robili ludzie, którzy mówili po rosyjsku, czytali Czechowa i byli integralną częścią wielkiej kultury rosyjskiej, o której niszczynie słusznie oskarżamy dziś nasze władze.

Tak więc nasz olśniewający atak na Ukrainę nie wziął się z niczego. Zachowujemy się w ten sposób od co najmniej stu lat. I jeśli chcemy, aby kiedyś było inaczej, musimy nie tylko potępić bezpośrednich winowajców, ale także zrozumieć, czym jest ten wirus w naszej kulturze, który czasem zasypia, ale nigdy nie znika.

Oczywiście nie jest to tylko nasz problem. Naziści też czytali Goethego i nie zapobiegło to Auschwitz. Ale to sprawa Niemców, którzy radzą sobie z tym całkiem nieźle. Na pewno lepiej niż my.

A dlaczego nasza kultura, nasze pieśni i opowieści, nasze tradycje domowe i nasi wielcy pisarze nie zapobiegli tym wszystkim koszmarom, dawnym i obecnym, a nawet się do nich przyczynili – to już musimy zrozumieć. Niech mi wybaczą tytani literatury rosyjskiej. ●

Przeł. arp

*Leonid Gozman

• ur. w 1950 r., polityk, uczestnik rosyjskiego ruchu demokratycznego. Był doradcą Anatolija Czubajsa i Jegora Gajdara. Tekst ukazał się w maju na stronie pisma „Nowaja Gazeta – Europa” (Novayagazeta.eu)

Adam Michnik poleca

SOLŻENICYN CENIŁ PUTINA

Rosjanin jest albo apokaliptyczny, albo nihilistyczny

Francesco M. Cataluccio*

Pamięci Maura Martiniego

Latem 1862 r. Fiodor Michajłowicz Dostojewski podróżował po Europie (Berlin, Paryż, Londyn, Genewa, Florencja, Wenecja, Wiedeń...). W następnym roku w piśmie „Wriemia”, które redagował z bratem, opublikował relację zatytułowaną „Zimowe notatki o wrażeniach z lata”. Opowiada w niej o Paryżu, gdzie spędził większość czasu, uganiając się za rosyjską szlachcianką, która już go nie chciała.

Nic mu się nie podobało w tym świecie „zdominowanym przez burżuazyjne ideały”. Nawet idee „liberté, égalité, fraternité” wydawały mu się puste i niemożliwe do zrealizowania, m.in. dlatego, że „teraz nawet robotnicy stali się w głębi duszy właścicielami: cały ich ideał polegał na tym, by (...) gromadzić jak najwięcej”.

Ten „barbarzyńca w ogrodzie” (jak ironicznie określiłby go Zbigniew Herbert) uważał, że ten świat nie jest dla niego i jego narodu, a wręcz przeciwnie, to do nich należy jego odkupienie, przywrócenie do centrum życia wartości duchowych, które zachowały się w Rosji.

...

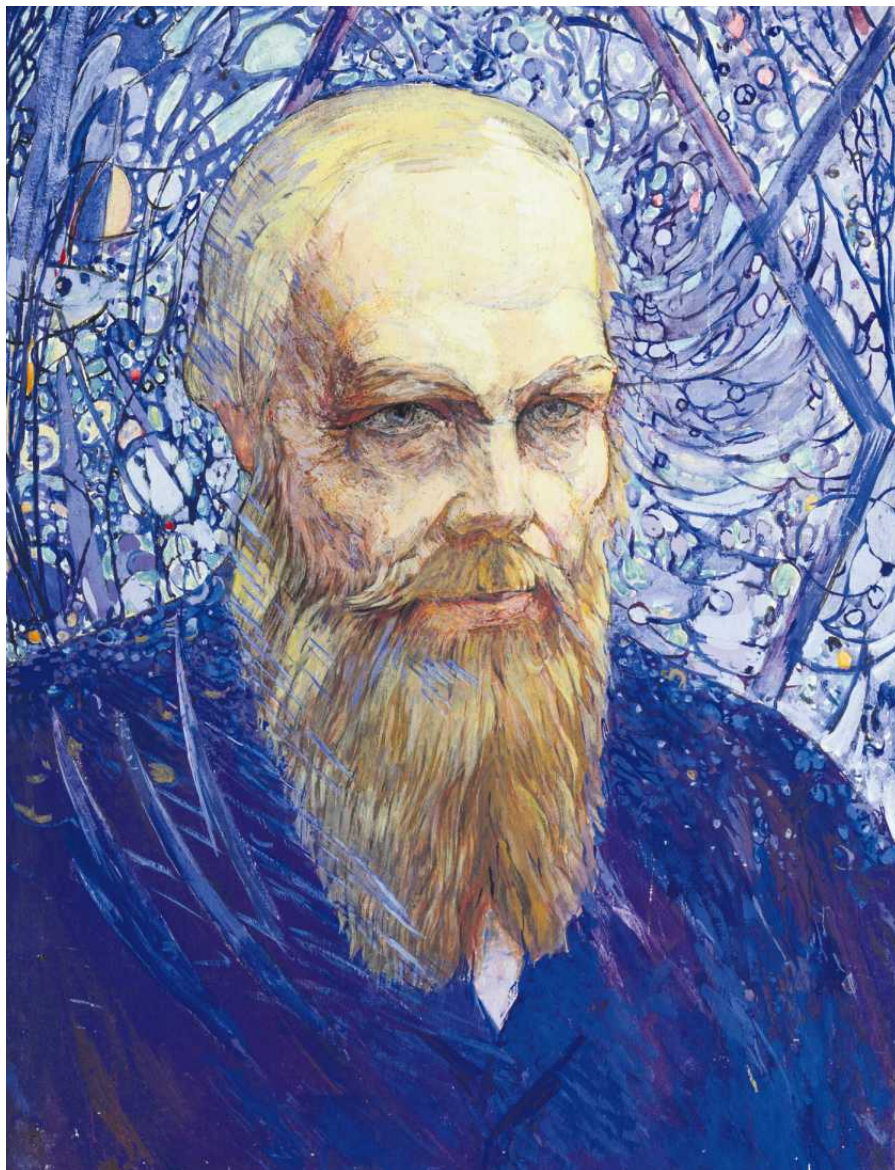
Niedawne mało rozumne odwołanie przez pewną instytucję serii wykładów o Dostojewskim uniemożliwiło dyskusję o związku między przesłaniem wielkiego pisarza, pewną odmianą kultury rosyjskiej i nienawiścią do Zachodu.

Nie można kwestionować wielkości i głębi Dostojewskiego jako pisarza. Warto jednak zastanowić się nad jego myślą i uprzedzeniami, aby zrozumieć charakter pewnej wizji świata i historii bliskiej niektórym Rosjanom, którzy wierzyli w misję, jaką od drugiej połowy XV wieku przypisywała sobie Rosja: być bastionem cywilizacji duchowej przeciwko zepsutemu Zachodowi.

„Moskwa jako trzeci Rzym” (po Rzymie właściwym i Bizancjum): idea ta powstała za panowania Iwana III (1440-1505), męża Zofii Paleolog, bratanicy Konstantyna XI, ostatniego cesarza Konstantynopola. Iwan rościł sobie prawo do historycznego, religijnego i cesarskiego dziedzictwa miasta, które od czasu założenia przez cesarza Konstantyna nazywało się „drugim Rzymem”.

„Słaby w filozofii” (1997) to zabawny tytuł ważnego studium rusycysty Gianlorenza Paciniego na temat myśli Dostojewskiego, który, choć nie miał specjalnego wykształcenia filozoficznego, poświęcił filozofii całe życie: „Jestem słaby w filozofii (ale nie w miłości do niej”; list do krytyka Mikołaja Strachowa).

Jego koncepcje społeczno-polityczne – wyjaśnia Pacini – opierały się na idei autonomicznej roli Rosji w historii cywilizacji; rola ta wykluczała jakiekolwiek jej podporządkowanie Zachodowi i powierzała jej zadanie rozwiązania istotnych problemów, z którymi zmagał się Zachód, a nawet cała



• Dostojewski pędził radzieckiego malarza Michaiła Konstantynowicza Lewina

FOT. FINE ART IMAGES/EAST NEWS

ludzkość, oraz wskazywania drogi wyjścia z kryzysu poprzez przyjęcie autentycznego chrześcijańskiego przesłania miłości i dialogu; według niego zachowało się ono jedynie w prawosławiu:

„Zdradzając istotę orędzia Chrystusa, zachodni Kościół katolicki utorował drogę dla nadejścia Antychrysta, który we współczesnym świecie przybrał postać bałwochwalstwa nauki i ideologii socjalistycznej”.

...

Osobą, która w Europie podjęła radykalne idee Dostojewskiego, był Nietzsche. Dostojewski, który nic nie wiedział o niemieckim filozofie, przewidział jego podstawowe wątki i tezy. Jak napisał profesor literatury Vittorio Strada, udało się ustalić, że Tolstoj i Dostojewski byli głównym źródłem koncepcji Boga chrześcijańskiego Nietzschego i że z tymi wielkimi Rosjanami autor „Antychrysta” prowadził ukryty dialog, przeplatany iluminacjami i odruchami odrazy.

Wystarczy przeczytać notatki z lektury „Biesów” Dostojewskiego, z którymi Nietzsche zetknął się w przekładzie francuskim. Ich nihilizm jest podobny: Dostojewski uchwycił w swoich powieściach logikę nihilizmu, który nie jest po prostu ateistyczny, ale rygorystycznie antyteistyczny, chociaż dla niego nihilizm nie jest immanentną konsekwencją tradycyjnych wartości chrześcijańskich, ale ich negacją, która rodzi się w konkretnej historycznej wersji (katolickiej i protestanckiej) tych wartości.

Historyk Dieter Groh w dziele „Russland und das Selbstverständnis Europas” (1961) nawiązuje do relacji Nietzschego z Rosją. W „Zmierzchu bożyszc” (1889) Nietzsche uważa Rosję za przejaw „woli tradycji, autorytetu, odpowiedzialności za przyszłe wieki (...)”. Rosja jest jedyną potęgą, któ-

ra ma dziś w sobie trwanie, jedyną potęgą, która może czekać, która może jeszcze coś obiecać. Zachód nie ma już tych instynktów, z których wyrastają instytucje, z których rodzi się przyszłość...”. W „Poza dobrem i złem” (1885) Nietzsche wyrażał nadzieję na „taki wzrost zagrożenia ze strony Rosji, że Europa poczułaby się zmuszona do podjęcia decyzji, by stać się równie groźna dzięki interwencji nowej kasty rządzącej”.

Dostojewski zresztą, zdaniem rosyjskiego filozofa Mikołaja Bierdiajewa, który poświęcił mu kilka stron w swojej analizie „Duchy rewolucji rosyjskiej” (1921), doskonale uchwycił nihilizm i metafizykę rosyjskich rewolucjonistów. Rosyjski impuls rewolucyjny nie jest zjawiskiem polityczno-społecznym, lecz metafizyczno-religijnym: „Rosjanin jest albo apokaliptyczny, albo nihilistyczny. Dostojewski wierzy, że na drodze wewnętrznej katastrofy zło można przemienić w dobro”. Ale np. Raskolnikow, bohater „Zbrodni i kary”, wcale nie chce walczyć o idealny porządek społeczny.

Jak zauważył w „Dostojewskim i »przeklętych problemach«” jeden z moich polskich mistrzów, Ryszard Przybylski, który przez długi czas mieszkał w Rosji i przyjaźnił się z Anną Achmatową i Nadeżdżą Mandelsztam, Raskolnikow chce tylko wprowadzić metodę do zwyczaju zabijania i czynienia zła. Można by tę metodę sformułować za pomocą rozumu wolnego od pozostałości chrześcijańskiego sumienia. Rozumowo ustalili się, kto ma prawo być Napoleonem, a kto wszą, komu wolno czynić zło, a kto musi je cierpieć. I tak ludzie uczą się nowego sumienia.

Przybylski padł ofiarą ambiwalentnego stosunku, jaki rosyjski reżim komunistyczny miał do Dostojewskiego: był on naznaczony jako reakcjonista, ale też wykorzystywany jako klucz do interpretacji ZSRR i jego reżimu. W 1970 r. esej Przybylskiego „Śmierć Stawrogina”, opublikowany w piśmie „Teksty Drugie”, spowodował interwencję ambasady ZSRR i zakaz publikacji utworów autora, który ośmielił się pisać o wypaczeniu w Rosji idei europejskich oraz o zgubnym współistnieniu rewolucji i nacjonalizmu.

...

W 1985 r. Milan Kundera, czeski pisarz na emigracji we Francji, i Josif Brodski, który wyemigrował do USA, spirali się o Dostojewskiego.

W „New York Times Book Review” Kundera wspominał, że w 1968 r., po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, dyrektor teatru poprosił go o wystawienie „Idioty”. Książki Kundery zostały zakazane, nie miał środków do życia. A jednak: „Przeczytałem książkę ponownie, byłem głodny, ale nie. Nie mogłem tego zrobić. Był to świat nadętych gestów, brudnej głębi, agresywnych uczuć. Wzbudziło to we mnie nostalgię za Diderotem. Dlaczego? Czy była to może trauma Czecha wobec Sowietów, Rosjan? Nie. Nadal kochałem Czechosłowację. Wątpliwości dotyczące sztuki? Nie. Tym, co mnie irytowało w Dostojewskim, był klimat jego powieści: świat, w którym wszystko przekształca się w uczucie, czyli uczucia awansują do rangi wartości i prawdy.

Stojąc w obliczu wieczności rosyjskiej nocy, doświadczyłem w Pradze gwałtowne-

Kundera: „Tym, co mnie irytowało w Dostojewskim, był świat, w którym wszystko przekształca się w uczucie, czyli uczucia awansują do rangi wartości i prawdy”

go końca kultury zachodniej (...), opartej na jednostce i jej rozumie, na pluralizmie myśli i tolerancji. W małym zachodnim kraju doświadczyłem końca Zachodu.

Kiedy ten ciężar racjonalnej irracjonalności spadł na mój kraj, poczułem instynktową potrzebę głębokiego oddychania duchem postrenesansowego Zachodu. I nigdzie ten duch nie wydawał się bardziej skoncentrowany niż w uczcie inteligencji, humoru i fantazji, jaką jest »Kubuś Fatalista i jego pan«.

Odpowiedź Brodskiego, także w „New York Times Book Review”, była pikantna: „Zachód opiera się na poświęceniu. Na człowieku, który umiera za swoje błędy. Zachód wie, jak pokonać swoich przeciwników, nawet tych wewnętrznych. Ostatnia wojna była wojną domową. Przelewanie krwi nie daje żadnej radości. To nie czyni nas podobnymi do Chrystusa. I dopóki umiera się za ideały, a ideały te żyją dalej, dopóty cywilizacja pozostaje zdrowa.

Jest jeszcze za wcześnie, by żegnać się z cywilizacją zachodnią. Przynajmniej nie teraz, nie dla Jana Palacha, studenta, który w 1969 r. podpalił się w proteście przeciwko najeźdźcy rosyjskiemu. Noc, w której od tego czasu pogrążyła się Czechosłowacja, to ta sama ciemność, w której w 1948 r. Jan Masaryk zginął [być może] z rąk sowieckich służb.



Brodski: „Człowiek metafizyczny Dostojewskiego jest więcej wart niż zraniony racjonalista Kundery”

Cywilizacja zachodnia pomogła Kunderze przetrwać w tych warunkach. W tej ciemności śmiał się z Diderota. Śmiech człowieka czytającego literatów: ten śmiech, który jest przywilejem ludzi wolnych tak jak smutek Dostojewskiego. Rozważania Kundery o Dostojewskim są więc po prostu zbędne. Nie sięga on głęboko.

Jeśli literatura ma zasługi społeczne, to jest to optymalny parametr, jaki nam pokazuje, duchowe maksimum. I tu człowiek metafizyczny Dostojewskiego jest więcej wart niż zraniony racjonalista Kundery, niezależnie od tego, jak bardzo jest nowoczesny i polityczny. Dostojewski to walka między wiarą a utylitaryzmem, oscylująca między otchłanią dobra i zła. Dostojewski przeciwstawia się agnostykom w stylu Kundery”.



Dostojewski miał w XX wieku „duchowego spadkobiercę”, Aleksandra Solżenicyna. Ludmiła Saraskina, autorka monumentalnej biografii noblisty, twierdzi, że „Solżenicyn w XX wieku podążał tą samą drogą artystycznego i publicystycznego badania życia rosyjskiego, którą Dostojewski nakreślił w XIX wieku”.

W historii Solżenicyna dostrzegam ten sam potencjał doświadczenia egzystencjalnego i literackiego. Obaj pisarze są bardzo podobni w rozwoju swojej koncepcji świata, w swoich poszukiwaniach i napięciach duchowych.

Solżenicyn w słynnym przemówieniu na Harvardzie (1978) punkt wyjścia kryzysu Zachodu umiejscawia w renesansie: „On stworzył człowieka na miarę wszystkich rzeczy na ziemi: człowieka niedoskonałego, który nigdy nie jest wolny od pychy, interesowności, zazdrości, próżności i dziesiątków innych wad. Teraz płacimy za błędy, które nie zostały prawidłowo oszacowane na początku podróży. Od renesansu po dzień dzisiejszy wzbogaciliśmy nasze doświadczenie, ale utraciliśmy koncepcję najwyższego, kompletnego bytu, który powstrzymywał nasze pasje i nieodpowiedzialność”.

Jak zauważył Kundera, „to Rosja, Rosja jako odrębna cywilizacja, zostaje pokazana w ocenie Solżenicyna, ponieważ według niego historia Rosji różni się od historii Zachodu właśnie z powodu braku renesansu i związanego z nim ducha. Dlatego mentalność rosyjska zachowuje inną równowagę (lub brak równowagi) między racjonalnością a sentymentem: w niej odnajdujemy słynną tajemnicę »duszy rosyjskiej« (jej głębie, ale i brutalność)”.

A Brodski w eseju „Katastrofy w powietrzu” (1984) po stwierdzeniu, że Dostojewski, nawet jak na swoje czasy, był zjawiskiem odosobnionym i autonomicznym, niemającym w Rosji spadkobierców, mówi, że autor „Archipelagu GUŁag”, choć był bohaterem w demaskowaniu brutalności sowieckiego komunizmu, nie dostrzegał prawdopodobieństwa, że ujawnione przez niego zbrodnie były konsekwencją autorytarnego charakteru odziedziczonego po dawnej Rosji i „surowego ducha prawosławia” (którego wielbił), a zatem nie wynikały wyłącznie z ideologii politycznej.



Nam, ludziom Zachodu, nawet jeśli bardzo kochamy kulturę rosyjską, nie jest łatwo zrozumieć pewne aspekty rusofilskiej myśli Dostojewskiego i Solżenicyna. Zadziwia nas, że choć obaj byli prześladowani za swoje idee i pisma, obaj przeszli przez obozy, są tak głęboko nacjonalistyczni i antyzachodni.

W 1994 r. Solżenicyn wrócił do Rosji, gdzie został przyjęty z pełnymi honorami. Nierozpoznawalna Rosja przyprawiała go o chorobę z powodu „jej degradacji i dzikiego podporządkowania Zachodowi, jej rozpadu gospodarczego i duchowego, telewizji i horrendalnej muzyki”.

Od początku doceniał Putina, uznając, że jest on w stanie odbudować silny kraj o silnej tożsamości narodowej. Prezydent Rosji odwiedził go kilkakrotnie i w wielu sprawach się zgadzali. Solżenicyn popierał pomysł „Unii Rosyjskiej”, która obejmowałaby Ukrainę, Białoruś, Rosję i etnicznie rosyjskie części Kazachstanu. Był przekonany o potrzebie jedności narodów białoruskiego, ukraińskiego i rosyjskiego, trzech gałęzi historycznie rozdzielonych „przez najazdy mongolskie i polską kolonizację”: „Wszyscy razem wyłoniliśmy się z Kijowa, od którego, według starożytnej kroniki Nestora, zaczęła się ziemia ruska”.

W eseju „Odbudowa Rosji” Solżenicyn uznaje cierpienia Ukraińców pod rządami Sowietów, ale twierdzi, że nie ma powodu, by „odcinać Ukrainę”, a przede wszystkim „te jej ziemie, które nie były częścią starej Ukrainy – Noworosję, Krym, Donbas i obszary praktycznie aż po Morze Kaspijskie”. Zapowiadając dzisiejszą rosyjską retorykę, mówi, że jeśli Ukraina chce być niepodległą, to regiony te powinny mieć prawo do „samostanowienia”.

W 2018 r. Putin odsłonił pomnik pisarza, stwierdzając, że „Solżenicyn na swoim wygnaniu nigdy nie pozwolił nikomu mówić źle lub niewystarczająco dobrze o swojej ojczyźnie”.

Zachód z pewnością nie prowadzi wojny z dwoma wielkimi pisarzami, Dostojewskim i Solżenicynem. Jednak ich dzieła pomagają nam zrozumieć, dlaczego Rosja kilka stuleci temu stała się Zachodowi wroga. ●

Przeł. Ntw

*Francesco M. Cataluccio

• ur. w 1955 r., włoski pisarz, eseista i tłumacz. Po polsku wydał m.in. książki „Jadę zobaczyć, czy tam jest lepiej” i „Czarnobył”. Tekst pochodzi z książki zbiorowej „Il mondo dopo Putin” (Świat po Putinie) pod red. Paoli Peduzzi i Mattea Matzuzziego, Ed. del Foglio, kwiecień 2022

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



DO PRACY Z PSEM

1 TYLKO RAZEM
Z PSEM.

Do pracy w teatrze,
w salonie,
w korporacji...

2 OBŁOŻNIE CHORY
W DOMU.

Czyli pomoc
państwa to fikcja

3 TRZY MIESIĄCE
Z UKRAIŃSKIMI
GOŚĆMI.

Trudno uwierzyć,
że już się żegnamy

Z DOMINIKĄ KULCZYK* ROZMAWIA ANNA J. DUDEK

Siostrzeństwo to...?

– Mój ukochany stan. Mam poczucie, że dla kobiety relacja z drugą kobietą jest bardzo ważna. Chodzi o poczucie, że jestem częścią większej, wartościowej i treściwej całości – dla mnie to niezbędne jak tlen, którym oddychamy.

Jasne, równie ważna jest miłość do dziecka czy głębokie relacje z mężczyzną, ale mam przekonanie, że połączenie z drugą kobietą jest niesamowicie istotne. Jeśli mogłam pomóc w tym, żeby kobiety połączyły siły pod jednym szyldem, we wspólnej i ważnej sprawie, na jasno określonych zasadach, to mam z tego satysfakcję. A o to właśnie chodzi w Siostrzeństwie.

Siostrzeństwo Polsko-Ukraińskie to właśnie taki szyld?

– Nazwę wymyśliła Olga Tokarczuk. I wydaje mi się, że Olga weszła w to od razu, bo poczuła to samo co ja: że my, baby, możemy zrobić więcej, kiedy robimy coś razem. Oprócz tego emocjonalnego poczucia mamy też świadomość, że konkretne działanie, serce i głowa działające razem po prostu się sprawdzają.

Ale nam tego siostrzeństwa na co dzień brakuje, właściwie dopiero się go uczymy albo sobie o nim przypominamy.

– Ja też ciągle się uczę siostrzeństwa, bo do tej pory nie znalazłam jego głębszego sensu. Tego, że z kobietami można tworzyć jedność. Po prostu wcześniej tego nie doświadczyłam. Nie wychowałam się otoczona kobietami, mam tego duży głód. Czuję, że tak czuje wiele z nas. Czuje, że przerwano nasze połączenie.

Strumienie naszej kobiecej energii odłączyły się od siebie, przestały tworzyć wspólny nurt. Kiedyś kobiety były splecione w codziennych rytuałach jak warkocz, razem piekły chleb, wyszywały, plotły wianki. I zawsze czuwały nad tym, żeby być blisko siebie i dla siebie. W trakcie miesiączki poświęcały sobie czas, przyglądały się swojemu ciału, dawały sobie coś wzajemnie. A potem te menstruacje się synchronizowały.

To zawsze w nas było, tylko o tym zapomnialiśmy. To dowód na to, że mamy między sobą magiczną nić. Cieszymy się tym. Ja próbuję to robić.

To był dla ciebie naturalny krok, by powołać tego typu organizację i wesprzeć ją finansowo?

– Czułam, że jeśli mamy być razem, to musimy być razem na serio. Odbudować poczucie, że kobieta, która jest dla drugiej kobiety, jest też dla siebie. Tu nie chodzi o to, żeby się do siebie pouśmiechać na bankiecie. Ta magia jest głęboka i prawdziwa, przekłada się na realne działanie.

Kiedy przyszła wojna i trzeba było otworzyć nasze serca oraz nasze drzwi, wszyscy zachowaliśmy się przyzwoicie. Zachwyciliśmy się swoją solidarnością – i dobrze. Byłam wzruszona, ale towarzyszyła mi też refleksja, że to minie. Tak zawsze dzieje się z miesiącem miodowym. Odwiedziłam wiele obozów dla uchodźczyń i uchodźców na świecie. Po pierwszej fali poruszenia i działania wszyscy o tych ludziach zapominają. Trudno jest utrzymać zaangażowanie, a pomoc jest trudnym tematem. Dla wielu ludzi zbyt trudnym.

Chciałaś, żeby to było namacalne i długofalowe?

– Chciałam to zrobić po babsku. Z sercem, ale i z głową. Otulasz miłością całą rodzinę, ale poza tym musisz jeszcze ugotować dla niej rosół. To bierzemy się za rosół.

Mówisz, że pomoc jest trudna. Pamiętam rozmowę z tobą na łamach „Wysokich Obcasów” sprzed kilku lat, po której byłaś krytykowana. Oto wielka pani Kulczyk pochyla się nad sierotami w Afryce. Co ona może wiedzieć o pomocy? O trudach życia? O biedzie?

– Myślę, że głównym problemem była wtedy niefortunna kampania billboardowa dotycząca promocji programu „Efekt domina” w TVN. Zabrakło nam wtedy wyobraźni i pokory. Ale to była potrzebna lekcja. Wyciągnęłam z niej wnioski.

Skoro o nich mowa – przypomniała mi się taka historia. To był pierwszy moment, kiedy skumałam, że pomaganie będzie bardzo trudne, także emocjonalnie. Byłam na wyjeździe z Rockefeller Foundation. Uczyliśmy się, jak pomagać z głową i w taki sposób, by ta pomoc stanowiła inwestycję społeczną. Serce jest ważne, ale tu nie chodzi tylko o je-

Dom Siostrzeństwa. W głowie i w realu

CIĄGLE SIĘ UCZĘ SIOSTRZE

Miewałam takie chwile, że nie rozumiałam, dlaczego ktoś się nie cieszy, skoro oferuję mu pomoc

go porywy. Tam zderzyliśmy się z twardą rzeczywistością. Jedna z fundacji w Ugandzie zajmowała się dziećmi, których rodzice będą odchodzić, bo są chorzy na AIDS. Część już umarła. Wiele dzieci także chorowało. Wszystko dotyczyło śmierci.

Opowiadano nam o tym w formie dla mnie wtedy zupełnie zaskakującej. Do pomieszczenia weszła mała dziewczynka, która rapowała, że jej mama umarła i ona też niedługo umrze. Wszystkim nam ciękły łzy, byliśmy roztrzęsieni, ale staraliśmy się zachować fason.

Udawało mi się to do momentu, gdy wyszłam na zewnątrz. Tam zobaczyłam dom, który wielkie okna, od podłogi do sufitu, miał otwarte na oścież. W tym domu były tylko małe trumienki... Rozsypałam się. Podeszła do mnie dziewczyna, która zaprosiła mnie na ten kurs.

To między innymi dzięki niej nauczyłam się, czym jest pomaganie – także operacyjnie. To ona dała mi najważniejszą lekcję. Złapała mnie za rękę i powiedziała: „Słuchaj, jeśli ty tego nie dźwigasz, to wracaj do domu. Rozumiem, że ci ciężko, ale my jesteśmy po to, żeby być dla tych ludzi jak skała. Twoje emocje

nie są tu ważne. Mamy dźwigać te nieszczęścia, które zdecydowaliśmy się dźwigać. Spadaj do auta i wróć, jak przestaniesz ryczeć i odbierać tym ludziom nadzieję”.

Wtedy zrozumiałam, że to wszystko będzie trudne. To, czy ktoś ma więcej, czy mniej pieniędzy, nie ma tu znaczenia. Jeśli ma serce i chce nim nawigować – to przeżywa wszystko tak samo. Dramat, ból, bezsilność drugiego człowieka. Ważne, żeby w tym wszystkim zadbać też o siebie. Nie zapomnieć, że sama, będąc na skraju, nikomu nie pomożesz.

A czy to, że mam więcej pieniędzy, sprawia, że mniej czuję? Czuję, że znasz odpowiedź na to pytanie.

Mówisz, że skumałaś, czym jest pomaganie. Wytlumacz mi zatem jak baba babie.

– Nie mam idealnej metody ani doskonałej definicji. Cały czas mierzę się z tą samą sytuacją. Wiem, że coś mogę zrobić, bo tak się szczęśliwie wydarzyło, że mam najróżniejsze ku temu narzędzia. To moje powołanie. Muszę to czuć. Wybierać nie tylko z rozumu, ale i z serca. Mając poczucie spokoju, że to moja droga, idę nią i próbuję nicze-

FOT. TATIANA JACHYRA



go nie zepsuć. Przy okazji pilnując swojego ego.

Pilnując, żeby się nie rozbijało czy żeby nie zmarniało?

– Mój bardzo mądry przyjaciel mówi tak: nie ma nic złego w tym, że mamy ego, byleby ono nie miało nas. Nie udaję przed samą sobą, że go nie mam czy ono mną w jakiś sposób nie powoduje – także w pomaganiu. Konia z rzędem wszystkim tym, którzy przypomniał sobie siebie sprzed kilku tygodni, kiedy jeździli do naszych przyjaciół z Ukrainy czy przywozili jedzenie dla nich i nie czuli satysfakcji. Czuli – i to nic złego.

Po co kategoryzować, czy to dobre, czy złe? Po pierwsze, nie szkodzić. Być w poczuciu, że robię tyle, ile jestem w stanie zrobić. Popelnię błędy, jasne. Mnie się zdarzyło to wiele razy: ludzie, którym ufałam, nie byli tego warci, pomyliłam się w ocenie, ktoś miał żal. Życie. Ale robię, co mogę, i robię to najlepiej, jak umiem. Odrabiam

Nie wychowałam się otoczona kobietami, mam tego duży głód. Czuję, że tak czuje wiele z nas

swoje lekcje, które dostaję od życia. I nie ma nic złego w tym, że mam z tego poczucie spełnienia, bo jak się nie spełniamy, to się poświęcamy. A ja w poświęcenie nie wierzę. Wszyscy musimy czuć się dobrze z tym, co robimy. Ale...

No właśnie: ale?

– Nie warto sobie przesadnie dogadzać w tym zakresie. Najlepszy jest balans. Cieszymy się tym, co robimy i jak pomagamy, ale niech to nie zasłania nam całe-

go obrazka. Niech to nie będzie tylko po to, żeby ktoś inny dobrze o nas pomyślał, bo wtedy powinna zapalić się nam lampka. Najważniejsza jest oceniana uczciwie, do bólu, nam tylko znana najgłębsza intencja.

Miałaś moment samouwielbienia?

– Samouwielbienia nie. Może dlatego, że jestem cholernie samokrytyczna. Tak zostałam wychowana – niespecjalnie rozpieszczana komplementami. Ale miewałam takie chwile, że nie rozumiałam, dlaczego ktoś się nie cieszy, skoro oferuję mu pomoc.

Miewam je zresztą do dziś, ale dzisiaj więcej rozumiem. Myślę, że jeśli pomoc daje się w taki sposób, że druga osoba nie musi w nią włożyć żadnego wysiłku, to – paradoksalnie – zamiast ją docenić, często czuje złość. I to jest absurd, który w sobie mamy. Żle nam, kiedy stajemy się dłużnikami.

Jak sobie z tym poradziłaś?

– Jak już pewne zjawiska sobie uświadomisz, to tak cię nie przerażają. Czasem bolała i drażniła, ale najgorszy jest niezdefiniowany potwór. Na początku się dziwiłam w takich sytuacjach. Potem odpuściłam, a pod koniec tego długoletniego procesu zaangażowania – gdy to ja byłam dla kogoś – zaczęłam myśleć, że trzeba szanować też to, że ktoś może nie chcieć tej pomocy wziąć. Przystałam ją oferować, dopóki nie jestem poproszona, i szanuję, jeśli ktoś tej pomocy nie chce. Przedtem chyba sądziłam, że wiem lepiej. Dziś już tego nie mam i bardzo tego pilnuję. Nie wolno ludzi uszczęśliwiać na siłę.

To się w jakimś sensie dzieje dziś, kiedy wielka solidarność i chęć pomocy mają duży potencjał, by – jak u Platona – obrócić się we własne przeciwieństwo. Jesteśmy zmęczeni, chcemy wdzięczności, a bywa różnie. I to różnie jest OK, ale głęboko siedzi jakieś poczucie afrontu czy niewdzięczności.

– Po prostu staram się zrobić bardzo uczciwą robotę zrozumienia tego wszystkiego. Czytam, obserwuję i widzę, że można o tym myśleć na setki sposobów. Czy znam recepty i mam zalecenia? Nie. Najważniejsze jest dla mnie, że nikogo świadomie nie skrzywdziłam. Wystarczy mi to, że świat jest trochę lepszym miejscem.

Mówisz: nie wiem. To rzadka umiejętność, bo jesteśmy przyzwyczajeni do świata – męskiego świata – w którym wszyscy udają, że wszystko wiedzą. Pokazała to polityka Trumpa czy Bolsonaro, ale też naszego rządu w obliczu pandemii. W tym czasie Jacinda Ardern czy Sanna Marin mówiły: nie wiem, potrzebuję pomocy, wiedzy, ekspertów. To duża zmiana.

– Wiesz, może to niepoprawna opinia, ale uważam, że my, kobiety, jesteśmy bliżej swoich emocji i serca. Często działamy intuicyjnie, na podstawie naszej mądrości. A ona podpowiada, że kiedy nie wiesz, to szukasz pomocy i informacji.

Sercem kupiłaś dom Marii Skłodowskiej-Curie?

– To zabawna historia. Podróżowałam. Byłam w takim miejscu, w którym z sufitu zwieszały się róże. Przywiązuję wagę do symboli, dużo się rozglądam wokół i obserwuję. Kiedy widzę róże na suficie, myślę: oho, babska przestrzeń.

I nagle przychodzi wiadomość od współpracownika: dom Marii Skłodowskiej-Curie na sprzedaż. Grom z jasnego nieba. Myślę: to zadanie dla mnie. Maria: emigrantka, feministka, samodzielna matka. Przecież ja też tak mam. Tysiące kobiet mają tak samo. A mówimy o dwukrotnej noblistce, profesorce, wybitnej jednostce. To dzięki niej zaczął się rozwój współczesnej energetyki – jednego z filarów mojej dzisiejszej działalności. Tu nie ma przypadków. Od razu wzięliśmy się do roboty.

Za dwa dni byłam tam, żeby obejrzeć dom. Podjeżdżam pod niego, wysiadam, a na spotkanie wychodzi kobieta, która wygląda jak moja babcia. Czy to się dzieje naprawdę? Witamy się i wpadamy sobie w ramiona. Po 10 minutach miałyśmy już wszystko ustalone. Pozostały formalności.

Co w nim będzie?

– Dom Siostrzeństwa – przestrzeń dla kobiet, pomysłów, przestrzeń do działania. Zadbaliśmy, żeby to dziecko się urodziło, a teraz będziemy je wychowywać we wspólnocie. To babskie sprawy: nasze z Marią. ●

***Dominika Kulczyk** – przedsiębiorczyni, inwestorka i filantropka. Założycielka i prezeska Kulczyk Foundation. Autorka ponad 60 filmów dokumentalnych we współpracy z CNN International i TVN Discovery. Przewodnicząca rady nadzorczej Polenergii SA. Członkini rady programowej UN Global Compact Network Poland. Inicjatorka powstania Siostrzeństwa Polsko-Ukraińskiego



W krzyżówce jest seks

Autorem wielu haseł jest **Violetta Ozminkowski**

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

Ostatnia Weekendówka, utrzymana w klimatach gangsterskich, nie sprawiła Państwu specjalnego kłopotu. Nie zatrzymał Was ani duński gangster nieudacznik (to moje ulubione hasło z ubiegłotygodniowej krzyżówki), ani Al Capone, ani tym bardziej nasz rodzimy Stefan „Siara” Siarzewski.

To dowodzi, że są Państwo ekspertami w wielu dyscyplinach, dlatego przygotowaliśmy dziś dla Was „coś z zupełnie innej beczki”, jakby określiła pewna słynna grupa komediowa (nie, nie teraz, może w przyszłości coś o Montym Pythonie będzie).

A co w tę sobotę? Otóż wczoraj, 1 lipca przypadła 101. rocznica urodzin Michaliny Wisłockiej, autorki „Sztuki kochania”. Książka? Podręcznik? Poradnik? O seksie? Miłości? Związku? Wszystko to i wiele, wiele więcej, choć sama autorka pisała, że „»Sztuka kochania« nie zawiera recepty na miłość, nie jest też podręcznikiem technik seksualnych”.

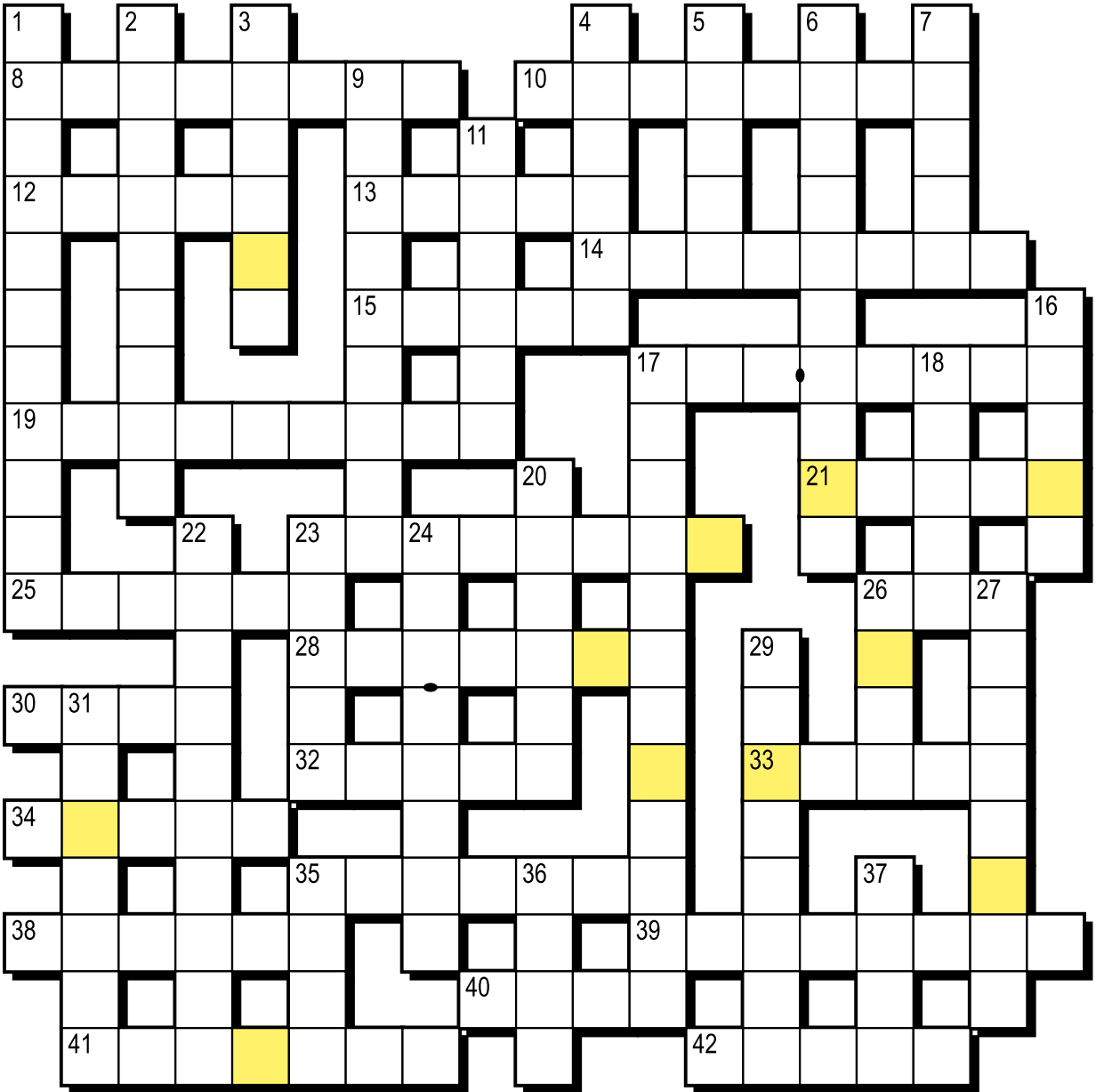
Odpowiedzi szukały w tej wydanej po raz pierwszy w 1976 roku publikacji kolejne pokolenia Polaków – „Sztuka kochania” sprzedawała się w ponad 7 mln egzemplarzy (u mnie w domu była ta z pomarańczową okładką, wydana w 1984 roku przez Iskry). I chyba znalazły, bo jak pisał we wstępie recenzent książki, prof. dr hab. n. med. Andrzej Jaczewski, „nikt nie przyniósł Polakom tyle osobistego szczęścia, co Michalina Wisłocka swoją niezwykłą książką”.

Z okazji 101. urodzin tej wyjątkowej Autorki proponujemy więc Państwu krzyżówkę o seksie. A o ułożenie swoich haseł poprosiliśmy panią Violetę Ozminkowską, pisarkę, publicystkę, dziennikarkę, autorkę fantastycznej biografii Michaliny Wisłockiej „Michalina Wisłocka. Sztuka kochania gorszycielki”. Na jej podstawie powstał głośny film „Sztuka kochania” z główną rolą Magdaleny Boczarńskiej.

Tak, na dworze tropikalne upały, ale cóż – podgrzewamy atmosferę, żeby by było jeszcze goręcej. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 7 z 25.06:
STRZELANINA NA ULICY



SEKS

Hasła **Violetty Ozminkowskiej** oznaczono inicjałami (**VO**). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Pozioomo:

- 8)** rzymski poeta, autor „Sztuki kochania”
- 10)** erotyczna – kupowana w 17 pozio
- 12)** ... pierwszej nocy, stosowane w średniowieczu
- 13)** „Och, ...”, komedia erotyczna Romana Żaluskiego
- 14)** tytuł albumu i piosenki Ryszarda Rynkowskiego („Ja tobie i ty mnie...”)
- 15)** lepsza spinningowa niż hiszpańska (VO)

- 17)** sklepy z akcesoriami erotycznymi
- 19)** osoba, która nie lubi ubierać się w ciucholandach (VO)
- 21)** „Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu, kiedy w lubieżnym zwiisa przez ramię przegięciu, gdy jej oczy zachodzą mgłą, twarz cała błędnie, i ... się wilgotnie rozchyłają bezwiednie” (w erotyku Tetmajera)
- 23)** czerwone ..., kojarzone z amsterdamską dzielnicą nierządu
- 25)** nie pasuje do M3 (VO)
- 26)** okolone podwiązkami
- 28)** przestarzałe: ktoś, kto się łajdaczy; hulaka, rozpustnik (jak drapieżnik z kotowatych)
- 30)** „Aż po ...”, piosenka Renaty Przemyk („Tulisz się przez sen, myślisz pożądaniem...”)
- 32)** poprzedzają je wapory (VO)

- 33)** nagie
- 34)** ... ciekawych, w pierwszej linijce erotyka Bolesława Leśmiana „W malinowym chruśniaku”
- 35)** panieński lub kawalerski, organizowany np. w night clubie
- 38)** dawna kasta preferująca swobodę obyczajów (VO)
- 39)** seksualne lub biznesowe
- 40)** kurtyzana z powieści Emila Zoli
- 41)** przyjemność+
- 42)** „Bo we mnie jest seks gorący jak ...”

Pionowo:

- 1)** lubieżnica, bezwstydnica
- 2)** ma dwie żony
- 3)** platoniczna lub zmysłowa

- 4)** z opowieściami o Sodomie i Gomorze, Zuzannie i lubieżnych starcach, jawnogrzeszniczy
- 5)** romans
- 6)** „... niegrzecznej dziewczynki”, powieść Maria Vargasa Llosy
- 7)** przedmażeńskie
- 9)** komedia z cytatem: „Żeby chłop nie mógł z gołą babą w windzie...”
- 11)** kraj z wyspą Lesbos
- 16)** „... seksualne dzikich”, monografia Bronisława Malinowskiego
- 17)** pracuje w klubie go-go
- 18)** „... rozkoszy ziemskich”, tryptyk Hieronima Boscha
- 20)** żeńskie i męskie ... płciowe
- 22)** Witold, autor powieści „Porno-grafia”
- 23)** „sexy doll” z piosenki Grzegorza Ciechowskiego („Nieruchoma, naga, plastikowa...”)

- 24)** walijski piosenkarz znany z przeboju „Sexbomb”
- 26)** „Daj mi swe ..., weź mnie w ramiona”, w piosence o córce rybaka
- 27)** grecka bogini miłości i piękna
- 29)** Lolita, ... swego ojczyzna Humberta Humberta
- 31)** według mężczyzn nie ma znaczenia (VO)
- 35)** „... kobiety i śpiew
- 36)** „Jeśli masz ochotę, daj mi jakiś ...”
- 37)** to, o czym się nie mówi, bo jest np. wstydlive

Byle do

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!